

# **Pamiętnik Działaczki**



1000172183

---

---

Druk Piotra Laskauera ∞  
Warszawa, Nowy Świat 41

---

---

# Pamiętnik Działaczki.

(Lily Braun)

Lata dojrzewania.

Spolszczyła R. C.



*Mr. 627*  
**BIBLIOTEKA  
KUBICKA  
W-wa, ul. Hoża 27a**

**WARSZAWA**

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

1913

A. 16412/1/2

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

K. 585/57/57

## Mojemu Synowi.

---

Kwitną róże i pachną lipy. Ponad ciemnią lasów i jasną, soczystą zielenią łąk wznoszą się szczyty oczyszczonych moich gór, strzelając w niebo usiane błyszczącymi, promiennymi gwiazdami, nieprzyćmione dymami miejskimi i nizinnymi oparami. Szare olbrzymy skalne srebrzą się w poświacie księżyca, w tysiącnych ich rozpadlinach i wgłębieniach skrzą się jeszcze białe puchy śniegu.

Jest to najpiękniejsza noc w roku, noc, w którą lasy i pola rozbrzmiewają echemi baśni czarodziejskich, noc, która mnie obdarzyła tobą, mój synu, dzieckiem słońca, dzieckiem szczęścia. Jedenaście lat upływa dzisiaj od tej chwili. Wydaje mi się, jak gdybyś leżał wczoraj dopiero przy mojej piersi, jak gdyby usteczka twoje wczoraj składały się do pierwszego szczebiotu, jak gdyby stopki twoje dopiero wczoraj pierwsze trwożne stawiały kroki...

I oto stałeś się już dużym chłopcem!

Dzieciństwo twoje jest już na odlocie.

Niemal w tym samym dniu, ale z górą trzydzieści lat temu, i ja święciłam u stóp tych samych gór jedenastą rocznicę moich narodzin. Stół uginał się wówczas pod przepychem darów — na twoim stole, mój synu, leżało—

obok wonnego ciasta, daru starej naszej Maryi — kilka książek. Rodzice, krewni i przyjaciele otaczali mnie licznie, czcząc perlistym szampanem i kadzidłami pochlebstw święto młodej solenizantki, — my natomiast byliśmy dzisiaj sami, a w kieliszkach naszych pienilo się cierpkie, ciemne wino miejscowe. Ówczesną solenizantką była blada, wysmukła dziewczyna, której usta wykrzywał sarkastyczno-wyniosły grymas, a uśmiech był sztucznym wytworem konwenansu i dobrych manier, — ty zaś jesteś kwitnącym chłopcem, który w nadmiarze szczęścia okręcał raz po raz w dzikim kołowrocie to matkę, to starą piastunkę.

Dwie tylko rzeczy wówczas i dzisiaj pozostały niezmiennie. Na twoim stole, tak samo jak na moim — leżał pierwszy upragniony pamiętnik, którego białe kartki kusząco wabią jedenastoletnią duszę, niby wrota do zaczarowanej krainy. Przed tobą, tak samo jak przedemną, piętrzą się olbrzymy górskie, ten sam las kołysał nas oboje do snów dziecięcych.

Pamiętnik mój towarzyszył mi przez całe życie; wierną byłam stale zwyczajowi robienia przed nim co wieczór obrachunku z trosk i radości dnia. Przy końcu każdego roku układałam z kart jego wynik przeżytego okresu czasu. Krótkie, zawarte w nim, uwagi służyły mi jako suchy materiał faktów, na którego kanwie łatwo było pamięci rozsnuwać wzorzyste obrazy życia; osobowość moja, niekoszlawiona przez najnieudolniejszych portrecistów świata: nienawiść i zachwyty — ukazywała mi prawdziwe z nich swoje oblicze.

Chroniąc się tym razem przed hałaśliwą, gorączkową atmosferą berlińską do mojej cichej samotni górskiej, zabrałam z sobą dwadzieścia trzy zeszyty pamięć-

tnika, z których każdy zawierał treściwe dzieje przeżytego jednego roku.

Muszę generalny zrobić porachunek.

Pięłam się dotychczas w górę po stromej ścieżynie, ufając mojemu, znającemu drogę, wzrokowi i sile mojej, pozostawiając zdala po za sobą utarte drogi, na których tradycya i obyczaj stoją jako drogowskazy, strzegące tłum bezmyślny od schodzenia na manowce. Teraz jednak muszę przystanąć, muszę świeżego zaczerpnąć oddechu, gdyż wielka dokoła mnie pustka lękiem mnie nagłym zdejmuje i niepewnością. Dokąd iść teraz? Czy wracać w dolinę do drogowskazów? Czy też piąć się dalej po, obranych z własnej woli, stromych, mnie samej tylko znanych ścieżkach? Ludzie urągają mi, nazywają mnie odszczepieńcem ci wszyscy, co kiedykolwiek przez chwilę chociażby towarzyszyli mi na mojej drodze; mnie jednakże wydają się oni wszyscy niewiernymi. Kto z nas ma słuszość? oni czy ja? Chcę znaleźć prawdziwą na to pytanie odpowiedź, i muszę w tym celu raz jeszcze przeżyć we wspomnieniu całe moje życie, od najgłębiej ukrytych jego korzeni do ostatnich jego rozgałęzień. O tobie myśleć będę przy tem, mój synu, abyś, wyrósłszy na mężczyznę, mógł należycie zrozumieć twoją matkę.

W noc czarów, która mi dała ciebie, w noc czarów, kiedy dokoła płoną na szczytach ogniska, w noc czarów, kiedy zmartwychwstaje wszystko, co życia wiecznego jest godne, wzywam was do współpracy, zamarte duchy mojej przeszłości!

24 czerwca 1908 r.  
*Obergrainau.*





## ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Tam, gdzie zatoka Kurońska<sup>1</sup> wysuwać zaczyna wgląb morza Bałtyckiego piaszczyste swoje ławy, a ląd stały opłukiwany jest z jednej strony przez spokojne wody ujścia rzeki, a z drugiej zalewany przez skłębione fale morskie, stoi dom moich dziadków, w którym ujrzałam po raz pierwszy światło dzienne.

Przed wieloma setkami lat wybudowali go niemieccy rycerze krzyżowi, chcąc mieć w nim mocną ostoję przeciw pogańskiej ludności miejscowej.

O pierwotnem pochodzeniu jego świadczy szeroka, czworoboczna wieża, grube mury i otaczający go dookoła wał. Jeden z rycerzy krzyżowych miał być jednym z pierwszych, którzy na tym zakątku ziemi przystali do nauki Lutra — nietyle pod wpływem głosu sumienia, o co trudnoby pomówić krzepkiego, jasnowłosego junkra z turyngskiego rodu Golcowów, — ile z miłości do pewnej pięknej dziewicy, która zniewoliła go do przełamania ślubów czystości.

Stał się on na zamku pirgołowskim protoplastą pruskiej odnogi mojej rodziny i przodkiem mojego dziad-

ka. Wraz z posiadłością zdawali się potomkowie jego dziedziczyć z pokolenia na pokolenie, decydujący o ich życiu, namiętny w miłości temperament, który tak wybitnie cechował założyciela rodu. Rzadkością było, aby który z Golcowów ulegał żądaniu zgromadzonej w tym celu rady familijnej, gdy szło o wybór bogdanki.

W ten sposób przeszczepiono do północnego kwietnika wiele roślin obcych. Niejedną z nich zwarzyły mroźne podmuchy morskie, inne natomiast przyjmowały się, zapuszczały trwale korzenie, kwitły, rodziły owoce i rzucały posiew swojej ziemi rodzinnej na glebę północną, na której rozradzał się on bujnie, dziwnie odbijając na tle żółtych piasków nadmorskich, białych pni brzozowych i sękatych dębów rozłożystych.

Jedną z takich obcych, przeszczepionych na grunt północny, roślin—była moja babka: dziecię miłości, owoc tajemnego związku panującego króla ze skromną alzacką hrabianeczką. Ponure wybrzeże Bałtyku nie stało się dla niej nigdy prawdziwą ojczyzną. Czula się na niem obcą do końca życia. Marzyła zawsze, i w lecie nawet siadywała chętnie przy kominku, otulona w ciężkie, powłóczyste, obramowane futrem szaty aksamitne. Pozostała też samotną pomimo otaczającej ją licznej dziatwy.

Krew Golcowów była snąc żywotniejszą od jej własnej, wszystkie bowiem dziewczęta i wszyscy chłopcy, których na świat wydała, nie mieli nic z jej ciała i rysów: jasno-niebieskie ich oczy patrzyły z różowych pyzatył twarzyczek wesoło na świat, a treść ich życia wypełniały tańce i polowania, zabawa i miłość.

Całą siłą swojej tęsknoty przywiązała się też do matki mojej, najmłodszego swojego dziecka, złoto-

włosej Elżuni. Przez długi czas łudziła się nadzieją odnalezienia w ostatnim dziecięciu siebie samej, przystrajając w barwne szaty bujnej wyobraźni wszystko, co — mimo utrud miłości macierzyńskiej — razić ją musiało w córce obcością. Dopomogła jej też do przełamania uporu ojcowskiego, przeciwstawiającego się jej związkowi z biednym oficerem.

W głębi duszy żywiła wiarę, że małżeństwo z poważnym, pracowitym człowiekiem pomoże młodej dziewczynie do rozwinięcia właściwej, uśpionej jeszcze, treści jej duszy, której pierwsze przebliski ujawniać się zdawały już w samym tym wyborze, uczynionym przez nią z pomiędzy otaczającej ją świetnej plejady wielbicieli.

Nie rozumiała, że jej Elżunia uległa jedynie ostremu, gorącemu i krótkiemu, jak noc lipcowa, napadowi szału miłosnego Golcowów. Małżonek jej znał lepiej od niej swoje dziecię, nie tracił też nadziei znalezienia zięcia w jednym z patrycyuszów okolicznych zamiast w „bezdomnym sługusie kraju”, jak nazywał pogardliwie wybranego jej serca, oficera Jana v. Klewe, nie posiadającego nic prócz rodowego nazwiska i rodowej ambicyi.

Ojciec jego, lekkomyślny oficer gwardyi, nabył za mizerną resztkę majątku, przestaszanego do wspólni z małą wesołą kobietką, której mieszczańskie pochodzenie zmusiło go do wyrzeczenia się świetnego mundura — niewielką posiadłość w pobliżu Berlina, gdzie nie pozostało mu nic innego, jak spokojnie czekać śmierci. Gdy ta nastąpiła, znalazła się wdowa w ciężkim położeniu, zaledwie mając za co wychowywać pięcioro drobnych dzieci. Jakże jej się przydało, że przez

całe życie przyzwyczajona była do pracy! Zbyt dumna, aby żądać czegokolwiek od bogatych krewnych męża, którzy nie chcieli nigdy przyznawać się do niej z racji jej pochodzenia, wolała zamknąć się w nędznej nadmorskiej mieścinie, gdzie wychowywała też dzieci swoje z żelazną surowością i spartańską prostotą. Jan miał dwanaście lat przy wstąpieniu do drakońskiej tej szkoły życia. Najboleśniej też odczuł zmianę warunków, cierpiąc nieustannie z powodu nadmiernych żądań, jakie stawiała matka jego siłom duchowym i cielesnym.

Jego potrzeba miłości słaby znajdowała w jej sercu odzew; ustawiczne troski i szarpaniny przegryzły strunę czułości macierzyńskiej, tak żywo dźwięcząca u matek szczęśliwych. Najbliższą mu wiekiem siostrę, na którą zlał całe ciepło kochającej swojej i łaknącej miłości duszy, zabrali mu wcześniej krewni ze strony ojca, którzy przypomnieli sobie nagle o wdowie i sierotach. Od wczesnej też młodości pozostał sam, oddany na łup własnych myśli i tęsknot, kierujący całą energją ku jednemu celowi: zdobyciu samoistnego bytu.

Mając lat szesnaście, zdał egzamin dojrzałości i wstąpił do królewskiego pułku infanteryi. Środki nie pozwalały mu na wstąpienie do kawaleryi, o czem zawsze marzył, mając we krwi zamiłowanie do konnej jazdy, a siostra, wychowywana przez bogatego wuja jak rodzone dziecko, odmówiła mu stanowczo — w obawie narażenia własnego stanowiska — wstawienia się dla niego o pomoc dodatkową.

Zwykła szczodroblewość milionowego krewniaka nie sięgała poza drobne sumy, ofiarowywane mu na gwiazd-

kę lub na urodziny oraz po za zaprosiny na spędzanie wakacji w rodowych dobrach. W ten sposób łamało się całe młode życie o spiżowe kraty braków i konieczności odmawiania sobie rzeczy niemal najpotrzebniejszych. Poświęcił się też niepodzielnie swojemu zawodowi; praca przytępiła, zdało się, całkowicie jego głód wrażeń.

W tym okresie poznał on Elżunię Golcowównę, którą pokochał odrazu całym żarem tłumionej dotychczas namiętności. Do owej chwili nie znał kobiety; praca uczyniła go głuchym i ślepy, a wrodzona czystość myśli kazała mu odsuwać od siebie wszystko, co tchnęło pospolitością i gminem. Dzięki temu zjednoczyło się w miłości dwudziesto-ośmioletniego oficera nieokielznane marzycielstwo młodzieńca z głębią uczucia dojrzałego mężczyzny. Zdobyć serca pięknej, jasnowłosej dziewczyny wydawało mu się ziszczeniem wszystkich, prześnionych w samotności, marzeń o szczęściu. Trudność zdobycia jej, konieczność stoczenia zaciętej o nią walki podwajała tylko dłań jej cenę.

Przez miłość dla złotowłosej Elżuni zamienił uczelnię na salę balową; zabłysnął talentami towarzyskimi, o które nie byłby go nikt posądził, stał się duszą wszelakiego rodzaju uczt i zabaw. Zajeździł na śmierć niemal, w drodze z Królewca do Pirgołowa, wierzchowca, którego udało mu się nareszcie zdobyć, jako pomocnikowi dowódcy pułku; na polowaniach zaćmiewał najwytrawniejszych myśliwych. Instynktowne odczucie natury kobiecej nauczyło go, że dziewczęta takie, jak Elżunia, zdobywa się najłatwiej olśniewaniem ich uzdolnieniami rycerskimi wielbiciela. Dwa razy spotkała go rekuza ze strony ojca ukochanej. Dopiero za trze-

cim razem, kiedy Elżunia dołączyła do błagań młodziana perły swoich łez, a matka wezwwała na pomoc wszystkie argumenty miłości i rozsądku, przemawiając niemi na jego korzyść — zmiętkło serce ojcowskie i choć wciąż jeszcze niechętnie, z całą powściągliwością człowieka zniewolonego, ale nie przekonanego — zdecydował się powitać w nim zięcia.

W jedną z niedziel majowych 1863 r. odbyła się uroczystość zaślubin młodej pary w starym kościełku pirgołowskim. Służyć on miał niegdyś — jak mówi podanie, narodowi pogańskiemu za „twierdzę Boga chrześcijańskiego” — i istotnie przypomina on bardziej twierdzę, aniżeli kościół, nieociosanemi płytami kamiennemi, które składają się na jego mury oraz czworoboczną wieżę z małemi okienkami, gęsto po o snuwanemi bluszczem. Wrażenie to potęguje ciemny przedsiemek. Tarcza herbowa Golcowów całkowicie niemal przysłania krzyż, zamiast figur Zbawiciela i Apostołów zdobi ściany nieprzerwany szereg płyt grobowych z wyrytymi na nich emblematami rycerskimi: hełmami i pancierzami lub też wyciosanemi z kamienia postaciami, które nieodmiennie powtarzają jeden i ten sam typ wschodnio-pruskiego arystokraty, bez względu na to czy regularne, nieco martwe rysy z dumnie odętymi wargami wyzierają z pod pikielhauby, czy też z gęstwiny trefionych loków peruki. Na grobowcach kobiet świadczą połączone herby, jak rzadko wydarzały się szczyrby w szeregach nieskazitelnie błękitno-krwistych przodków.

Do tego samego rodu należeć musieli też wszyscy świadkowie ślubu Elżbiety, zebrani z racyi uroczystości w starym wiejskim kościele, wszyscy wysmukli,

o cienkich wiązaniach kończyn i długich zaostzonych palcach, najwidoczniej nieimających się nigdy ciężkiej pracy. Z tą jedynie różnicą, że muskularna jedrność przodków przeistoczyła się w niedbały nieco wdzięk kształtów, a rasowa ich wytworność przybrała lekki odcień wyczerpanej dekadencji.

Rodzina oblubieńca stawiała się również w komplecie. Tem chętniej wzięła ona gremialny udział w uroczystości rodzinnej, że małżeństwo Jana v. Klewe zacierało gorycz mezaliansu jego ojca. Przedstawiciele rodu v. Klewe różnili się zasadniczo od typu v. Golcowów. W żyłach ich mieszała się krew raubrytterów z krwią patrycyuszów norymberskich. Postacie ich były rosłe, krzepkie i barczyste. Krótkie spodnie i wysokie pończochy ich bawarskiej górskiej ojczyzny bardziej im przystawały, niż frak i cylinder, a wiotka jak lilijka kibić oblubienicy dziwnie odbijała przy rudowłosej, o bujnych junonicznych kształtach Klotyldzie, siostrze pana młodego.

Jako zupełnie odrębne osobniki, nie mające nic wspólnego z pozostałymi członkami rodziny, wyróżniały się w licznej rodzinie obie matki oblubieńców. Życie wyniosło obie na szczyty, aby potem strącić je w przepaście i napiętnować stygmatem przebytej udręki.

Jedna — dziecię królewskie, dziecię miłości, której wyniosłą postać opływały zwoje szaty aksamitnej nakształt fałdów koronacyjnego płaszcza, której tęskne ciemne oczy promieniały pełnią rozumu i serca; — druga, dziecię ludu i pracy, obca i nieswoja w opiętej sukni jedwabnej, kryjąca w sztywnych rękawiczkach szorstkie, twarde dłonie, urobione w ciężkim mozołu, ryjącym też głębokie bruzdy na zmarszczonym

przedwcześnie starczem obliczu, znaczącym je pieczęcią woli żelaznej. Z wyjątkiem piwnych oczu, w których czaił się chochlik humoru, zwycięsko przełamujący wszystkie trudności i zapory, tchnęła cała jej postać spiszową mocą niezłomności i powagi.

---

Królewiec, w którym stał pulk mojego ojca, odległy był o trzy godziny jazdy rączym golcowskim przełęczem od Pirgołowa. Przenosiny nie były też dla córki bolesnem rozstawaniem się na długą metę z domem rodzinnym. Właściwie nawet pozostawała ona w nim w dalszym ciągu, pierwsze bowiem poślubne mieszkanie urządzono młodej parze w miejskim domu rodziców Elżuni.

Przez czas trwania podróży poślubnej przyodziała babka moja przyszłe gniazdko swoich dzieci. W zadanie to włożyła cały swój zasób smaku wytwornego, wszystkie myśli i rojenia o pięknie, harmonii i wygodzie ogniska rodzinnego.

Zielony salon miał głębokie angielskie fotele, dużą kanapę w kącie pod szerokiem weneckiem oknem, przed nią okrągły, okryty sukiennym obrusem, stół, a w przeciwległym rogu ogromny czerwony marmurowy piec. Obok salonu, oddzielony od niego tylko kotarą, położony był jasny buduar mojej matki o ścianach i meblach obitych wzorzystym kretonem. Na zgrabnem biureczku, ponad którem jaśniała kopia błogostawiającego Thorwaldsenowskiego Chrystusa, pełno było fotografii rodzinnych.

Z drugiej strony salonu urządzono gabinet ojca,



cały zastawiony ciężkimi meblami dębowymi, w których rzeźbionych arabeskach powtarzała się wielokrotnie sowa, ptak herbowy v. Klewów.

Salę jadalną udekorowała babka pięknymi rodzinnymi sprzętami w stylu Cesarstwa: okuty bronzami mahoń o żółtem jedwabnym wysłaniu.

Ściany obwieszone tu były portretami przodków: kobiety w rogówkach, bajecznie cienkie w pasie, z fryzowanymi, spiętrzonymi, obsypanymi pudrem, głowami, mężczyźni w kapiących od złota mundurach i długich perukach, a w pośród nich roześmiana, różowa, złotowłosa twarzyczka dziewczęcia, którą matka zawieszała potem zawsze w najciemniejszym kącie: Alicya, nasza prababka, królewska kochanka.

Duża, widna sypialnia, pokój gościnny, a nadto, szczelnie zamknięty, pilnie przez babkę strzeżony, pokój — jak gdyby Sinobrody krył w nim swoje żony — dopełniały całości mieszkania. Na wschodzie i zachodzie, na północy i południu, wszędzie, dokądkolwiek zaganiała mas tułacza dola żołnierska — pozostawały niezmiennymi te ramy domowego naszego życia. Z czasem przybyła bawialnia i sala balowa; zawsze jednak miały one dla mnie cechę obcości.

„Nie macie stałego gniazda rodzinnego” — mówiła moja babka — „powiniście więc, jak ślimak swój domek, wszędzie z sobą wozić własne sprzęty.

Kiedy rodzice moi wstąpili po powrocie z podróży poślubnej w te progi, stworzone, zdałoby się, dla rokoszy i miłości, zwarzył już pierwszy mroźny powiew kwiat ich szczęścia małżeńskiego. Nieświadoma życia, jak wszystkie, pilnie strzeżone ówczesne dziewczęta jej sfery towarzyskiej, wstąpiła Elżunia na ko-

bierzec ślubny. Czystym, jak ona, uchował się mężczyzna, któremu oddała rękę, tem płomienniejszą była wszakże namiętność jego uczuć i pożądań, gdy jej zmysły spały jeszcze, a wielka, głęboka tajemnica stosunku płciowego wydała jej się potwornością i ohydą. Nieraz mi później opowiadała, że, gdyby nie powstrzymywało jej uczucie wstydu w obec rodziców, byłaby najchętniej uciekła w ciągu pierwszych ośmiu dni małżeńskiego swojego pożycia. Z czasem dopiero zrozumiała, że mąż jej nie jest zbrodniarzem, a los jej nie różni się od losu innych kobiet. Cierpienia duszy, któremi dręczyła kochającego, subtelnie odczuwającego męża bardziej jeszcze, niż siebie samą, spotęgowała nadto niedomoga fizyczna, której powód również mało był dla niej zrozumiały. Usiłowała zwalczyć ją wysiłkiem woli tem bardziej, że zaskoczyła ją ona w obcym dla niej środowisku rodziny v. Klewów; nawet matce swojej nie śmiała się zwierzyć, nie chcąc niepotrzebnie jej niepokoić. Uzbroiwszy się w cały zasób energii, przyjmowała udział we wszystkich zabawach i uroczystościach; tańczyła i jeździła konno, chociaż często robiło jej się słabo i dziwnych doznawała zawrotów głowy. Błada i śmiertelnie znużona powróciła też do domu, który opuściła tak niedawno, jako kwitnąca, tryskająca pełnią sił i zdrowia, dziewczyna. Cień pierwszych tych cierpień i rozczarowań padł od tej chwili na całe jej życie.

Serce babki zadrgało na widok zmiany zaszłej w ukochanem dziecku. Niebawem jednak uspokoiła się, podwajając pieczołowitość i ciesząc się myślą o młodym życiu, poczętem w łonie córki. Mimo wszystkie wszakże jej starania spelzły te radosne dla niej, a drę-

czące dla córki nadzieje na niczem; zamiast pełnienia posług przy szczęśliwej młodej matce wypadło jej pielęgnować ciężko chorą młodą kobietę. Uleczyło ją dopiero balsamiczne powietrze Pirgołowa, i najbliższy już karnawał królewiecki powitał znów Elżunię, jako najpiękniejszą wśród pięknych licznego grona młodzieży. Tańczyła chętnie, miło jej było widzieć dokoła siebie chmary wielbicieli, a mąż jej szczęśliwym się czuł nad wszelki wyraz, gdy ona zadowolona była i wesołą.

W drugim roku jej zamężcia ponowiły się znów nadzieje macierzyństwa; z nieukrywaną radością przyjął je Jan Klewe, z głębokiem wzruszeniem — babka, tylko ta, pod której sercem nowe zakiełkowało życie, nie podzielała uczuć męża i matki. Jedyne, na co się zdobyć umiała, było cierpliwe poddanie się losowi, omroczone przecuciem poważnych, czekających ją obowiązków.

Babka zajęła się gorliwie przygotowaniem pokoju dla wnuczęcia: wszystko w nim było białe i pąsowe, wesołe i pełne prostoty. Jedyne ciemniejsze w nim sprzęty stanowiła: obita brązowym rypsem kanapa i okryty brązową ceratą stół. Pocziwa, stara kanapo! Wyciągałam na tobie moje członki w pierwszym poczuciu istnienia, po tobie dreptałam, gdy tylko nauczyłam się stawiać pierwsze kroki; w twoich zagłębieniach potajemnie ukrywałam najulubieńsze moje zabawki, wciśnięta głęboko w twoje poduszki, pożerałam chciwymi oczami pierwsze zbiory baśni, na tobie prześniłam pierwsze moje sny.

W trakcie przygotowań do godnego przyjęcia małego obywatela uległ stary Golcow ciężkiemu zapaleniu płuc.

Podczas jednej z tak często nawiedzających północne wybrzeże powodzi, sprowadzanych przez dzikie, zrywające wszelkie tamy, fale Kurońskiej zatoki i niweczających na długie lata całą wydajność łąk, stał godzinami po kolana w wodzie, usiłując na prześcigi z parobkami zatykać dziury w tamach, aż wreszcie przyplacił tę gorliwość śmiertelną chorobą. Na wieść o zasłabnięciu ojca przeniosła się Elżunia, ulubienica jego, do Pirgołowa. Długie tygodnie spędzić jej wypadło u wezglowia chorego i być świadkiem zmagania się silnego organizmu z widmem śmierci, która w końcu wyszła z tej walki zwyciężko.

I znów przyszła niedziela majowa, ale tym razem obwieściły ją dzwony żałobne, towarzyszące uroczystej ceremonii składania do grobu familijnego zwłok przedstawiciela jednego z najstarszych rodów w kraju. W całym komplecie stawili się znów członkowie rodziny, gremjalnie wystąpił też sztab królewieckiego pułku kirasjerów, w którym służył najstarszy syn zmarłego, Walter. W długim korowodzie szła służba i ludność miejscowa za trumną, którą ponieśli do grobu strzelcy ze starym leśniczym, towarzyszem nieboszczyka, na czele. Szczery żal zasepiał spalone od słońca twarze uczciwych tych pracowników. Werner Golcow dobrym był dla nich panem. Nie czuli oni nigdy jego pięści, ani bata, jak wszyscy dokoła towarzysze ze wsi sąsiednich, usprawiedliwioną była też obawa ich przed następcą, typowym pruskim junkrem.

Jego młodą, ładną twarz cechowała surowość i duma; nieudolnie sklecone wyrazy współczucia, wypowiedane zająkliwie przez służebników ojca, przyjmował z lekkim pochyleniem głowy, a rękę, którą

starodawnym obyczajem całować próbowali, cofał gestem zniecierpliwienia. Podwójnie też odczuli biedacy dobroć babki, nie mającej w sobie nic z pańskiej wyniosłości, nie dającej nigdy odczuwać podwładnym przepaści między panem a sługą. Kiedy po złożeniu zwłok do grobu przyjęła ich babka, jak kazał obyczaj, w wielkim przedsionku pałacowym, cisnęli się do niej, jeden po drugim, z pełnym lęku pytaniem: „Nie porzuci nas przecież nasza pani baronowa?” Jakkolwiek odpowiedzią było im tylko smutne potrząśnięcie głową i bolesny uśmiech na zgębnionem obliczu, rozeszli się jednak nawpół uspokojeni.

W sześć tygodni później przyszedł na świat w żarem ziejącą niedzielę lipcową. Róże w pełnym, pysznym stały rozkwicie, a w starej, wonnej alei duchów, po której nocami krążyć miała, z głową pod pachą „wiedźma pirgołowska”, upajająco pachniały lipy. Dźwięk dzwonów towarzyszył powracającym z kościoła, kiedy ujrzałam światło dzienne.

Śpieszno mi było do życia, do którego utorowałam też sobie drogę bez pomocy — mądra pani nadbiegła, kiedy babka tuliła mnie już w objęciach, a ojcu na widok pierworodnego dziecięcia splotywały wielkie, jak groch, łzy rozczulenia po wybladłych z wzruszenia policzkach.

Ochrzczono mnie w starym kościele, po nad kryptą grobową moich przodków. Dzieci wiejskie przeistoczyły ponurą nawę w altanę jaśminową i pewnie dlatego najmilszym ze wszystkich kwiatów jest mi widok i zapach tych gwiazd śnieżno-białych. Listki ich pływały nawet w święconej wodzie, a gdy siwowłosy pro-

boszcz bryznął nią na moje czoło, przywarł jeden z nich do ciemnej główki.

„A gdybym przemawiał wszystkimi językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał, byłbym jako miedź brzęcząca i jako cymbał grzmiący” — brzmiał tekst kazania, przypadającego w dniu chrztu mojego, na którym dano mi imię Alicyi. Wybrała je moja babka, nadając, wbrew woli córki, pierwszej wnuczce imię matki swojej, którą tem goręcej ubóstwiała, im bardziej potępiał ją świat.

Pozostałam w Pirgłowie. Daremnie usiłowano przystawić mnie do piersi matczynej. Czy to z powodu jej własnej niechęci, którą przewyciężyć próbowała jedynie przez poczucie obowiązku—czy też z powodu wcześniej rozbudzonego uporu mojego, — matka i dziecię zdawały się nie chcieć wzajemnie znać siebie, i wskutek tego karmicielką moją została silna żona rybaka, która dawała pierś na przemiany mnie i własnemu synkowi. Pielęgnowana przez nią i przez babkę, do której ciemnowłose niemowlę dziwnie było podobne, spędziłam u niej pierwszą zimę. Ojciec mój zgodził się na to z żalem, widział bowiem, że lepiej mi tu było, aniżeli w Królewcu, gdzie stosunki towarzyskie absorbowwały całkowicie moją matkę. Często wszakże taka go ogarniała tęsknota, że, nie zważając na wichry i słoty, pędził co koń wyskoczy — jak niegdyś do wybranej serca — do maleńkiej córeczki, aby ją upieścić, ukołysać w ramionach. Babka moja płakała przy tem zawsze, jak mi opowiadała później piastunka. Przez długi czas nie wiedziałam, dla czego.

Potem przyszła wojna, zła, bratobójcza niemiecka wojna. Ojciec mój był szefem jednego z pułków wyniszczono-

nych niemal doszczętnie przez mordercze walki w Czechach. W lasach Königgrätzu zwała go z konia nieprzyjacielska kula. Gdyby nie kilku wiernych grenadyerów, którzy kochali go jak ojca i, bez względu na własne wyczerpanie, wyruszyli raz jeszcze późną nocą w pole, aby — jak sądzili — odszukać zwłoki pułkownika, byłby marnie uszedł we krwi.

Żalodne skowytanie naszego pinczera, Puka, doprowadziło ich na ślad rannego. Z chwilą, gdy tylko można było pomyśleć o przeniesieniu go, sprowadzony został do Królewca. Matka, kobieta silna zazwyczaj, straciła wszelką moc panowania nad sobą na widok wynędzniałego, straszliwie zeszpeconego męża. Tak była zrozpaczona, że on sam musiał ją pocieszać z bolesnym uśmiechem.

Dłgie, długie tygodnie przeleżał na łożu boleści w dawnej naszej bawialni. W miarę postępującej rekonwalescencji zajmował się mną coraz gorliwiej. Nie znałam nigdy człowieka, który posiadałby w tak wysokim, jak on, stopniu umiejętność bawienia się z małymi dziećmi.

Pierwsze moje mgliste wspomnienie — wyśmiewano mnie zawsze, ilekroć o tem mówiłam, nie miałam wówczas bowiem jeszcze dwóch lat — rysuje mi ciemno zawieszony pokój, a w nim duże, brązowe łóżko, z którego blady mężczyzna wyciągał ku mnie ramiona. Wiem, że krzyknęłam głośno, że głowa mężczyzny opadła bezsilnie na poduszki, a ja, z uczuciem ulgi, znalazłam się znów w moim jasnym pokoiku. Potem pamiętam znów ojca we fotelu na kółkach, a siebie na jego kolanach, bawiącą się dużym jego, ciężkim zegarkiem, który wydzwaniał delikatnym, cienkim

głosikiem kwadransie i dla tego zdawał mi się zawsze czemś żywym. Gdy odwracam inną kartę moich wspomnień, widzę wielkie pąsowe kielichy kwiatowe, zagładające do moich okien. Było to w Poczdamie, dokąd przeniesiono po wojnie pułk mojego ojca i gdzie w otoczonym ogrodem domu, przed którym stary cienisty kasztan sprawował wartę honorową, zajmowaliśmy całe pierwsze piętro.

Obok nas, przedzielony tylko sztachetami ogrodu, mieszkał drugi z rzędu brat mojej matki, Maks, oficer pułku huzarów, ożeniony z jedną ze swoich kuzynek z Alzacyi. Do mieszkania parterowego, położonego pod naszym, i mającego wielki taras, którego balustradę zdobiły małe kamienne amorki, nabierające życia w sennych moich marzeniach, wprowadziła się w rok po naszym przyjeździe moja babka.

Walter Golcow rozstał się po przebytej kompanii ze strojem żołnierskim i osiadł na wsi, objąwszy w posiadanie dobra, któremi zarządzała dotychczas podług dawnego systemu babka moja, mając do pomocy staro, wypróbowanej sumiennosci rządce. Próbowała przez czas jakiś jeszcze pracować obok syna w sposób, do jakiego dawniej była przyzwyczajona, zbyt ostre były jednak przeciwieństwa ich natur. Łagodność jej mianował Walter słabością, a dobroczynność-rozrzutnością. Zdawało się w istocie, że wyzyskiwano jej dobroć, że gotową do wszelkiej pomocy i ofiar, usiłującą odnaleźć czy wyczuć w każdym człowieku dobrą jakąś stronę, podchodzono i oszukiwano. Syn używał faktów takich, jako pretekstu do coraz mocniejszego ograniczenia jej filantropijnej działalności. Wszystko to nie mogłoby jeszcze tak boleśnie jej dotknąć, bowiem, jako



pani własnego majątku, miała prawo nim rządzić w sposób, jaki uważała za właściwy; prawdziwie nie do zniesienia wszakże stała się egzystencja jej obok syna wskutek gorączkowej niemal pasyi jego nowatorskiej: wszystko w domu i gospodarstwie uznał za nieodpowiednie, przeróbki i nowe nabytki, które przezorny gospodarz, w przewidywaniu możliwości złych lat, rozkłada na dłuższy okres czasu, miały być dokonane w ciągu kilku miesięcy. Babka przestrzegała, prosiła, zabiegała — wszystko nadaremnie. Syn głuchy był na jej perswazyę. Stajnie zapełniły się doborowemi końmi zaprzęgowemi, wozownie i szopy — wszelakiego rodzaju maszynami, z którymi niewiele kto umiał się obejść, dom — nowoczesnemi meblami, w obec niesmacznej elegancyi których ustąpić musiały dawne, solidne sprzęty pradziadów.

Doszło do ostrych starć między matką a synem. Konflikt wybuchł w całej pełni, gdy syn w obecności matki śmignięciem szpicróżgi przeciął policzek niezręcznemu chłopcu stajennemu tak, że ten, obłany krwią, upadł na ziemię. W kilka dni po tem zajściu uwiozła stara landara familijna babkę z miejsca jej wieloletniej działalności, z pełnego wspomnień zakątka przybranej jej ojczyzny. Nie oglądała się za sobą i nie płakała, zbyt boleśnie odczuła najstraszliwszy cios, który spotkał ją jako matkę: przeświadczenie, że własne jej dzieci są jej obce.

Miałam cztery lata, kiedy babka przyjechała do Poczdamu. Portret olejny córki i wnuczki, malowany dla niej wówczas, świadczy, że i ja byłam dla mojej matki takim obcym dzieckiem.

Od jasnej jej postaci, otoczonej aureolą złotych

włosów, od przejrzystej cery, opromienionej morskim błękitem oczu, dziwnie odbijała dziewczynka, której wążka, żółtawa twarzyczka, okolona była czarnymi, wijącemi się w loki włosami, której czarne, rozmarzone oczy pytająco spoglądały w świat. Od małego dziecka pełna byłam, niewolnego od zazdrości, podziwu dla jasnej, północnej, urody mojej matki, a towarzyszonim moim wystarczało nazywać mnie „czarną Alicją”, aby wywoływać z mojej strony łyzy bezsilnego gniewu; sami oni byli wszyscy jasnowłosi, a na niedorostków już wpływa przewaga większości przekonywająco. Przywódcami, dokuczliwych takich żartów, które we wczesnym już dzieciństwie zniechęciły mnie do obcowania z rówieśnikami, był kuzyn mój, Werner, a także Ada, córeczka jednego z pułkowych towarzyszy mojego ojca. Z okrucieństwem, właściwem jedynie małym latoroślom ludzkim, mścili się oni dokuczaniem mi za moją odmienność. Jedyne momentami, jednoczącemi nas wszystkich troje, były pomysły psikusów, urządzanych przez nas francuskim naszym bonom. Wszyscy jednak nie mogliśmy ich znieść, uważając je za zło konieczne, wyrządzające nam wszystkim jednak wielką krzywdę.

Co rano, w pogodne dni, prowadziły nas one do parku Sans-Souci, przyczem nie wolno nam było powiedzieć ani słowa po niemiecku, ani też chodzić inaczej, aniżeli nam kazano: wszystko troje rżędem obok siebie. Dopiero kiedy wszystkie trzy panny siadały na ławkach z robotami szydełkowemi w rękach, a żywość ich przyjacielskiej gawędy dochodziła do punktu kulminacyjnego, korzystaliśmy co rychlej z okazji uciekania po za pole ich widzenia, i wtedy ja obejmowałam rolę przywódcy. Chowaliśmy się w najgęstsze zarośla, aby

odgrywać w zielonym półcieniu fantastyczne bajki. Żywa moja wyobraźnia udzielała się moim towarzyszom; pod zmurszałymi posążkami kamiennych bogów kopali oni gorliwie, szukając ukrytych skarbów, o których opowiadałam nadzwyczajne, „prawdziwe” historie, albo też krążyli cierpliwie dokoła pałacu, czekając z biciem serca na ukazanie się rycerzy i wrózek, których, tyle już razy widziałam. Co prawda, gdy oczekiwanie to zbyt długo trwało, ciężko wypadało mi odpokutowywać za zawód, a nadto, kiedy umorusane nasze ręce i pogniecione sukienki ściągały na nas łajania i gniewy trzech cerberek, uważana byłam zawsze za główną winowajczynię. Z czasem przywykł mój silny i prozaiczny mały kuzynek reagować na wybuchy nieokielzanej mojej fantazyi pogardliwym, „eh, takie głupstwo”, co mnie drażniło do łez i zupełną odbierało ochotę do rozmawiania z nim. Kiedy w chwilach podobnego zgnębienia grzecznie bawiłam się kółkiem lub piłką i nie uciekałam w zarośla, chwaliła mnie moja *mademoiselle*, mówiąc: „Comme elle devient raisonnable!”

Nie zdążyłam jeszcze umocnić się należycie w nabyciu wszczepianych mi przez wychowawczynię dobrych obyczajów, kiedy ciężkie spotkało mnie strapienie. W ogródku naszym, w którym spędzaliśmy zazwyczaj poobiednie godziny na zabawie, leżało dużo barwnych, ostrych kamyków. W kącie, pod krzewem jaśminu, — białe kwiaty zdawały mi się zawsze najlepszymi powiernikami tajemnic — nagromadziłam najpiękniejsze, jakie udało mi się odnaleźć. Święcie wierzyłam, że kryją one w swoim wnętrzu połociste karoce zaprężone w białe rumaki, błyszczące korony królewskie i zamki marmurowe, nieraz też namęczyłam się, usiłując roz-

bić je młotkiem. W końcu jednak została tajemnica moja wykryta; kuzynek którego zarazić musiał mój zachwyty na myśl o wszystkich spodziewanych cudach, usiłował sam również rozłupać kamyki, co mu się wreszcie udało. „O, jakaś ty głupia!” zawołał za-perzony na widok szarych drobnych złomków: „prze-cież to najzwyczajniejsze kamienie!”

Nieraz jeszcze potem w życiu szukałam cudownych objawień pod bezduszną powłoką, czyniłam też nadludzkie wysiłki, aby do nich dotrzeć, nigdy wszakże nie raniło mnie już tak boleśnie rozczarowanie, jak wówczas, kiedy jako, dziecko pięcioletnie, płakałam gorzko nad rozłupanymi kamykami.

Ilekróć wyśmiewano mnie, a ja wpadałam w rozpacz, której powodu nikt nie umiał zrozumieć, pozostawała mi jedyna ucieczka, jedyny człowiek, umiejący znaleźć dla mnie zawsze właściwe słowa pociechy: babunia. Jakże często chroniłam się do cichego jej państwa, w którym siadywała pomiędzy kwitnącemi krzewami i zielenią palm, w głębokim skórzanym fotelu, zajęta czytaniem, pisaniem albo też wprost po-grążoną w głęboką zadumę. Zawsze miała czas dla mnie, nie wyśmiewała mnie nigdy, i nigdy też nie zby-wała tysięcznych moich pytań tak urażającym wrażli-we dusze dziecięce opryskliwym: „Nie możesz tego zro-zumieć!” A kiedy park i ogród, las i rzeka zaludniały się dla mnie szeregami istot tajemniczych, kiedy tań-czyły one i pląsały co wieczór dokoła mojego łóżeczka, wiedziałam, że babunia widzi je tak samo, jak ja; tyl-ko wszyscy inni nie umieli ich dostrzedz. Kiedy siedzia-łam u niej, wydawały mi się jej pokoje zaczarowanym królestwem z bajki: z pomiędzy pierzastych palm u-

śmiechała się do mnie piękna, biała, młodzieńcza głowa jej ojca—na poły Cezar, na poły Antinous,— ze ścian patrzyły na mnie portrety mężczyzn i kobiet, z którymi zżyłam się od pierwszych świadomych chwil mojego życia, mimo że strojem i wyglądem byli mi obcy. Pod jednym z nich stał na małym postumencie zimą i latem bukiet kwiatów. Był to portret wieszczki, u którego stóp siadywała moja babka, będąc dzieckiem, a potem młodą dziewczyną, autorką opowieści o polnej różyczce, pierwszej, której się nauczyłam na pamięć i przy której końcu załamywał mi się głos ze wzruszenia: „Nie pomógł ból i żal, cierpieć biedna musiała!”

Na stołeczku, przy babuni, z głową zanurzoną w miękkie, fałdy aksamitnej jej sukni, z oczami utkwionymi w drżące płomyki kominkowego ogniska, wsłuchana w cichy jej głos, opowiadający mi piękne historie o śnieżce i zaczarowanej królownie, albo o małej rusałce, co z miłości dla urodziwego księcia przeszła przez bólów tysiące, aby zwykłą stać się śmiertelniczką i w końcu musiała znów w chłodną pogрузić się toń—spędzałam najczarowniejsze godziny wczesnego mojego dzieciństwa. Wszystko to były dla mnie przeżycia stokroć donioślejsze od wydarzeń zewnętrznego życia, o których wieści dochodziły do moich uszu.

Dla tego też nie wiele wiem o francusko-niemieckiej wojnie, mimo że przeżyłam ją, jako prawie sześćoletnie już dziecko. Pamiętam siebie wprawdzie, skubiącą szarpie przy oknie lub też składającą swoje śniadanie do skrzynki, przeznaczonej dla biednych żołnierzy i wysyłanej przez matkę moją co tydzień; pamiętam też, że na każdą wieść o zwycięstwie wydawałam okrzyki

tryumfu, a po wzięciu Sedanu wtykałam świece iluminacyjne do napełnionych piaskiem szklanek.

Pozostało mi również w pamięci, jak bardzo pięknym był wjazd zwycięzców do Berlina, czemu przyglądałam się, przystrojona w błękitną jedwabną sukienkę, siedząc wraz z matką w oknie jednego z hotelów pod Lipami, a także, jak laurowy mój wianuszek, którym celowałam w pikę jednego z wojaków, upadł na otwartą parasolkę jakiejś poczciwej mieszczki berlińskiej. Nic jednakże nie wiem o żadnej ekstazie patryotycznej, o przejęciu się dumą narodową z powodu zwycięstwa, odniesionego przez rodaków. Może oddziaływał na mnie stan przygnębienia, panujący u nas w domu, w którym nie czuło się ani na chwilę nastroju radosnego, nie tylko dla tego, że synowie i mężowie wystawieni byli na zmienne losy wojny, ale również i dla tego, że bliscy, ukochani krewni babki służyli w wojsku francuskim. Siostrzeńcy jej przybyli jako jeńcy do Berlina; posunięty już mocno w lata brat jej matki, który zdobył ostrogi, jako młodzieniec, przy Napoleonie I, walczył z tą samą gorącą miłością ojczyzny przy jego następcy.

Okoliczności te sprawiły, że w domu naszym nie istniała owa nienawiść rasowa, wpajana następnym pokoleniom młodzieży niemieckiej. Sądzę zresztą, że wrzaskliwy patryotyzm, tak powszechnym będący dzisiaj zjawiskiem, rozwija się tylko w czasie pokoju. Kto zetknął się oko w oko z wojną, zachowuje dla ojczyzny uczucie niemniej głębokie, ale cichsze i bardziej skupione. Dopiero kiedy przebrzmia ostatnie echa przebytych walk, urastają one do znaczenia środków, za pomocą których wszczepia się zapal pokoleniom

następnym. Dla tego też może nie odcisnęły wszystkie te przebyte chwile żadnego trwałego śladu na usposobieniu mojem ani na mojej wyobraźni. Jedynie chwila powrotu mojego ojca była dla mnie wydarzeniem radosnem, oczekiwałam też go z uniesieniem.

Przywiózł nam wszystkim z Francyi podarki, dobrane starannie, z myślą o rozpromienionych twarzach obdarowanych i kosztujące zapewne dużo pieniędzy. Wszystkie te piękne rzeczy przejęły mnie radością bez granic. Zajęta byłam właśnie przed lustrem okręcaniem sobie dokoła głowy cieniutkiego złotego łańcuszka, u którego zawieszona perła spadała mi na czoło niby lśniąca kropla rosy — moje czarne kędziory nie wydawały mi się przy niej tak brzydkimi — kiedy nagle ujrzałam w zwierciadle odbicie twarzy mojej matki. Bolesnie zdziwiona, obejrzałam się: zwoje jedwabi i aksamitów leżały rozłożone przed nią, ojciec patrzył na nią serdecznie pytającym wzrokiem, a ona — nie cieszyła się ani trochę! Pierwsze słowa, jakie z ust jej popłynęły, były słowami nie podzięki, lecz ostrej wymówki za „niepotrzebne wydatki”. Niezwykle szorstkim ruchem ściągnęła mi z głowy łańcuszek, który — wiedziałam o tem dobrze — zginie nazawsze w niezmiernych głębinach sekretarki, pochłaniającej stale najpiękniejsze ozdoby, „dopóki Alicya dorosnie”. W końcu podziękowała ojcu ceremonialnym frazesem, którego sztywność i chłód wyczułam wrażliwem dziecięcym mojem serduszkim. Ciemny cień padł na nasz nastrój radosny. Ojciec wyszedł z domu przygnębiony, a ja zaszyłam się w najbardziej ukryty kącik. Pierwszy raz odczułam nieświadomie prawdę faktu, że radość jest jedną z najczulszych roślin: gdy dochodzi do pełni rozkwitu, wystarcza ostry powiew

zimna, aby zwarzyć ją bezpowrotnie. Musi być podtrzymywana i chroniona, i tylko naturalny jej uwiad jest bezbolesny.

Nastrój domu pozostał od tej chwili przygluszony. Usiłując zdobyć sobie miłość swojej pięknej, chłodnej żony, wdzięczny był ojciec mój za każde cieplejsze jej spojrzenie. Jakże często brał mnie na kolana, tulił policzki moje do swojej twarzy, pieścił mnie i głaskał, ale oczy jego szły za nią, krążącą po pokoju, i śledzącą czujnie, czy nie pozostał jeszcze pyłek jaki na sprzętach. Wkrótce po powrocie ojca do domu rozeszła się wśród domowników wieść, że stan zdrowia matki wymaga dłuższego wypoczynku. Spakowano wielkie kufry, poczem ruszyliśmy w drogę do Szwajcaryi: babka, matka i ja, mademoiselle i panna służąca. Jakże prędko zapomniałam o biednym osamotnionym ojcu! Przesunęły się dokoła mnie niezapomniane obrazy lśniących srebrzystą bielą lodowców, błękitnych jezior i kaskad perlistych, kwiecistych dolin i potwornych przepaści. Nigdy nie wydała mi się moja bona równie wstrętną ze swoim wieczystem: „*Tiens toi droite — ne cours pas si vite — sois raisonnable*”. Rzucić się z rozwartemi ramionami na aksamitną murawę mchu, biegać i skakać, dać się unieść niby na skrzydłach, wdrapywać się na strome szczyty po głazach i złomach, wyżej i wyżej aż na srebrzące się u stropu nieba wierzchołki — o tem śniłam i marzyłam.

Pewnego dnia nie mogłam już dłużej wytrzymać. Miejszkaliśmy właśnie nad jeziorem Czterech Kantonów, kiedy wybiegłam z domu bez planu, bez celu, cała przejęta rokosznem uczuciem zerwanych wreszcie pęt. Dopiero kiedy zaczęło się ściemniać, odzyskałam świa-



domość popelnionego szaleństwa, gdy nagle zaszło coś tak nadzwyczajnego, że znów zapomniałam o wszystkim: martwe białe szczyty zapłonęły rumieńcem życia. Stałam oczarowana. Wtem rozległy się krzyki i trwożliwe nawoływania — to wysłańcy hotelowi szukali zbiega. Powróciłam w milczeniu do domu, a ostre wymówki tak boleśnie zazwyczaj raniące, nie były w stanie mnie poruszyć; przeżyte wrażenia stępiły mnie na wszelkie inne odczucia. Babce jedynie zwierzyłam się szeptem z wielkiej tajemnicy: jak kolosy górskie życia nabrały w moich oczach.

Jesienią powróciła babka do Poczdamu, a matka i ja pojechałyśmy do Augsburga, do siostry mojego ojca, Klotyldy. Poślubiwszy barona Arterna, młodszego brata ciotki Kleve, u której była wychowana, zaznała ona krótkich tylko chwil promiennego szczęścia małżeńskiego, rychło bowiem owdowiała. Przez długie miesiące zdawało się, że tęskne jej pragnienie pójścia za małżonkiem zostanie spełnione. Powoli wszakże powróciła ją życiu, serdeczna tkliwa opieka i pełna poświęcenia miłość, jakimi w tych ciężkich chwilach otoczył ją mój ojciec. Nie istnieje chyba skuteczniej kojąca serdeczne rany siła nad miękkie ramionka, jasne oczy i wesoły uśmiech dziecka. Jej biednej odmówiły losy i tej pociechy; ojciec mój miał nadzieję, że odnajdzie ją ona we mnie.

Przybyłyśmy do Augsburga w mroczny wieczór październikowy. Na dworcu oczekiwał na nas służący w żalobnej liberyi; wsiadłyśmy do ciemnego powozu i pojechałyśmy przez ciemne, kręte uliczki, których domy wydały mi się dziwnie martwe i ponure. Powóz skręcił do skąpo oświetlonej alei wjazdowej i stanął pod sze-

rokami, usłaniami dywanem i opatrzonemi artystycznie kutą poręczą schodami. Na samym dole powitała nas stara służebna, potrząsająca pękiem zwieszonych na czarnym jedwabnym fartuszklu kluczy. Na górze stała, niby księżna udzielna, pani tego domu. Wyniosłą jej postać opływały posępne zwoje krepy żałobnej, na której tle jaśniej odcinała się blada twarz, okolona gęstwiną rudo-złoty włosów. Płacząc, uściśkała ona swoich gości. Wzruszona jej cierpieniem, rozplakałam się i ja także. 'Dobre, drogie dziecię'—wyjąkała przez łzy i serdecznie mnie ucałowała; zdobyłam sobie odrazu jej serce.

Dziwne rozpoczęło się dla mnie życie w tym szarym domu z jego długimi, ponuremi komnatami, obwieszonemi ciemnymi obrazami, obstawionemi ogromnemi ciemno-brunatnemi szafami i usłaniami puszystemi dywanami, w których tonęły niedosłyszalnie kroki. Drzwi obite były sukniem, aby odgrodzić mieszkańców od wszelkiego głośniejszego dźwięku, dzwonki miały w tym celu przytłumiony, cichy ton. Ciotka moja nie znosiła żadnego szmeru. Zapowiedziano mi to surowo, ale i bez tego upomnienia byłabym zupełnie cichą w tym domu. Tylko na górze, w pokoiku starej Katarzyny, gospodyni, która mnie pokochała całym sercem, wolno mi było śmiać się i dokazywać, kiedy zaś odwiedzałam wszystkich, zamieszkałych w mieście, krewnych i przyjaciół, doznawałam wrażenia, jakgdyby przeniesiono mnie z zaczarowanej krainy snów do świata ziemskiego. Oni pierwsi rozbudzili we mnie próżność dziewczęcą. Otaczali mnie odurzającą, miękką, cieplarnianą atmosferą podziwu, a kiedy matka moja, ilekroć zostawałyśmy same, oblewała mnie wiadrami mrożącej wody rozczarowania, widziałam w tem jedynie z jej strony chęć

omroczenia mojej uciechy. O ile dawniej czułam się upokorzoną świadomością, że jestem inna, o ile uważałam się za brzydką w zestawieniu z jasnowłosemi moimi towarzyszkami, o tyle stopniowo nauczyłam się widzieć w mojej odrębności cechę, wyróżniającą mnie dodatnio.

W pokoju moim, w którym sypiałam sama, mademoiselle została bowiem w Szwajcaryi u swoich rodziców — stała zamknięta szafa. Odczytywałam przez szklane drzwi tytuły na grzbietach książek, o ile pozwalała na to bardzo licha moja znajomość niemieckiego alfabetu; płynnie władałam do owego czasu jedynie francuzczyzną.

Na całym szeregu dużych tomów in-quarto powtarzały się wciąż te same wyrazy: „Historia z tysiąca i jednej nocy”. „Tysiąc i jedna noc” — czyż nie tak nazywała się książka z pięknymi kolorowanymi obrazkami, z której babka czytała mi cudne przygody Aladyna? W Augsburgu nie opowiadał mi nikt bajek, stara Katarzyna powtarzała wciąż tylko te same opowiadania o strachach — ach, gdybym mogła te książki dostać i czytać je sama! Próbowałam potajemnie otwierać szafę wszystkimi kluczami, jakie mi wpadły w ręce, aby dostać się do skarbów w niej zawartych. Wreszcie, po długich, bezowocnych próbach, podskoczyłam pewnego dnia radośnie. Jakie to szczęście, że mnie gardło bolało i mama pojechała sama z ciotką.

Z bijącym ze wzruszenia sercem wyjmować zaczęłam jeden tom po drugim — dzisiaj jeszcze widzę przed sobą brunatną skórę ich oprawy i pożółkły, pokryty plamami pleśni papier — aby obejrzyć tysiące, znajdujących się w nich, obrazków: duchy i potwory, rycerzy na spienionych rumakach, dostojników w wysokich tur-

banach, z zakrzywionemi szablami u pasa i cały szereg przepięknych, uroczych kobiet. Odtąd miewałam często „ból gardła”; znosiłam z anielską, chwytającą za serce cierpliwością, nacierania i okłady, a nawet pozwalałam sobie przykładać kawałki czerwonej flaneli, którą dawniej momentalnie zrzucałam. Jak tylko zostawałam sama, zagłębiałam się po uszy w książki.

Były to nieskrócone przekłady wspaniałego zbioru bajek; nauczyłam się na nich czytać. Cały przepych barw, cały żar Wschodu oplatały mnie niby płaszczem czarodziejskim. Jakże często, kiedy wychodziłam z płonącemi policzkami i błyszczącemi oczyma na spotkanie powracającej do domu matki i ciotki, zakładano mi termometr pod pachę!

Nie miałam jednak gorączki, — bawiłam się przecież tylko wycinankami, porozrzucanemi w nieładzie na moim stole!

Dlaczego tałam prawdę? Nietylko z obawy, że matka zamknęłaby napewno książki, ale przede wszystkim dlatego, że wszystko, co mnie najgłębiej poruszało, musiało być tem głębiej ukryte. Zdawało mi się świętokradztwem, odzieraniem ze wszelkiego uroku, pozwalanie, aby inni widzieli to, dotykali tego lub o tem mówili. Jedynie tylko babce byłabym wszystko powiedziała. Nikt nie dostrzegł tajemnicy, którą okryte było moje życie, nikt nie podejrzewał nawet, że w ciemnych korytarzach i głębokich niszach widziałam, jak żywe, przed sobą wszystkie postacie przeczytanych bajek, że spoglądały one na mnie z poza ram porozwieszanych na ścianach obrazów, że połam się chciwie dziwnie ciężką, duszną atmosferą duchową.

Od wczesnego już dzieciństwa miałam zwyczaj

opowiadania samej sobie wieczorem w łóżku całych historii; były to najroskoszniejsze moje godziny! Nigdy wówczas nie wyrwała mnie z krainy marzeń brutalna dłoń rzeczywistości, nikt mnie wówczas nie wyśmiewał szyderczo. Od czasu zapoznania się z treścią ksiązek stała się wyobraźnia moja bujniejszą, stwarzając obrazy coraz dziksze, przejmujące mnie samą takim lękiem, że, drżąca, chowałam się przed nimi pod kołdrę. Często czekałam z gorączkową niecierpliwością na odgłos kroków matki mojej w sąsiednim pokoju, nie śmiałam jednak wołać jej, kiedyś bowiem skrzyczała mnie za „głupie przejmowanie się strachami”.

W owym czasie przeniesiony został ojciec mój do Karlsruhe. Oboje z babką zajęli się przeprowadzką, wyszukaniem i urządzeniem mieszkania. Oboje też oczekiwali nas, kiedy nareszcie powróciłyśmy do domu po półrocznej nieobecności. Rozstanie się z Augsburgiem było dla mnie nad wyraz ciężkie, pomimo bowiem łamanie głowy na wszystkie strony, nie udało mi się zabrać potajemnie ukochanych ksiązek. Ojciec i babka przerażili się na mój widok. „Jakaś ty blada, moje dziecko” — westchnęła babka. „A jakie masz sińce pod oczami” — dodał ojciec.

Kiedy po raz pierwszy weszłam do jego gabinetu: długiego, wąskiego pokoju o jednym szerokim oknie, ujrzałam przesuwającą się obok mnie białą, jakby utkaną ze mgły postać z pochyloną głową. Krzyknęłam głośno, a kiedy po długich naleganiach opowiedziałam, co mi się zdarzyło, zachnęła się matka niecierpliwie, a ojciec zamruczał coś gniewnie o „głupstwach, wbitych w głowę biednemu dziecku”. Tylko babka wzięła mnie na stronę i zaczęła długo i serdecznie

do mnie przemawiać. Nie pamiętam już, co mówiła, ale wiem, że rozwiązał mi się odrazu język i zmiękło serce. „Zostań przy mnie, babuniu!” błagałam, tonąc we łzach. Innym wszakże była babka potrzebniejszą jeszcze niż mnie; pojechała do złożonego chorobą najmłodszego swojego syna, a ja znów pozostałam sama.

Było to podczas surowej zimy. Ze smutkiem i zazdrością patrzyłam poprzez szyby podwójnych okien na placyk, na którym bawiły się dzieci, rzucały kule śnieżne i lepily bałwana ze śniegu. Rzadko tylko pozwalano mi wychodzić. Od małego dziecka zapadałam na zapalenia gardła, i matka moja ze źle zrozumianego poczucia obowiązku wypuszczała mnie na ulicę tylko przy zupełnie bezwietrznej pogodzie. I wówczas jednakże otulano mnie szczelnie i nie pozwalano biegać jak innym dzieciom. Osamotniało mnie to jeszcze bardziej. Mam wrażenie, jak gdybym przesyiała w dzieciństwie wszystkie zimy — tak mało wiem o nich. Daleko lepiej pamiętam wiosny i lata. Poza domem naszym ciągnął się duży ogród, pełen starych drzew kwitnących i różnobarwnych roślin. Tutaj było moje państwo. Wolno mi tutaj było biegać, budować pieczary, prowadzące do ukrytych skarbów podziemnych, bujać się na huśtawce, hen, wysoko, pod obłoki, które nie były wcale obłokami, tylko smokami i zaczarowanymi ptakami. Tutaj mogłam tajemnie wieść rozmowy z mojami piłkami, noszącymi nazwy wzięte z bajek, tak iż sąsiedzi pewni byli, że mam pełno towarzyszek w ogrodzie. Puk, stary nasz pinczer, posiwiały w ciągu obu odbytych kampanii, musiał wyprawić tutaj młodzieńcze harce, służył mi bowiem za pegaza, który miał mnie unosić w zaczarowaną krainę fantazyi.

Przez większą część dnia pozostawiona byłam samej sobie. Mademoiselle rada była, że mogła nie otwierać ust i spokojnie siedzieć na kanapie z wieczną swoją szydełkową robotą. Ojciec zajęty był całe przedpołudnie w biurze generalnego sztabu, po obiedzie wyjeżdżał z matką konno na spacer, a potem pracował w swoim gabinecie do wieczora. Matka miała zawsze dużo wizyt do składania i odbierania, a odrobinę czasu, która mogłaby jeszcze zbywać obojgu, pochłaniały niezmiennie ożywione w każdej porze roku stosunki towarzyskie. Tylko przed obiadem, między pierwszą a drugą, zwykła była matka moja zabierać mnie na spacer. Z kółkiem, nieodłącznym moim towarzyszem, biegłam naprzód do jednej z owych pustych, długich, prostych alei, zbiegających się wachlarzowato na placu zamkowym, a potem po cienistych alejach parku aż do chwili, w której była pora iść po ojca do jego biura. Punktualnie w tym samym czasie kończył też komendant pułku, generał v. Werder, zwycięzca z pod Wörth, przedobiednią swoją pracę, i wychodził razem z ojcem, aby towarzyszyć nam w drodze do domu, bardzo bowiem lubił piękne kobiety, matkę zaś moją w szczególności. Widzę jeszcze tego małego człowieczka ze splecionymi na plecach dłońmi i błyszczącymi oczyma na ostro zarysowanej twarzy, jak szedł obok nas, z gotowym zawsze dowcipem na ustach i kieszenią pełną łakoci dla mnie.

Kółko moje spoczywało w drodze powrotnej, ojciec bowiem trzymał mnie wówczas za rękę, a pytania i odpowiedzi krzyżowały się bez końca. Jakkolwiek nie miał zrozumienia dla mojej wyobraźni, ja zaś strzegłam się ze zwierzaniem z niej przed nim, nikt wszakże nie umiał równie dobrze jak on zaspokoić mojej żądy

wiedzy. Posiadał on specjalny sposób wyjaśniania mi wątpliwości, rozwiązywania trudnych dla dziecięcego jego umysłu zagadnień, tłumaczenia mi zjawisk natury, procesów chemicznych i fizycznych, uczenia mnie obserwowania życia zwierząt i roślin. Dar ten czynił dla mnie godziny spędzone z nim cenniejszemi, aniżeli gdybym spędzała je w szkole. Po powrocie do domu szliśmy razem do stajni, do której zanosłam koniom mój cukier, zaoszczędzany stale z własnego śniadania od chwili, kiedy zostałam wyłajana przez matkę za szafowanie zawartością cukierniczki. August, stangret nasz i factotum, miłszy mi—pomimo czerwonego swojego nosa— od wszystkich mademoiselles razem wziętych, musiał wyprowadzać karego, na którym wolno mi było objeżdżać na matczynem siodle podwórze, podczas gdy Puck biegł obok mnie, wpatrzony poważnie w moją postać, jakgdyby miał na równi z ojcem obowiązek czuwania nademną i krytykowania mnie. Ojciec nie był bynajmniej pobłażliwym nauczycielem, więcej się też bałam tej przedobiedniej półgodziny, niż się nią cieszyłam. Jeździć konno! to musiała być rokosz! Zupełnie swobodnie z opuszczonemi cuglami, pędzić po łąkach i polach!... — serce biło mi z rokoszy na samą myśl o tem. Ale w ciasnym dziedzińcu, stępa, w najlepszym razie umiarkowanym kłusem, dokoła, narażona w każdej chwili na ostrą uwagę ojca, jeśli nie dość prosto siedziałam, źle trzymałam cugle lub gubiłam szpicrutę, — to było okropne.

Szorstkie, gniewne słowa raniły mnie zawsze do głębi, wszystkie też dowody miłości, jakimi obsypywał mnie ojciec z podwójną hojnością po każdym wybuchu gwałtowności, nie były w stanie zatrzeć ich



wrażenia. Usiłowałam nie wywoływać ich — nazywano to grzecnością — ale serce moje kurczyło się przy tem boleśnie, coraz głębiej też zaszywałam się w moje życie ukryte, wewnętrzne, co matka skłonna była poczytywać za dodatni wynik swojej metody wychowawczej, opartej na niezłomnej zasadzie: panowania nad sobą.

„Dobrze wychowana panienska nie okazuje swoich uczuć”, mawiała zazwyczaj, wtulałam się też w poduszki mojego łóżka, ilekroć dławiły mnie łzy; przystępy radości wyganiały mnie do ogrodu, gdzie na huśtawce wzbijałam się uszczęśliwiona pod niebiosa, aby im wyśpiewać wesele mojej duszy.

Przyjaciół ani towarzyszków zabawy nie miałam, poprzestawałam na stosunkach towarzyskich z rówieśnikami, co niedzielę wychodziłam też z domu, odświętnie w tym celu ustrojona. Często bywałam też gościem w pałacu wielkksiążęcym: w księżniczce Wiktorji i w księciu Ludwiku, dwojgu kwitnących wówczas dzieci, miałam towarzyszy, z którymi obchodziłam święta Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy, i zawsze rozbrzmiewał pałac cały śmiechami naszymi przy odzieraniu drzewka wigilijnego z łupów lub szukaniu ukrytych umyślnie jajek z niespodziankami. Bodaj czy nie najwięcej cieszyli się naszą radością oboje dostojni rodzice.

Jedyną rzeczą, która mnie szalenie nudziła, było gotowanie na dużej kuchni, należącej do księżniczki Wiki i stanowiącej ideał wszystkich innych dziewczynek. Nie zaproszono widocznie na uroczystość chrzciny moich wróżki, składającej do kołyski niemowlęcia talenty gospodarcze. Przyjemniej mi już było u Maksa

i Maryi, dzieci księcia Wilhelma, którym cesarski ich dziadek przysyłał z Rosyi najkosztowniejsze zabawki: koleje żelazne z prawdziwemi szynami, lalki mówiące i biegające — przedmioty, zupełnie niedostępne w owym czasie dla zwykłych śmiertelników. Najbardziej jednak podobał mi się pewien dom, którego gospodyni, córka Bettiny, nietylko przez związek krwi, ale i ducha, miała dar wcielania w życie obrazów ze świata fantazyi. Wraz z dwiema prześlicznymi swojemi córkami, starszemi o kilka lat ode mnie, wycinała ona z kolorowych bibulek najcudowniejsze stroje, w których przedstawiałyśmy żywe obrazy, symbolizowałyśmy szarady i tak wcielałyśmy się w postacię Grimmowskich bohaterów, że powrót do życia rzeczywistego podwójnie wydawał nam się ciężkim. Zabawy nasze stały się niebawem wielką atrakcją dla całego towarzystwa. Często przypatrywał się nam sam książę panujący. Pamiętam to dobrze, jak kiedyś jako mały amerek w różowej koszulce i złotonych sandałkach, z połyskującymi skrzydełkami u ramion, miałam wymierzyć w niego strzałę z bukietu żywych kwiatów i na jego żartobliwe wezwanie: „no, wystrzel, śmiało!” zapomniałam o surowym nakazie milczenia i zawołałam: „ależ to boli!” Wkrótce jednak nauczyłam się zachowywać godnie w podobnych okolicznościach, bowiem żywe obrazy i bale kostymowe weszły w modę i u dorosłych, a nigdzie nie obyło się beze mnie.

W poemacie Scheffela, wystawionym pod jego osobistym kierunkiem, byłam małą dziewczynką z Szwarzwaldu i w roli tej szczególne zdobyłam sobie łaski autora. Miał on zawsze dla mnie pakiety cukierków w pogotowiu, jemu też zawdzięczam pierwszy, wypity w mo-

jem życiu, kieliszek szampana. Dawano mi coraz nowe role: damy rokokowej z wysoko spiętrzoną, upudrowaną fryzurą, dziecięcia elfów, fijołka,—cóż więc dziwnego, że coraz niechętniej zasiadałam z rana do lekcji z pedantycznym nauczycielem, który mnie uczył kaligrafowania liter oraz recytowania przypowieści i wersetów biblijnych. Pograżona zbyt wcześnie w wir życia towarzyskiego lub oddana na pastwę samotnych marzeń, nauczyłam się uważać życie codzienne z jego obowiązkami i przykrościami za rodzaj drogi pełnej pyłu i błota, którą najstaranniej, o ile się tylko dało, omijałam. Szczególniej nienawidziłam „obowiązków”; kiedyś, jakosześcioletnie dziecko, określiłam je jako to, „co jest przykre”. Pogląd taki miał źródło w fakcie, że wszystko, cokolwiek matka moja robiła z grymasem niezadowolenia na twarzy, nazywała ona spełnianiem obowiązku. Liczenie brudnej bielizny przez samą panią domu, jakkolwiek trzy służące stały przy tym akcie; wydawanie masła, jaj, śmietany, cukru i t. p. do obiadu, przyrządzanego przez wykwinłą kucharkę; poobiednie przejażdżki ze mną, co nas obie w równej mierze nudziło, — nawet szara godzina w ojca gabinecie, spędzana stale na poufnych pogawędkach nas trojga — wszystko to zaliczałam do kategorii obowiązków, wszystko bowiem wypełniała matka moja z jednakim wyrazem przykrości i nudyna twarzy. Przysięgałam sobie też po cichu, że postaram się nie mieć nigdy obowiązków, chętnie stosując już od wczesnego dzieciństwa teorię tę moją w praktyce, co polegało na tem, że robiłam najczęściej, co mi się podobało, a rozkazy, których źródła i celu nie uznawałam, pozostawały dla mnie najzupełniej martwą literą.

Najlepiej się też czułam w lecie, cały bowiem wielki obszar ogrodu należał wówczas do mnie, a na wsi, u krewnych i znajomych, pozostawiano mi jeszcze bardziej nieograniczoną swobodę. Szczególnie pamiętnym był mi pobyt w Weinheimie, romantycznie ukrytym u stóp drogi górskiej, w gąszczu biało i różowo kwitnących sadów owocowych, otoczonym zielonemi pagórkami, na które wiodły wązkie aleje orzechowe, nieowładniętym jeszcze wówczas wrogiem poezyi sielankowej: okopconym, dymiącym kominem fabrycznym,

Zamek wraz z sadami i winnicami był własnością hrabiego Waringa, brata mojej prababki. Po jego śmierci stała się wyłączną panią zamku żona jego, podówczas ośmdziesięcioletnia staruszka, której nikt nie dałby jednak tego wieku. U staruszki tej bawiłam nieraz całemi tygodniami. Wyglądała ona jak żywa markiza z XVIII-go wieku: drobna, szczupła, iskrząca się życiem i dowcipem, o małych, okrytych drogiemi kamieniami rękach, otoczona zawsze całym zwierzyńcem rzadkich stworzeń: białych kotów angorskich, cienkich szpiców i jedwabistych pincerów. Najlepiej lubiła towarzystwo młodzieży, uważając, że lustro aż nadto przypomina jej własny wiek, ażeby miała jeszcze potęgować to wrażenie przez otaczanie się starcami. Im bardziej też weselono się dokoła niej, im więcej zawiązywało się w jej promieniu przygód miłosnych — tem bardziej ją to cieszyło. Szafy jej pełne były paryskich tualet a szuflady — wszelkich kosztowności, któremi obdarowywała goszczące u niej piękne dziewczęta i kobiety. Kto nieopatrznie wyrażał zachwyt nad jakimkolwiek z przedmiotów, stanowiących jako tako ruchomą jej własność, stawał się jego posia-

daczem, bez względu na najbardziej stanowczą od tego uchylania się. A jakie cudne sprzęty nagromadzone były w jej salonach, pełnych mebli w stylu Ludwika XV, wysokich zwierciadeł, obrazów i makat. Były tam fotele, stołeczki i książki, z których wnętrza rozbrzmiewały Mozartowskie i Offenbachowskie melode, jak tylko ktoś na nich siadał lub też się ich dotykał; obrazy, które znikwały nagle we wnętrzu ścian, aby ustąpić miejsca szafkom pełnym najwytworniejszych łakoci; stoliki, które zapadały się w ziemię, gdy je potrącano, aby za chwilę ukazać się ponownie z zastawą wina i ciast, słowem — raj dla żadnego czarów serca dziecięcego!

A ogród z jego przepychem kwiatów i owoców, z jego gęsto zacienionymi altankami i rozbryzgującymi świetlne deszcze wodotryskami — a nadewszystko ta swoboda, ta niczem niekrępowana złota wolność!

Tylko kiedy przychodziłam do stołu, musztrowała mnie stara ciotka uważnie, poprawiała fałdy sukni, mocowała kokardki, układała loki, opuszczała staniczek jeszcze głębiej na moje obnażone, chude ramionka i starannie zacierała puszką, wydobytą ze złotej puszczeni do pudru, ślady przedobiedniego rozdokazywania się z opalonych moich policzków. „Est-elle gentille, la petite?” — mówiła wówczas, stawiając mnie przed lustrem. Wszystkie te jedwabie i koronki, łańcuszki i bransoletki, pochlebstwa i rady, dawane mi szczerze przez staruszkę, były oczywiście słodką trucizną dla duszy siedmioletniej dziewczynki. Nie pamiętam już dzisiaj, co mówiła, wiem tylko, że ona pierwsza nauczyła mnie, iż zadaniem kobiety jest podobać się i panować, a zwierciadła, puzderka, słoiczki

i flakony na tualecie, wszystkie tajemnice buduarowe są tylko etapami na drodze do urzeczywistnienia tego dążenia. Świadomość, że jestem ładną, napętniała mnie dumą; z zalotnością też, właściwą mojemu wiekowi, usiłowałam zdobyć panowanie nad pierwszą z brzegu istotą płci męskiej. Starą ciotkę bawiło to niesłychanie, niestety wszakże był mały Rudi, wnuczek jej a mój towarzysz zabaw, zbyt mało odpowiednim celem moich pocisków. Jąkał się i był wskutek tego niezmiernie dziki i lękliwy, a ja, olśniewająca go z całym nieświadomym okrucieństwem dziecka moim temperamentem i wesołością, onieśmiałam go jeszcze bardziej.

Biedny Rudi! Oduczono go potem jąkania się, ale w usposobieniu jego pozostało coś lękliwie drżącego: w rozkwicie życia wpakował sobie kulę do mózgu, nikt nie wiedział dla czego.

Wychowywanie mnie przez starą ciotkę było do pewnego stopnia teoretyczne; nie brakło wszakże nauki pogłądowej. Spędzaliśmy często porę jesienną u francuskich naszych krewnych w ich posiadłości alzackiej, starem, owianem poezią podań, zamczysku. Upadłe wielkości dworu napoleońskiego — męskie i kobiece — dawały sobie tam rendez-vous w porze winobrania i łowów. Przed olśnionemi mojemi oczyma rozegrywał się szmat życia paryskiego: obok pana domu, milionowego parweniusza, którego krótkie, grube policzki w niemiłej pozostały mi pamięci jaśniała wysmukła i wiotka postać jego żony, spowitej zawsze w koronki, szarpane nieustannie nerwowemi, przejrzystemi palcami. Jedna z jej córek była żoną wuja Maksa, a matką mojego towarzysza zabaw, Wenera,

z którym spotkanie najżywszą sprawiało mi radość. Była ona piękniejszą z obu sióstr, naturą cichą i flegmatyczną w rodzaju odaliski haremowej, gdy tamta iskrzyła się życiem i dowcipem, stanowiąc główną siłę przyciągającą dla całego grona rozdokazywanej młodzieży. Na mnie nie zwracano prawie wcale uwagi, nie krępując się też bynajmniej moją obecnością. „La petite” tak samo pozbawiona była w ich mniemaniu oczu i uszu, jak pokojówki i lokaje, często też używali jej za pośrednika w przesyłaniu liścików miłosnych. W rzeczywistości wszakże zbyt rychło przestałam być obojętnym świadkiem; z palącą ciekawością przyglądałam się ich zabawom, śledziłam schadzki, podsluchiwałam szeptu, podpatrywałam uściski, a gorąca fala życia, która mnie przy tem oblewała, rozbudzała we mnie przedwczesne przecucia i żądze.

Kiedy po raz ostatni wróciliśmy z Alzacyi do Karlsruhe — miałam wówczas ośm lat — dziwnie obcym wydał mi się nasz ogród, śmiesznie naiwnemi wszystkie moje zabawy. Zdążyłam już utracić sporą część niezamąconego mojego dzieciństwa. Z nadzwyczajną namiętnością rzuciłam się na wszelkie książki, jakie udawało mi się dostać, w razie zaś niebezpieczeństwa schwywania mnie na gorącym uczynku, wtykałam szybko zakazany owoc pod poduszkę Pucka, który zawsze leżał obok mnie na brązowej sofie.

Kiedy teraz opowiadałam sobie wieczorem w łóżku rozmaite historye, biło mi serce nie z obawy przed duchami, które wzywałam, a potem nie mogłam od siebie odpędzić, ale z przejęcia się romantycznymi przygodami, których bohaterką żywo wyobrażałam sobie siebie samą. Treścią moich rojeń fantastycznych

stała się miłość, którą tylokrotnie dokoła siebie obserwowałam, której rozkosze i cierpienia opiewało tyle pieśni i czytanych przeze mnie powieści. Im większym chłodem owiewała mnie rzeczywistość, tem głębsza żądza przepelniała moje młode serce. Oddawna już tajemnie żywiłam i podsycalam ogień, płonący na dnie duszy, nie mając nikogo, przed kim mogłabym rozpalać jego znicze. Szukałam też skwapliwie przedmiotu ukochania i wielbienia. Dopomogło mi do znalezienia go jedno z najbardziej wstrząsających przeżyć mojego dzieciństwa: teatr. Pierwszą sztuką, na którą mnie zaprowadzono, był Wagnerowski Lohengrin. Jakże potężnym w niezrównanej piękności swojej wydał mi się łabędzi rycerz! Nie umiałam oddać słowami zachwytu i czaru, jakim mnie on przejął — nazwano mnie nawet wskutek tego niewdzięczną i niewrażliwą. Doznane i niewyjawione uczucia tem głębiej wyryły się na dnie mojego serca. Tej samej zimy oglądałam Dziewicę Orleańską, i odtąd uświadomiłam sobie z całą jasnością, że ideałem moim nie będzie Elza, łamiąca wierność ukochanemu, lecz Joanna, godna miłości rycerza, bohaterka zbawiających świat czynów.

Niebawem jednak przestał mi wystarczać Lohengrin jako przedmiot miłości, — nie żył on, a ten, kogo stroiła chwilowo srebrna jego zbroja, grał tylko jego rolę, ja zaś do żywego tęskniłam człowieka.

Gdy serce wysyła na zwiady wyobraźnię, łatwo jest odnaleźć przedmiot poszukiwany! — U rodziców moich bywało wiele osób. Między innymi odwiedzał nas od czasu do czasu młody, wysmukły oficer dra-goński o pociągłej bladej twarzy. Rozmawiał on ze mną często, nie pokpiwając sobie ze mnie i nie żartu-



jąc jak inni. Niczem zaś nie można mnie było zdobyć tak łatwo, jak braniem mnie na seryo; każde rozwinięte umysłowo dziecko czuje się dotkniętem, jeśli się traktuje je zawsze żartobliwie i dziecinnie.

Nic więc dziwnego, że łaknące miłości serce moje zwróciło się tęsknie ku niemu, a wyobraźnia przystroiła go świetlaną aureolą Lohengrinowskiej romanetyki moich snów.

Nie pochodził on ze stanu szlacheckiego, podobnie więc jak rycerz Elzy, pozbawiony był imienia. Kiedyś — marzyłam — okaże się napewno, że jest on zaginionem dziecięciem królewskim, a mnie przypadnie w udziale bohaterski czyn zdobycia dla niego państwa i korony!

Najpiękniejsze kwiaty z mojego ogródka składałam potajemnie do jego zawieszanej w przedpokoju czapki, a dzień, w którym, przejeżdżając przed naszymi oknami, składał mi ukłon, wydawał mi się opromienionym świetlaną radością.

Zimni ludzie mogą śmiać się z takiej miłości dziecka i nawet się na nią oburzać. Dla mnie pozostanie ona jako pamięć najczystszeo w życiu mojem uczucia.

Na wiosnę 1874 roku przetranszlokowano ojca mojego do Berlina. Po raz ostatni zebrali się przyjaciele nasi przy naszym stole herbatnim. Pamiętam dobrze, jak mi pociemniało w oczach, kiedy po raz ostatni podawałam bohaterowi mojemu rękę na pożegnanie. Rozpalona ona była i drżąca. Musnął raz jeszcze pieśczośliwie moje włosy. „Będiesz już dorosłą panną, jak się zobaczymy”, — powiedział, — może jeszcze będziemy kiedyś tańczyli ze sobą!” Wybiegłam bez

słowa do mojego pokoju, i zakopałam się głęboko w poduszki, aby zagłuszyć rozpaczliwe łkanie.

Cierpienie dziecka jest zupełnie takim samym cierpieniem, jak ból dorosłego, — zbyt łatwo tylko o niem zapominamy.

Nazajutrz wpisałam pierwszy wiersz własnej kompozycji do starego kajetu. Nikt go nie przeczytał, strzegłam go zawistnie przed obcym wzrokiem, niby zeschnięty kwiat, świadek miłych godzin, w obawie aby oko i ręka profana nie zniweczyły delikatnego jego uroku.

Ogród mój w pełnym był kwiecie w chwili naszego wyjazdu. Przebiegłam dom pełen ludzi pakujących nasze rzeczy, i stajnię, gdzie August owijał powozy w kocce. „Pucku, mój Pucku” — zawołałam. — Nigdy jeszcze nie odjeżdżałam, chociażby na parę dni tylko, aby się z nim czule nie pożegnać. Tym razem nie odpowiedział nikt na moje wołanie. Na moje zapytanie bąknął August coś niezrozumiałego. Przeszyła mnie nagle myśl, że mama mówiła coś niedawno o wieku podeszłym mojego psa, o możliwości jego śmierci. Serce bić mi przestało z przerażenia. Zaczęłam szukać i wołać ponownie, nie zwracając umyślnie uwagi na naglące do pośpiechu głosy mamy i mademoiselle:

„Idź, idź, Alisiu, — uspokajaj mnie August, — nie zobaczysz już Pucka.

„Nie żyje!” — krzyknęłam zrozpaczona, rzucając się z płaczem w objęcia Augusta. Wszyscy zbiegli się, aby mnie uspokoić, nadaremne jednak były wszelkie perswazyje. „Widzisz, dziecko — rzekła w końcu mama, biorąc mnie na kolana, — „Puck był stary i chory, nie mógł już poradzić sobie w obcym mieście

ośleplemi swemi oczyma. Było to dla niego dobrodziejstwem, że kazałam go otruć...” Drgnęłam, jak uderzona obuchem. Łzy moje obeschły. Zsunęłam się z kolan matki i spojrzałam na nią osłupiałym wzrokiem „Ty — ty — kazałaś otruć mojego Pucka?!”

Pozwoliłam się spokojnie zaprowadzić do powozu. Coś załamało się i pękło we mnie. Spokojnie, jak gdyby bez czucia, patrzyłam z okna wagonu na znikające za mną powoli mury i wieże miasta.

---



## ROZDZIAŁ DRUGI.

Kto z Partenkirchen zwraca się ku zachodowi, skąd w tajemniczej grozie strzelają ku niebu wierzchołki olbrzymów górskich, i z szerokiej, pełnej pyłu drogi zbacza na wązką ścieżynę wśród łąk, staje nagle wobec dziwnie uroczonego obrazu: lekko falistemi liniami wznosi się dolina, okolońa pagórkami porośłemi kwiecistym zaroślem i drzewami niebosięźnemi, zaś wprost, u kresu wązkiej, srebrzyście wśród łąków wijącej się drożyny tuli się do zboczy górskich, niby dziecię do łona matki, biały kościółek, odcinający się na szarem tle złomów skalistych. Ilekroć oglądałam ten widok, miałam wrażenie, że uśmiecha się on do mnie. Małe, porozrzucane dokoła, domki promienieją również cichem weselem: jasne mury jednych przybierają w słońcu gorącą barwę złota, inne błękitnieją kolorem nieba w znojny dzień letni, nawet figury świętych i męczenników, stojące we wnękach murów, pstrzą się barwnymi plamami swojej odzieży, każąc zapominać o smutnych losach tych, których mają one wyobrażać. Dachy domów

i altan poczerniały od starości, zdając się służyć jako umyślnie dobrane tło, na którem tem jaskrawiej odbijają się kiście pąsowych goździków, wykwitających z obramowań okiennych i balkonowych, z pod stropów i wiązań, zewsząd słowem, gdzie tylko można umieścić zieloną skrzyneczkę z ziemią. Wśród całego tego uroku barw wijesię srebrzystą wstęgą mały strumyk górski, wytryskujący wysoko w górze z pośród szczelin skał, zasilany śniegami i lodami i spływający kaskadą w dolinę, gdzie; upojony, tysiącem rozkwitających nad jego brzegami kwiatów, przypełza do ziemi i niknie w gąszczu traw.

Na skraju wioski zaczyna się las. Opasuje on zwartą, ciemno-zieloną ścianą szmaragdową toń jeziora, przezroczą aż do głębi w najburzliwszą nawet niepogodę. Na brzegu, pstrzącym się tysiącami odmian róż różnobarwnych, stoi jeden tylko mały domek, tak gęsto opleciony dzikiem winem i bluszczem, że w dni niesłoneczne zlewa się on w jedną ciemną plamą z otaczającym go lasem.

Przed czterema dziesiątkami lat nabył Ulysses Artern ezioro to i wybudował nad niem zielone gniazdko, w którem uwił sobie młode swoje szczęście małżeńskie. Co roku, kiedy zakwitały konwalie, a słodka ich woń przepajała wody jeziora i zieleń lasów, sprowadzała się do domku już po jego śmierci jego wdowa, pozostając tutaj, aż dopóki śniegi nie zaścięły całej doliny.

Od czasu bytności naszej u niej w Augsburgu zapraszała nas do swojej „Różanki” corocznie. Ale tylko ojciec mój odwiedzał ją; matka moja nie lubiła nigdy bratowej, ociągała się też mocno z jazdą do niej. Mnie specjalnie pociągała tęsknota za górami,

które oczarowały mnie już za pierwszej naszej bytności w Szwajcaryi. Ilekroć też ojciec opowiadał o Grainau i jego Różanem jeziorze, pragnęłam gorąco znaleźć się tam. Teraz spełniło się moje marzenie!

Już w Weilheimie, ostatniej stacyi kolejowej, onie- miałam z zachwytu na widok otwierającej się przede- mną szerokiej doliny, na której widnokregu tonęły w obłokach białe szczyty górskie. Milczałam przez całą drogę, chłonąc w siebie piękno pejzażu. Wieczorem, stojąc w przeznaczonym dla mnie narożnym pokoiku na poddaszu, z okiem utkwionem w błękit stropu nie- bieskiego, na którego toni wyraźnie odrzynały się szaro- srebrzyste olbrzymy górskie, wdychając wonne, krze- piące, czyste jak kryształ powietrze, czułam, że spada ze mnie, niby ciężka, przytłaczająca opończa, cała nie- dola moich lat dziecięcych. Znów mogłam oddychać pełną piersią.

Uczucie to potęgowało się każdego ranka, kiedy budziłam się po mocnym, pozbawionym marzeń śnie, każdego wieczora, kiedy kładłam się znużona, upojona bogactwem przeżyć dnia. Przenikała mnie pełnia ży- cia, i często, niewidziana przez nikogo, rzucałam się w upojeniu na kwiecistą łąkę, leżąc tak cicho, że motyle kołysały się spokojnie na zwieszonych nade mną błę- kitnych dzwoneczkach; często też wtulałam głowę w mech leśny, gdzie najgęściej kwitły konwalie, i przyglądałam się drgającym plamom słonecznym. Żadna mademoisel- le nie nakładała tutaj cugli mojej wolności, ciotka moja znajdowała mnie tylko „źle wychowaną”, ponieważ nie siedziałam spokojnie obok niej z ręczną robotą. Często też robiła z tej racyi przejryste wymówki mojej matce, że jednak nie umiała zupełnie obchodzić się z dziec-

mi, pozostawiała mnie w spokoju i ograniczała swoje talenty wychowawcze do ustalania ścisłych przepisów toaletowych, obowiązujących mnie przy stole oraz na wspólnych z nią przejażdżkach. Siadywałam wówczas prosto i sztywnie na przednim siedzeniu, zupełnie tak samo jak stangret na koźle, którego stosunek do „jaśnie panienki” był poufały tylko z rana, kiedy przybiegała ona do stajni, aby — bez ojcowskiego nadzoru — przejechać się na dużym kasztanku po wsi ku ucieście i zachwytwi wszystkich dzieci wiejskich.

Niebawem zyskałam wielu przyjaciół z pośród dziewcząt i chłopców. Poznałam przy ich pomocy wszystkie drożyny leśne i górskie, pokazywali mi miejsca, gdzie najobficiej czerwieniły się poziomki i nauczyli mnie wdrapywać się na strome ściany, gdzie róże alpejskie płonęły purpurą na tle szarych granitów.

Dzieci ludu w północnych Niemczech wciąż jeszcze noszą na sobie piętno służalczości pańszczyźnianej: podporządkowują się w zabawie, jak gdyby to było rzeczą „naturalną”, pańskim dzieciom, uważając niemal za wyróżnienie, że mogą obejmować rolę ich podwładnych. Świeży powiew górski najskuteczniej zwalcza tę etykę niewolniczą, przeciwstawiając jej rozbudzone poczucie wolności i godności osobistej. Główny mój towarzysz zabaw, syn jednego z okolicznych chłopów, wspinający się najśmiaiej na szczyty i najpiękniej śpiewający góralskie piosenki, traktował mnie zupełnie jak równą, czasem nawet spoglądał na mnie z góry, z nieukrywaną bynajmniej dumą, co wyjątkowo nie urażało mojej tak wielkiej zazwyczaj wrażliwości. Imponowała mi żywiołowa jego siła, ilekroć też podrwiwał ze mnie, gdy bez jego pomocy nie umiałam wdra-



pać się na stromą skałę, zaciskałam w tajonym gniewie zęby, nie ważyłam się jednak cokolwiek mu odpowiadać. Na tem współzawodnictwie w drapaniu się na góry najgorzej wychodziły moje suknie. Gdyby nie pomoc starej Katarzyny, latającej wszystkie dziury i dbającej o to, abym w możliwie nieskazitelnym stroju ukazywała się przy stole, nie byłabym się napewno cieszyła długo moją swobodą.

Pewnego gorącego lipcowego popołudnia zbiegałam szybko z bukietem róż alpejskich z góry, pełna lęku, że spóźnię się na herbatę.. Usiłowałam też możliwie zręcznie prześlizgnąć się obok powozu, stojącego przed naszą bramą, gdy ręka jakaś pochwyciła mnie za zwichrzone loki, a roześmiany głos zawołał: „To przecież Alicya, siostrzeniczka!” Spojrzałam na stojącą przede mną, w towarzystwie małej dziewczynki i chłopca-wyrostka, wysoką jasnowłosą panią, i zawstydziłam się niezmiernie, wiedząc w jak oplakany stanie jest toaleta moja. Uciekłam też, tłómacząc się, że muszę wstawić kwiaty do wody, i po dziesięciu minutach, z pałającymi ze wzruszenia i pośpiechu policzkami, wróciłam do sali jadalnej w białej muślinowej sukience, którą mi narzuciła w pośpiechu poczciwa stara Katarzyna, powtarzająca z przerążeniem: „dziecko, dziecko, co też powie ciocia, przecież to była księżna Fryderykowa. Skończyło się jednak na strachu, księżna bowiem uściskała mnie serdecznie, opowiadając ze śmiechem, w jaki sposób zawarła ze mną już przed chwilą znajomość. Słowa jej płynęły kaskadą, a towarzyszące jej gesty zabawnie były gwałtowne i męskie. Śmieszna „księżna” —pomyślałam, patrząc ze zdziwieniem na jej dzieci, szamoczące się wzajem w tej chwili z całym zapalem,

bez względu na starannie utrzymany trawnik, na który zazwyczaj nie wolno było zabłąkać się nawet mojej piłce.

„Hellmut mówi, że Alicya jest cyganką” — zawołała nagle mała dziewczynka.

„Cyganki są daleko piękniejsze, niż takie wymokłe blondynki, jak ty”—odciął się chłopak. Dwa grzmiące policzki, rozdane na prawo i na lewo przez księżęcą matkę, położyły wreszcie kres sprowi,

Los mój rozstrzygnął się zarazem w tej chwili: ciastko, którego spory kawał odgryzła mała księżniczka, nie przeszkodziło jej w rzuceniu mi gniewnego spojrzenia, gdy, przeciwnie, brat jej znalazł się wobec mnie z całą galanterią skończonego rycerza. Był on o jakie siedem lat starszy od siostry, wysoki i szczupły, o szarych wesołych oczach i zuchwale wygiętych koralowych wargach.

Mała Fryderyka nie była wcale do niego podobna: nieładna; o zazdrośnie opuszczonych w dół kątach ust, szpecących twarz dzieci, świadomych od najmłodszych lat swego braku urody. Kiedy Hellmut chciał po herbacie pójść nad jezioro, aby przejechać się po nim łódką, zaoponowała mała przeciwko temu projektowi, prawdopodobnie w nadziei, że będzie musiał pójść sam, co mu popsuje całą przyjemność. Matka odparła jednak: „Tem lepiej, Hellmut i Alicya wystarczą sobie sami”. Skorzystaliśmy skwapliwie z pozwolenia i pobiegliśmy w towarzystwie służącego, który miał nam służyć za przewodnika.

Przejrzysta; a mimo to pełna tajemniczego uroku, leżała przed nami szyba jeziora. Przed oberżą,

skromnie wznoszącą się jeszcze wówczas na jego brzegu, siedziała mała grupka turystów.

„Musimy sobie przedewszystkiem dogodzić i splukać tę obrzydliwą herbatę”. — zawołał Hellmut i pobiegł zamówić tyrolskie wino, którem wesoło zapiliśmy świeżo zawartą przyjaźń. Korzystając z zatopienia się służącego, siedzącego w głębi przy kuflu piwa, w stopy humorystycznych pism, wymknęliśmy się cichaczem. Wstręt do wszelkiej opieki, jaką okazał Hellmut tym czynem, podwoiła moją sympatyę dla niego.

Odczepił łódkę od łańcucha i wnet pomknęliśmy po jasnej tafli wodnej, szczęśliwi z tak pomyślnie udanego fortelu wojennego. Niebawem zawiązaliśmy też ożywioną rozmowę. Hellmut opowiadał mi o Berlinie, gdzie mieszkał i dokąd mieliśmy i my niebawem się przenieść, tyle ciekawych i zajmujących szczegółów, że mój dawny wstręt do tego miasta ustąpił miejsca pełnemu zaciekawieniu niecierpliwemu oczekiwaniu. Udzielona nam godzina urlopu dawno minęła, gdy przeraźliwe, rozlegające się z wybrzeża, nawoływania, zmusiły nas do powrotu. Zebrana tam była cała rodzina: nasze matki, ciotka, uśmiechająca się złośliwie księżniczka — obrzuciły nas gradem wymówek z chwilą dopłynięcia łodzi do lądu.

„Nie rób sobie nic z tego” — szepnął Hellmut, zwracając się z dworskim ukłonem do mojej ciotki. „Alicya jest niewinna, pani baronowo, — nie chciała wsiąść do łódki bez służącego i wciąż nawoływała do powrotu”. Podziękowałam mu pełnem goręcej wdzięczności spojrzeniem za jego rycerską obronę, poczem rozstaliśmy się, zamieniwszy serdeczne “do widzenia”.

Na powrotnej drodze nie omieszkała ciotka wyrazić swojego zadowolenia, z okazji „odpowiedniego towarzystwa”, jakie nareszcie znalazłam i jakie, jak ma nadzieję, oduczy mnie zadawania się z wiejskim pospólstwem. Oburzyło mnie to, przedsięwzięłam też stanowczo rozwiązać w najbliższej przyszłości jej złudzenia. Następnego też zaraz dnia pobiegłam z samego rana w zwykłym moim towarzystwie do lasu, skąd wróciłam dopiero na obiad.

Od czasu do czasu jednak jeździliśmy do willi księżny, która często wywzajemniała się też nam odwiedzina. Daremne były usiłowania moje zbliżenia nowych moich przyjaciół ze starymi: Hellmut zanadto odgrywał wobec pierwszych rolę pana, skutkiem czego mali wieśniacy trzymali się ode mnie zdaleka, ilekroć byłam w towarzystwie książąt. Coś się też popsuło w dotychczasowej naszej wewnętrznej harmonii domowej; wyczuwałam tę zmianę nastroju z wrażliwością, z jaką przeczuwałam zbliżającą się burzę na długo przed pojawieniem się pierwszych jej oznak.

Ciotka moja i matka nie lubiły się nigdy. Obie przywykły odgrywać wybitną rolę w towarzystwie: jedna z racji swojej piękności i elegancyi, druga — dzięki bogactwu i wysokiemu stanowisku. Pochlebstwo i służalczość otaczały baronową Artern na każdym kroku; każdy, kto chciał od niej coś uzyskać — a kto tego nie pragnął?! — podporządkowywał się jej woli i jej poglądom.

Z czasem też przestała wogóle znosić wszelki cień opozycji. Chcąc z nią żyć, trzeba było albo potakiwać jej we wszystkim, albo też — milczeć. Matka moja milczała, nie ukrywając wszakże niewypowiedanej głośno

opozycyi, pozwalała sobie nawet na sarkastyczny uśmiech i wzruszanie ironicznemi ramionami. Drażniło to ciotkę; w wyższym jeszcze stopniu oburzała ją niezaprzeczona dystynkcyja bratowej, której nie mogły zastąpić największe bogactwa i najwspanialszy przepych tualety. Ciemną plamą jej życia było mieszczańskie pochodzenie jej matki; tkwił też w niej gminny instynkt nienawiści, skierowanej przeciwko wrodzonej wytworności, którą prześladowała z całą zaciekłością istot mściwych.

Nie wahała się też w wyborze środków: w obecności matki swojej starała się wszelkiemi sposobami wykazać duchową swoją wyższość, popisując się mistrzowską grą na fortepianie i pięknym altowym głosem, którego namiętne brzmienie wprawiało zawsze w podziw zachwyconych słuchaczy.

Gdy zaś i to jeszcze jej nie wystarczało do zmiążdżenia matki, pozbawionej podobnego talentu, chwyciła się najniezawodniejszego sposobu, godząc w słabą stronę bratowej: w jej pruski patriotyzm. Jakże często zmuszoną była matka wychodzić z pokoju z pałającemi policzkami i zaciśniętymi z wściekłości wargami, kiedy bratowa pozwalała sobie wyrażać pogardliwy sąd o pruskich obyczajach, poglądach, a nadewszystko o pruskiej polityce. Dzięki jedynie głęboko zakorzenionemu poczuciu obowiązku nie opuszczała odrazu tak niegościnnego dachu: cała moja przyszłość zależała od bogatej, bezdziejnej kobiety, w imię więc przyszłości tej wypadło uczynić ofiarę z obrażonej ambicyi.

Pewnego dnia wszakże przyszło do wybuchu:

matka moja zrobiła lekceważącą jakąś uwagę o pochodzeniu pewnej pani, która przed chwilą zeszła z tarasu, pozostawiając po sobie mocną woń perfum. Ciotka zaoponowała, wpadłszy w taki gniew, że zarzuciła matce, iż obraża własnego męża, bowiem w myśl jej poglądów była matka jego równie „wątpliwego pochodzenia”. Mama broniła się, żadna z pań nie pozostała drugiej dłużną odpowiedzi, wreszcie rzuciła ciotka Klotylda ostatni swój atut, syknąwszy z błyszczącymi gniewnie oczyma: „Już ty chyba najmniej masz prawa do mówienia o wątpliwem pochodzeniu. Wiadomo przecież, kim była twoja babka!”

W dwa dni po tej scenie opuściliśmy dom ciotki, jakkolwiek nastąpiły między paniami konwencyonalne przeprosiny. Urlop nasz kończył się zresztą, a słotne pogody, mogące narazić na szwank wrażliwe moje gardło, wystarczającym były pretekstem do przyspieszenia wyjazdu. Róże nad jeziorem dawno przekwitły, a ciężkie obłoki spuszczały się głęboko w dolinę, kiedy wieże białego kościołka ginęły z poza pola naszego widzenia.

Na zakręcie drogi dogonił nas Sepp, mój towarzysz zabaw, i rzucił mi bukiet błękitnych gencyan, w których środku jaśniały dwie białe gwiazdy. „Ze szczytu Zugu” — zawołał, wskazując na szarotki i wybuchając głośnym płaczem, którego echa dochodziły do nas już po ominięciu ostatnich domków Garmiszu. Niebo wypogodziło się tymczasem, i kiedy spojrziałam poza siebie, ujrzałam uwolnione z oparów, strzelające dumnie w górę; szczyty srebrzyste, u których stóp rozwłóczyły się ostatnie poszarpane pasma chmur, niby zwyciężeni i potratowani jeńcy olbrzymów. Obraz

ten wrył się głęboko w moją duszę; wiedziałam, że nie odstąpi mnie nigdy.

---

Radość ojca, oczekującego nas w Berlinie, nie miała granic. W nowym naszym mieszkaniu zastałam przygotowane przez niego stopy podarków, zupełnie jak na gwiazdkę. Zrazu nie śmiałam cieszyć się nimi w przewidywaniu znanego mi ostrego wyrzutu: „ależ, Janie...!” Tym razem wszakże obyło się bez tego dzięki obecności mojego anioła opiekuńczego: babki. Jak niegdyś w Poczdamie, wprowadzała się ona do jednego z nami domu. Sądziliśmy, że pobyt nasz w Berlinie przeciągnie się dość długo.

„Jakże wyrosła moja pieszczoszka!” — zawołała babka, tuląc mnie wzruszona w objęcia. — „Babciu, jakże się zestarzałaś!” — byłabym odpowiedziała, gdyby nie powstrzymały mnie od tego okrzyku przepisy dobrego wychowania. Błyszczące czarne jej włosy srebrzyły się bielą siwizny, a głębokie bruzdy, idące od nosa do ust, do niepoznania pożyłoby gładką jej do niedawna twarz.

Zdawała się wszakże rozumieć mnie bez słów, zauważyła bowiem ze smętnym uśmiechem: „Jestem już staruszką, moja Alisiu, — życie rzadko bywa dla ludzi krynicą młodości!”

Nastrój mój, stłumiony pod wpływem tego powitania, omroczył się bardziej jeszcze na widok naszego nowego *locum*: wszystko wydawało mi się jakieś ciałniejsze, obcy ludzie mieszkali w jednym z nami domu, a zamiast dużego ogrodu, jak w Karlsruhe, zadowolić

się musieliśmy małym ogródkiem od ulicy, którego trawników nie wolno było deptać, a kwiatów zrywać. Zapytałam Augusta o konie. Zaprowadzono mnie do stajni, znajdującej się po drugiej stronie ulicy. Rozczarowanie moje na wieść o tem oddaleniu spotęgowało się jeszcze, gdy weszłam do wnętrza: znikły nasze złotogniade ogiery, trzy tylko konie stały przy żłobach, obcy stajenny wyszedł mi na spotkanie. „W Berlinie są takie wygodne dorożki, że nie potrzeba powozu, ani koni” — zauważył ojciec z uśmiechem, spostrzegłam jednak odrazu, że koniuszeczki jego wąsów drgnęły zdradziecko, ujawniając właściwy podkład udanej jego wesołości. Zagryzłam wargi, wracając w zamyśleniu do domu i znosząc z poddaniem gniewne pomruki ojca, wiedziałam bowiem z doświadczenia, że są one zawsze oznaką silnego wzruszenia.

Wkrótce potem oddano mnie do szkoły, oczywiście prywatnej, liczącej ograniczony zastęp uczennic.

Babka moja przedstawiła mnie przełożonej, matce, okrągłutkiej jejmości, o tłustej, połyskującej twarzy i wilgotnych dłoniach, któremi ku przerażeniu mojemu pośpieszyła pogłaskać mi policzki.

Pierwszem wrażeniem, jakie odniosłam z asystowania na lekcjach, było uczucie bezdęnej nudy. Dopiero kiedy wzięto mnie do wyższej klasy, której wszystkie uczennice dużo starsze były odemnie, obudziło się pod wpływem wyśrubowanej ambicyi moje zainteresowanie nauką. Suchy materiał pamięciowy, stanowiący całą treść nauczania, nie mógł mnie oczywiście pociągnąć, podniecało mnie jedynie dążenie do prześcignięcia wszystkich, zajęcia naczelnego w klasie mój. Nie miałam zresztą potrzeby wysilać się dla osią-



gnięcia mojego celu, uczyłam się bowiem łatwo, otrzymywałam też najlepsze stopnie. Towarzyszki moje niecierpiały mnie wskutek tego, ja zaś doznawałam wobec nich nieokreślonego poczucia winy, nie umiałam bowiem przejmować się ich sprawami. Pomimo posiadania wielu pięknych lalek, kuchni i gospodarstwa, rzadko się tem wszystkim bawiłam, zaś wymiana pstrych pieczątek, stanowiąca główny sport ówczesnych pensyonarek, wydawała mi się niedorzecznością, — byłam też wskutek tego zupełnie osamotniona. Obok mnie na ławce siedziała dziewczynka, w której niebezpieczną znalazłam rywalkę, nie dając się wszakże przez nią zaćmić.

Niebawem spostrzegłam, że odsuwano się od niej bardziej jeszcze, aniżeli ode mnie, że dokuczano jej i prześladowano ją najróżniejszymi przewiskami. „Żydówka” — wypisano pewnego razu czerwonym atramentem na jej pulpicie, innym razem kredą na jej okryciu. Płakała, ilekroć to spostrzegą, nie ośmielając wszakże bronić się.

Pewnego dnia po lekcyi religii — przechodziliśmy właśnie dzieje męki Chrystusowej — ujrzałam ją nagle, otoczoną przez resztę koleżanek, wykrzykujących: „żydowskie mrowie ukrzyżowało Pana Jezusa!” Potem zaczęły tańczyć dokoła niej i na komendę: „raz, dwa, trzy” daną przez dyrygentkę, spluć przed nią z oburzeniem. Zakipiałam z gniewu, rzuciłam się też nieprzytomna niemal między nie. „Podła hałastro”, zawołałam, roztrącając je silną pięścią, nie wstydzicie się: dziesięć przeciwko jednej?!” — „Przecież to żydówka!” — zasyczała najbliżej mnie stojąca. „To i cóż z tego — czyż nie wiecie, że i Pan Jezus był żydem!”

odparłam. Poczem zwróciłam się do płaczącej rzewnie ofiary: „Nie płacz, Edyto, inaczej nieuspokoją się nigdy.”

Od tej chwili zaprzyjaźniłyśmy się serdecznie. Obie byłyśmy jedynaczkami, a tem samym dziećmi dojrzewającymi, wskutek ciągłego obcowania z starszymi, daleko szybciej od innych. Książki były naszą namiętnością, ciąгла też ich wzajemna wymiana dawała nową wciąż treść naszym rozmowom. Mieszkałyśmy nadto w najbliższym sąsiedztwie, tak że razem odbywałyśmy drogę do szkoły i do domu. Przyjaźń ta nie była wszakże jedynym wynikiem mojej interwencji. Pewnego dnia zawołała mnie przełożona. „Wyraziłaś się, podobno, że Pan Jezus był żydem?” — zwróciła się do mnie ze zmarszczonem dumnie czołem — skąd ci to na myśl przyszło?”. — „Matka Boska i Święty Józef”... — wyjąkałam zawstydzona — „byli przecież także żydami — a Dawid, z którego pokolenia pochodzi Pan Jezus, także”, — „Chrystus jest Synem Bożym” — syknęła. — „Radzę ci nie siać zwątpienia w wierzące serca twoich towarzyszek”, — Kurczowo przełknęłam dławiące mnie łzy. „Widzę, że żałujesz twój grzech, wybaczam, ci więc tym razem”, — dodała pompatycznie, głaszcząc mnie wilgotnymi dłońmi po policzkach.

Uciekłabym chętnie, zatrzymało mnie jedynie oburzenie na koleżanki, mszczące się na mnie w tak niegodny sposób, opowiedziałam też cały przebieg wydarzenia. „Rozumie się że to bardzo, bardzo niegrzecznie z ich strony” — oświadczyła zimno — mimo to nie widzę w ich postępkach wytlómaczenia twój wielki grzech”.

Zmieszana i wzburzona poszłam do domu. Nie doświadczałam nigdy jeszcze wątpliwości w sferze wierzeń. Kochałam Zbawiciela, o którym babka opowiadała mi zawsze, że jest strapionym—pociechą, biednym — pomocą, chorym — uzdrowieniem, dzieciom — miłością. Nigdy natomiast nie przychodziło jej na myśl, aby sprawa Jego pochodzenia była tak dalece doniosłą. Poszłam, jak zwykle, po objaśnienie do babki.

„Nie zrozumiałaś zapewne przelożonej — odpowiedziała;—jesteśmy wszyscy dziećmi Bożemi”.

Uspokoilo mnie to na razie, odtąd wszakże pilniej niż dotychczas baczyłam na sens słów podczas wykładu religii, wkrótce też wyraźną wyczułam różnicę między tem, czego nas uczono, a tem, czego uczyła mnie babka. Serce moje i rozum skłaniały się ku jej interpretacji, zaś dla nauczycieli nie pozostało nic prócz lekceważenia. Uczyłam się wprawdzie w dalszym ciągu bardzo pilnie, na wewnętrzne wszakże życie moje, na duchowy mój rozwój wywierała szkoła równie mały wpływ, jak wszelkiego rodzaju lekcye, pobierane dotychczas.

Wydarzenie to odbiło się natomiast na mojem życiu w inny sposób. Edyta i ja pozostałyśmy wskutek tego oczywiście bardziej jeszcze osamotnione, niż dawniej, bardziej też do siebie wzajem przyłgnęłyśmy. Zapraszała mnie ona często do siebie, nigdy jednak nie pozwalano mi korzystać z zaproszenia tego. Wypadło wreszcie uciec się do pośrednictwa babki, aby tą drogą zmiękczyć sece ojca. Dom mojej przyjaciółki bardzo pięknie był urządzony, a rodzice jej, którzy nie bez celu posyłali córkę na arystokratyczną

pensję, prześcigali się formalnie w okazywaniu mi uprzejmości. Wizyta moja była może dla nich pierwszym szczeblem do osiągnięcia celu, o jakim marzyli dla swojej jedynaczki — do arystokratycznego zamężcia, bowiem zawiązanie stosunków towarzyskich ze mną stanowiło pierwszy wstęp do zaznajomienia się ze sferami arystokratycznymi. Dziwnie nieswojo czułam się w towarzystwie obojga: zarówno pani domu z jej trzeszczącym przy każdym ruchu gorsetem i mnogością pierścionków na mięsistych palcach, jak pana z grubym złotym łańcuchem, kołyszającym się na pokaźnie okrągłym brzuszku.

Po sutej zakąsce urządzono gry towarzyskie. Przegrywałam, jak zawsze, — niezręczność moja przy grach podobnych była nieporównana, zawsze bowiem myśl moja bujała daleko od miejsca zabawy. Otrzymałam mimo to mnóstwo pięknych wygranych, między innymi prześliczny miniaturowy wózeczek z perłowej masy, zaprzężony w parę srebrnych koziołków.

Po przybyciu do domu pochwaliłam się natychmiast temi skarbami, rodzice moi nie podzielili wszakże mojego zachwytu: ojciec odchrząknął gwałtownie, matka zacięła złowieszczo usta. Niebawem wybuchła burza: oboje zaczęli wyrzucać sobie wzajem w sposób szorstki, że pozwolono mi iść do tych „zbogaconych żydów”, którzy ośmielili się obdarowywać mnie podobnemi prezentami. Płacząc rzewnie, wtuliłam się w poduszki.

Odtąd zakazano mi bezpowrotnie wszelkich wizyt w tym domu. W szkole unikałam Edyty, oczekującej nadaremnie z mojej strony odwzajemnienia zaprosin. W niedzielę, na zwykłym rodzinnym zebraniu u babki,

rozpatrywano powtórnie całą sprawę. Ciocia Jecia, bratowa babki, znany stróż moralności i postrach wszystkich dzieci, wystąpiła gwałtownie przeciw niej, oświadczając z trójnoga: „Żydzi nie są towarzystwem dla panien, pragnących mieć stanowisko w świecie”. Niejeden i niejedna z obecnych uśmiechnęli się ironicznie na tę sentencję, wiedzieli bowiem, iż nadmierna drażliwość ciotki na tym punkcie ma źródło w fakcie, z którym nie mogła się biedaczka pogodzić: w zamążpójściu córki jej za barona Wolkenheima.

Przodek tego pana był „nadwornym żydem” Fryderyka Wielkiego, który, nadając mu szlachectwo, taką zrobił uwagę: „Zróbmy go baronem, szlachcica nie zrobimy z niego i tak nigdy.” W czwartym jeszcze pokoleniu niezdolna była święcona woda zatrzeć pamięci genealogicznego drzewa rodzinnego.

Było też ironią losu, że wzamian za Edytę podsunęto mi na towarzysza zabaw Hermana, najstarszego syna barona Wolkenheima.

Był on nieco starszy ode mnie, mocno cofnięty w naukach, miałam mu więc służyć jako przykład do naśladowania. Rozumie się, że z góry wobec tego źle byliśmy wzajem dla siebie usposobieni, w końcu jednak stosunki nasze stały się wcale niezgorsze.

Bawiliśmy się zazwyczaj w moim pokoju stawianiem całych wiosek i folwarków, wycinanych z kartonu. Ojciec Hermana był właścicielem dóbr na Ślązku, dzięki czemu interesy rolniczo-ziemiańskie były synowi najbliższe; mnie zaś wyczarowywały wspomnienia Grainau wszystkie rokosze wiejskie przed oczy, ożywiając naszą zabawę i nadając jej głębszą dla mnie treść. Gdy jednak próbował Herman ograniczać się na kupo-

waniu i sprzedawaniu bydła, zboża i siana, gorączkując się przytem do najwyższego stopnia, podczas gdy ja bawiłam się wymachiwaniem w powietrzu darem Edyty, służącym mi za czarodziejski zaprząg, z którego sypały się obficie najhojniejsze dary na moje wioski, wówczas zgoda nasza kończyła się gwałtowną sprzeczką. Herman lubił tylko „prawdziwe” historye, ja zaś znajdowałam jego handel „obrzydliwym”. W końcu zamknęłam rozżalona moje srebrne koziołki do szafy, usuwając je, podobnie jak moje marzenia, z przed oczu ludzi obojętnych. Filozofowałam przy tem, że w każdym mogę znaleźć coś, co odpowiadać będzie jednej chociażby strunie mojej duszy, inne więc usunąć należy w cień, dopóki i dla nich odpowiedni nie znajdą się towarzysze.

Zimy tej rozpoczęłam lekcye tańców w towarzystwie licznych rówieśnic i rówieśników. Odbywały się one co tydzień u kogo innego. Asystowały zawsze przy nich matki, babki i ciotki, mustrującę uważnie młode pokolenie i snujące dla nas różowe plany przyszłości. Mogły być one dumne ze swojego dzieła, tak biegle parlowałyśmy po francusku, tak zgrabnie tańczyłyśmy kadryla i polkę (walc uważany był w owym czasie za „nieprzyzwoity” i wskutek tego bojkotowany był przez towarzystwo dworskie), tak zręcznie wykonywałyśmy głęboki, przepisany na dworze, ukłon. „Stanowisko w świecie” miałyśmy zapewnione, właściwie posiadałyśmy je już dzięki naszym stosunkom.

Dla mnie było to tak dalece naturalne, że pycha, mogąca zrodzić się u tych tylko, którzy uważają wybitność stanowiska za coś szczególnego, a tem samem cechująca specyficznie dorobkiewiczów, naj-

zupełniej była mi obcą. Komiczną mi się też wydała, pełna podziwu i olśnienia, korność, z jaką wypytywała mnie Edyta o zebrania dziecięce u następczyni tronu. Dla mnie nie było w pałacu wielkksiążęcym nic, co podobne wzbudzić mogłoby uczucie. Mała, niepozorna następczyni tronu, czuwająca nad nami z miną angielskiej guwernantki, wesoły następca tronu, którego rubaszny sposób dowcipkowania wystarczał do rozwiania resztek iluzji dziecięcych o królewiczach z bajki, skromnie wychowywane, niepsute nadmiarem zabawek dzieci, ze spartańską prostotą zastawiana wieczerza— wszystko to składało się na całość, nie mającą nic wspólnego z dworskim przepychem i majestatem cesarskim.

Niechętnie też tam chodziłam: księżniczka Karolina, która mi się najlepiej podobała, znacznie była starsza ode mnie; księżniczka Wiktorya, z którą miałam się bawić, lubiła komenderować mną, czemu niechętnie ulegałam, młodsze zaś rodzeństwo było dla mnie, dziesięcioletniej już, drobiazgiem. Gdy nadto dołączał się do nas książę Wilhelm ze swoim krótkim bezwładnem ramieniem i ponurą twarzą, robiło mi się zupełnie nieswojo. Ilekroć też wsiadałam do powozu, mającego odwieźć mnie do domu, wdychałam z ulgą. Do jedynie miłych chwil na dworze należały wielkie uroczystości: drzewko wigilijne, bale dziecięce, a nade wszystko przedstawienia teatralne.

Kiedy, przystrojona w suknię koronkową, obuta w atlasowe pantofelki, z głową misternie ufryzowaną w loki, wchodziłam do rzęsiście oświetlonych salonów, i tam na wstępie zaraz otaczana bywałam rojem młodocianych wielbicieli — miałam jasnowidzenie obfitej czary biesiadnej, czekającej mnie w życiu i już

zawczasu szumiącej mi we wszystkich tętnach tęsknem upojeniem.

Na jednym z takich balów spotkałam Hellmuta, który podał mi ramię w drodze do sali tanecznej. „Wyglądasz, jak księżniczka z tysiąca i jednej nocy” — szepnął mi do ucha... Tysiąc i jedna noc!

Żar płomienny rozpałił mi krew! A gdy w chwilę później unosiliśmy się w wirze tanecznym po sali, kołtysani upajającą melodyą cudnie zgranego zespołu orkiestrowego, zdało mi się, że słyszę czarowny wtór do niej: być piękną — panować — żyć!

Jedyną pamiątką, jaka pozostała mi po tych balach, jest błyszcząca kula, którą kiedyś zdjęłam sobie z drzewka wigilijnego w zamku, w której i teraz odbijają się corocznie skromne światełka woskowych świeczek, zawieszonych na naszej choince. Wówczas pewną byłam, że odlana ona jest ze szczerego srebra. W istocie jest i ona jednak ze zwykłego szkła i oddawna już niejedna żłobi ją rysa!...

Na wiosnę zachorowałam. Częste zawroty głowy spowodowały już kilka tygodni wcześniej odebranie mnie ze szkoły. Potem przeszłam odrę, która na długo przykuła mnie do łóżka i po której przez długi czas nie mogłam przyjść do siebie. Pozostało mi dziwne wyczerpanie mięśnia sercowego. Kazano mi przebywać dużo na świeżem powietrzu, i dlatego prowadzono mnie z rana i po obiedzie do Zoologicznego Ogrodu, gdzie siadywałam z babką w słońcu, z beczynniami opuszczonymi wychudłymi rękami, opierając głowę, która tak bardzo mi ciążyła, o grzbiet ławki. Babka czytywała mi głośno, obrawszy specjalną w tym celu literaturę: opisy młodości znakomitych ludzi, zawarte bądź w ich



życiorysach, bądź też w autobiografiach ich lub oświadczeń spisanych pamiętnikach i wspomnieniach. Dwa zwłaszcza z tych życiorysów potężne, niezapomniane wywarły na mnie wrażenie: Napoleona i Goethego.

„To chyba najpiękniejsze w życiu, babuniu: być jak gwiazda, która wszystkim przyświeca:“ — rzekłam raz w zamyśleniu. Odpowiedź babki dotąd mi jeszcze brzmi w uszach: „którą wszyscy kochają, chcesz powiedzieć, ponieważ wszystkich darzy swem ciepłem”

Gdy przestawała czytać, opowiadała mi o własnej swojej młodości, którą miała szczęście przeżyć nietylko w rodzinnym mieście wielkiego poety, ale w ciągłym prawie z nim zetknięciu. Jakże biednym wydało mi się, w porównaniu z jej dziecięctwem, moje własne!

W ogóle dziwnie jakoś nie mogłam odzyskać wesołości. Atmosfera domowego naszego środowiska wciąż była ciężka i przytłumiona, nadająca twarzom domowników coraz bardziej zgnębiony wygląd, coraz częściej płosząc z ich ust blady cień uśmiechu. Zwykły nawet dobry humor ojca zasępiął się coraz jawniej i coraz częściej wypadało mi chronić się pod skrzydła babki przed gwałtownymi wybuchami jego gniewu. Ale i ona roztargniona była i zatroskana, mimo że usiłowała ukrywać to najstaranniej przede mną. Co rano zagłębiała się w studyowanie ceduły giełdowej a zagadkowa dla mnie jej uwaga „Lombardzkie spadają”, — rzucała ponury cień na naszą dawniej tak wesołą godzinę śniadania. Pewnego wieczora, z bagatelного powodu niemal ofuknął ojciec bardzo gwałtownie moją matkę, co mnie zawsze najokropniej przeżyło, uciekłam więc co tchu, aby wtulić się ze strachu głęboko w miękki fotel babcinego buduaru, gdy wtem

usłyszałam w sąsiednim pokoju szmer głosów: wuj Walter powrócił w wigilię tego dnia z Prus Wschodnich i on to właśnie, jak widać mocno wzburzony, wszedł za babką do przyległego salonu.

Usiedli oboje na zielonej sofie, na której tylokrotnie wyplakiwałam dziecięce moje strapienia, że zaś stała ona najbliżej buduaru, słyszałam wyraźnie każdziutkie słowo.

„Znasz przecież nasz stan majątkowy”, — zaczęła babka. „Jan stracił zupełnie swój niewielki majątek, co zaś do posagu Elżuni, przyznać ci muszę, że pełna jestem najgorszych obaw. W dodatku uszczupliły się mocno własne moje dochody, i wypada mi już teraz bardzo się ograniczać, aby nie pozostawiać bez pomocy Elżuni i Maksa obarczonych rodziną. Ty nie masz ani żony, ani dziecka, jesteś właścicielem pięknej posiadłości, — powinieneś sam sobie wystarczać.

„Klotylda może cię zastąpić w pomaganiu Janowi” — odparł.

„Klotylda...” Babka westchnęła ciężko. „Każde odwołanie się do jej pomocy zagraża całej przyszłości Alisi”.

Wuj Walter jęknął boleśnie.

„Czy ukrywasz coś jeszcze przede mną? Wyjaw wszystko śmiało, mój chłopcze!” — prosiła babka.

Nagle trysnął z ust wuja potok dzikich, namiętnych słów, któremu w końcu tak boleśnie zawtórował cichy płacz babki, że serce moje ścisnęło się spazmatycznie.

Niewszystko ze słów wuja było dla mnie zrozumiałem, główny jednak sens ich wśrubował mi się głę-

boko w mózg: gdzieś w Szwajcaryi, czy we Włoszech, w jednym z domów gry, które wówczas wyrastały z ziemi, jak grzyby po deszczu, przegrał wuj Walter dużo, dużo pieniędzy, a w Pirgołowie działo się źle, gdyż powódź zniszczyła znów cały sprzęt siana.

„Strzelę sobie w łeb, jeśli mi nie pomożesz, — zakończył z okrzykiem najwyższej rozpaczey.” Przerazona, jęknęłam głośno. Babka wstała, usłyszałam szelest jej sukni, wtuliłam się więc głębiej w poduszki, powstrzymując oddech.

„A więc marnotrawca i tchórz w dodatku!” — syknęła; groźba jego nie wywarła snąc na niej ku zdumieniu mojemu żadnego wrażenia. „Nie wstyd ci? Ileż ludzi wyżywia siebie i rodzinę za nędzne grosze, a ty trwonisz tysiące, w dodatku tysiące, które nie twoją są własnością! Jakże to nazwiesz, jeśli nie złodziejstwem, gdy pieniądze, należne twoim dostawcom, twoim pracownikom, rzucasz w paszczę najgorszego szatana gry?! Jeśli pozostał w tobie cień chociażby poczucia honoru, wydostaniesz się o własnych siłach z tej matni, i nie będziesz żądał, aby brat twój i siostra poświęcili się dla ciebie. Zamknij się na wsi i pracuj!”

Nigdy jeszcze nie słyszałam babki, mówiącej w ten sposób, wuj Walter musiał być także zdumiony, milczał bowiem przez dłuższą chwilę. Potem wybuchnął znowu, nie gwałtownie, jak przedtem, ale rozpaczliwie, błagalnie. Teraz z kolei zaczęła babka go pocieszać, jak chore dziecko, nie tykając już właściwej sprawy.

Obiecywała mu, że się do niego przeprowadzi do pomoże mu do urządzenia sobie nowego życia, dojrzy gospodarstwa, dopóki nie znajdzie odpowiedniej żony...

„Mam kochankę”, — wyjąknął.

„I to także!” — mruknęła. „Czy możesz się z nią ożenić?” — dodała szybko.

„Abyśmy oboje ziemię gryźli?” — zaśmiał się szyderczo.

Na żądanie babki opowiedział całą historję swego stosunku. O ile pamiętam, była to córka uczciwych, ale biednych ludzi; wuj Walterłożył na jej kształcenie i przygotowanie do zawodu scenicznego, umieścił ją też w jakimś teatryku. „Nie ma talentu, ale jest ładna, da sobie radę w życiu! Muszę jednak myśleć o dziecku, którego ojcostwa jestem niemal pewny!”

„I ty, — ty jesteś moim synem!” — usłyszałam zdławiony jęk babki..

O, gdybym była mogła w tej chwili paść jej do nóg i obsypać pocałunkami drogie jej dłonie!

Po długim, bolesnem milczeniu zaczęła znów mówić: spokojnie, trzeźwo, jak o obojętnej sprawie, jak do obcego, tłómacząc mu, jakie powinien przedsięwziąć kroki dla uregulowania sytuacji, rozważając, na kiedy zdecydować własną swoją przeprowadzkę do Pirołowa. „Troskę o niewinną dziewczynę i o dziecko pozostaw mnie” — zakończyła, — „a teraz, dobranoc!”

Nie odpowiedziałwszy ani słowa, wyszedł wuj Walter z pokoju.

Ileż zasłon mglistych, za któremi kryło się dotychczas moje życie, rozdarła na strzępy krótka ta godzina. Serce tłukło mi dziko w piersiach.

W tej chwili stanęła babka na progu pokoju. „Ali-siu!” — krzyknęła przerażona. Zerwałam się, i, kryjąc płonąca głowę w chłodne zwoje aksamitnej jej szaty, opowiedziałam, że słyszałam wszystko, wszystko.

„Chcę ci dopomódz, babuniu”, — zawołałam, nie czekając na jej odpowiedź, i już w głowie mojej tysiączne najdziksze krzyżować się zaczęły plany. „Pojadę z tobą do Pirgołowa, będę niańczyła dzieciątko, zaoszczędzisz więc sobie wydatku na niańkę.” Spojrzałam na nią błagalnie. Z bolesnym uśmiechem pogłaskała mnie po rozpalonych policzkach, czem ośmielona dodałam z większem jeszcze ożywieniem: „Wiesz, babuniu, tym sposobem pozbędą się mnie rodzice i nie będą potrzebowali wydawać na mnie pieniędzy”, — — Babka milczała wciąż jeszcze — „może nawet sama potrafię zarabiać. Powiedziałaś kiedyś, że wiele biednych dzieci pracować musi dla zarobku. Umieję tak dobrze tańczyć — uczył mnie sam pan Ebel — weźmie on mnie napewno do swojego teatru”.

— „Kochana ty moja gorąca główko, co za niedorzeczne przychodzą ci myśli! Chodź, pogadajmy rozsądnie! — Mówiąc to, usiadła wygodnie na fotelu, którego pokrycie wyraźne jeszcze nosiło ślady moich łez, ja zaś ukucnęłam, jak ongi w szczęśliwych chwilach, gdy słuchałam jej bajek. Długo i serdecznie mówiła do mnie: że nie powinnam tak czarno wystawiać sobie tego wszystkiego, że nie jesteśmy wprawdzie bogaci, ale też i nie biedni, że mogę rodzicom wiele dopomódz, ułatwiając życie matce, wyrzekając się niepotrzebnych zachcianek, i ucząc się dzielnie, abym kiedyś w przyszłości, o ile to okaże się potrzebnem, mogła stanąć o własnych siłach. Bohaterski mój zapał do złożenia siebie samej w ofierze ostudzony został za jednym zamachem. Mizernem wydało mi się to wszystko, co babka wskazywała mi jako zadanie do spełnienia. „A — dzieciątko?” — odważyłam się zauważyć nieśmiało.

Cieniutkie niebieskie żyłki na skroniach babki spęczniały złowrogo. „Przrzecz mi, że nie powiesz nikomu, o tem, co słyszałaś z jego ust”, — rzekła, patrząc mi poważnie w oczy. „Przrzekam” — szepnęłam cichutko.

Babka ucałowała mnie w oba policzki: „No, a teraz dość. Zaprowadzę cię do łóżka, a jutro będzie ci się wszystko wydawało przykrym snem.” W ciszy i skupieniu poszłam za nią.

Gdy jednak umocowywała swoim zwyczajem kołdrę moją, którą najczęściej zrzucałam w niespokojnym śnie, a ja ze złożonymi już do modlitwy dłońmi stałam obok niej, nie wytrzymałam i raz jeszcze zwróciłam się do niej. „Babuniu, babunieczku — wyjąkałam zmieszana — „powiedz mi, czy kochanka jest to samo, co żona?” Wtedy po raz pierwszy otrzymałam odpowiedź, jakiej z ust jej nigdy dotychczas nie słyszałam: „Nie rozumiesz tego jeszcze, dziecko.”

O modlitwie przed snem zapomnieliśmy tego wieczora obie.

Pomimo wspólnej tajemnicy, dokoła której wciąż krążyły tajemnie moje myśli, stanęło między nami od tej chwili dziwne jakieś i długo jeszcze później trwające uczucie obcości. Nauczyłam się odtąd pilnie baczyć na moje otoczenie, na każde słowo, na wydarzenie każde. Zauważyłam, że ojciec rzadziej niż dawniej przynosi mi podarunki, że nie miewa już jak zawsze dotychczas, ukrytej dla mnie w kieszeniach zabawki lub pudełka z cukierkami. A jeśli zdarzało mu się, to nawet i teraz jeszcze, oburzała się matka na jego „rozrzutność”, czem odrazu psuła mi całą przyjemność.

Widziałam, jak zaczęto pocichu na wszystkim szczę-

dzić i skąpić, czego zresztą z pozoru nie można było dostrzedz: dawna nasza francuska kucharka ustąpić musiała miejsca Niemce, która nie umiała piec ciast ani pasztetów, zamiast panny służącej przyjęto zwyczajną pokojówkę, z pod której rąk jasno-włosa główka matki nie wychodziła już, jak arcydzieło kunsztu fryzjerskiego. Pozostał tylko dawny służący Wilhelm, którego stale niezmiennie rysy nie zdradzały przed nikim, jak bardzo zmieniło się wszystko w domu jego państwa; nalewał on przy stole tanie, słabiuchne wino z tą samą godnością, z jaką ongi napełniał kielichy drogiem reńskim.

Więcej jednak jeszcze niż okiem, nauczyłam się odgadywać sytuację i chwycić ją słuchem z półsłówek, ze znaczących szeptów i uśmiechów: jeden ze znajomych musiał podać się do dymisyi dla tego, że ożenił się ze swoją „utrzymanką”, innego zrujnowała „kokota”; jeszcze innego zastrzelono w pojedynku, ponieważ żonę jego zastano na schadzce z jakimś aktorem; jedna z pań stała się „niemożliwą” w towarzystwie, ponieważ opuściła potajemnie męża. Ilekroć mówiono przy mnie o podobnych rzeczach, migąła mi przed oczyma duszy postać kochanki wuja Waltera, matki jego dziecka, której nadałam w wyobraźni mojej rysy cierpiącej Madonny; zawsze też stawałam w myśli w obronie towarzyszek jej niedoli.

W lecie pojechałyśmy znów do północnej Bawaryi. Słabe serce moje, powodujące częste ataki omdleń, wymagało koniecznie pokrzepienia górskim powietrzem. Radość moją rychło jednak omroczyła wieść, że zamiast w „Różance” u ciotki Klotyldy, zamieszkać mamy w jednym z hoteli w Garmiszu. Gdy

odwiedziłyśmy ją po raz pierwszy, byłam cicha i sztywna. Nawet kiedy dawny mój towarzysz Sepp stanął przede mną z ogromnym bukietem, storczyków szczególnie przeze mnie lubianych dla dziwacznych ich kształtów, nie mogłam na sobie przemódz, aby pójść się z nim bawić. „Panienska stała się widocznie zupełną Prusaczką” — zauważyła ironicznie ciotka Klotylda. Spojrzałam na nią z nietajonym gniewem.

Nie rozumiała mnie ani trochę, nie wiedziała, że znieść nie mogę okruchów życia. Komu nie dano jest całkowitej spożyć uczy, dla tego równa się dawanie jej tylko do pokosztowania okrutnemu przypomnieniu, że są rzeczy, bez których musi on się obchodzić.

Bywanie nasze w Różance ograniczało się na krótkich odwiedzinach; od czasu do czasu przyjeżdżała tylko ciotka, aby nas zabrać na spacer, przy czem nie omieszkała nigdy szyderczo odzywać się o siostrzenicy, którą nazywała „żółtą tyką od chmielu”.

Tak przywykłam dotychczas do zachwytów i hołdów, że uwaga ta wprawiła mnie przedewszystkiem w zdumienie. Zwierciadło przyznawało jej wszakże zupełną słuszność. Odkrycie to spotęgowało jeszcze ponury mój nastrój. Nie miałam nikogo, kto mógłby mnie z niego wyrwać! Mama traktowała mnie raz, jak źle wychowaną, niegrzeczną dziewczynę, innym razem jak chorą kapryśnicę; otoczona była zresztą bardzo miłem dla niej towarzystwem i bardzo też była rada, że nie mam od niej żadnych wymagań i że najchętniej pozostaję sama z książką w ręku w ogrodzie hotelowym. Drzewa w nim stały szeregiem niby żołnierze, i mimo ubóstwa swego zasłaniały przed moim wzrokiem wieniec dalekich gór. Jak gdyby w chęci całko-



witego zatarcia resztek poczucia potęgi natury, urządzono w pośrodku wodotrysk, strzelający w górę ciemnym strumykiem.

Mogłam zapomnieć tutaj chwilami, że jestem tak blisko, a zarazem tak niedościgle daleko od starego, szarego mojego przyjaciela, Waksensteina.

Nie pozostałam długo samotną. Rudowłosy piewnik, o twarzy usianej żółtymi piegami, młodzieniec, siadający obok nas przy ogólnym stole wraz z matką, powieściopisarką, zaczął zaszczycać mnie coraz częściej swoim towarzystwem i coraz groźniej marszczyć brwi na widok mojej lektury. Miał słuszność: cała nędza ówczesnej literatury dla młodzieży nie mogła nigdzie wystąpić jaskrawiej, niż tutaj. Daremnie zaprotestowałam z własnego już popędu przeciwko obrzydliwie słodkiemu Nierytzowi; miejsce jego zajęły niepodzielnie: Otylia Wildermut i Eliza Polko, moralizujące w swych powieściach dla dorosłych panien w tyśiącznych odmianach na ten sam temat: celem i treścią twojego życia jest mąż. — Hans Guntersberg, rad ze znalezienia tak wdzięcznej słuchaczki, chłonna jej chciwie jego mądrość szósto-klasisty, opowiadał mi o ulubionych swoich autorach, z których najgorętszy jego zachwył budził Paweł Heyse. Przynosił mi też jeden tom po drugim, aby odczytywać najpiękniejsze, zdaniem jego, ustępy patetycznym głosem tragicznego amanta małomiasteczkowej sceny. Kufer jego pełen był książek, a głowa — przygód miłosnych, cóż więc dziwnego, że w pierwszym brakło miejsca na czyste kołnierzyki, a w ostatniej — na zainteresowanie się klastycyzmem. Miał on już bowiem dwadzieścia lat. Fizyczna jego bliskość była mi wstrętną, ale gorące moje

pożądanie jego książek nieustanną ciężką staczało walkę z antypatyą dla jego osoby. Czuł on widocznie, co jedynie mogło uczynić go dla mnie pociągającym, nie wypuszczał bowiem skarbów swoich z ręki. Nagle przestał przychodzić do nas, a gdy wieczorem zapytałam go o powód, odpowiedział mi wymijająco. Nazajutrz wyszpiegowałam go w altance sąsiedniego ogrodu na czułem sam na sam z panienką, nietylko znacznie starszą, ale i znacznie ładniejszą ode mnie. Stał przed nią w zwykłej swojej aktorskiej pozie i deklamował z takim przejęciem, że grube krople potu zrosiły jego pigowate czoło. Napoły ubawiona, napoły zła, odwróciłam się od nich. Użyczałam mojej rywalce adoratora, ale książek jego nie użyczałam jej bynajmniej. Może jednak — myślałam — da mi je teraz, gdy osoba jego znalazła przyjęcie gdzieindziej.

Wyśmiał mnie, gdy go o nie poprosiłam. „To nie dla głupich smarkatek”. Przypomniałam sobie pewien sklepik w Partenkirchen, zaspakajający wszystkie cielesne i duchowe potrzeby letników. Tam znajdę napewno nowele Heysego. Niestety jednak, byłam absolutnie bez grosza. Otrzymaną w dniu moich urodzin od ciotki Klotyldy sztukę złota pozostawiłam, pamiętna rad babki, nienaruszoną.

Na zimę miała mi matka moja kupić za te pieniądze suknię. Wyjawienie tego życzenia było, jako pierwszy przejaw praktycznego rozumu, nagrodzone rzadko przypadającym mi w udziale, pocałunkiem macierzyńskim.

Prosić matkę teraz o zwrot pieniędzy byłoby niedorzecznością; w najlepszym razie byłyby ona nasycała mój głód książkowy nowym tomem Wildermuta.

A jednak miałam do tych pieniędzy prawo — były one moją własnością — mogłam z nimi robić, co mi się podobało; matka sama włożyła je do mojej portmonetki, którą wsunęła pomiędzy stosy bielizny, do szafy.

Walczyłam z sobą przez kilka dni — ale pokusa i żądza stawały się coraz silniejsze, zwłaszcza, że godzinami całymi nie wiedziałam, co począć z nudów. Wreszcie nie byłam w stanie opierać się dłużej pod pretekstem wyjęcia z szafy chusteczki, wydostałam od matki kluczyk i zabrałam moją portmonetkę.

W szalonym pośpiechu, jak gdyby ziemia paliła mi się pod stopami, zbiegłam ze schodów i popędziłam wprost do Partenkirchen. Matka poleciła mi — tłómaczyłam się zmieszana w sklepie — kupienie nowel Heysego. Spojrzano na mnie ze zdziwieniem, kiedy, w zamian za książkę, położyłam na ladzie sklepowej dużą sztukę złota. Obladowana książkami biegłam z powrotem; pośpiech, obawa, aby nie wykryto mojej eskapady, wyrzuty sumienia — wszystko to razem przyprawiło mnie o szalone, coraz gwałtowniejsze bicie serca. Tysiące iskier posypało mi się przed oczy; chwilami znów przysłaniały mi świat czarne zwoje i ciemno mi się robiło naokół, jak w nocy. Niedostrzeżona przez nikogo, wróciłam do hotelu, gdzie na tyle jeszcze zdobyłam się siły, aby ukryć mój pakiet w pustej torbie podróźnej, poczem upadłam na ziemię pod wpływem nowego, mocniejszego jeszcze zawrotu głowy. Odzyskałam przytomność, leżąc już w łóżku, Dokoła mnie uwiijała się matka moja, lekarz i pokojówka, która pierwsza spostrzegła mnie, leżącą bez czucia na podłodze.

„Kuchnia hotelowa nie służy mi — brak mi ruchu — w Garmiszu jest za gorąco — baronowa Artern powinna mnie wziąć do Różanki — tam uspokoi się najrychlej to niemądre serduszko...” perorował stary doktor. Pojechał też sam do Grainau, aby osobiście pomówić z ciotką. Nazajutrz zaraz miałam się do niej przenieść. Myśl o ukrytych książkach mąciła mi na razie całą radość. Skorzystałam z chwili, kiedy matka zeszła na dół, do ogólnego stołu, aby się szybko ubrać, poczem wzięwszy fatalny pakiet, zeszłam z nim, zaledwie mogąc utrzymać się na nogach, do ogrodu. Tam zakopałam jeden tom po drugim, pod krzakiem bzu, tylko jeden, najcieńszy tomik, ukryłam w kieszeni sukni. Wówczas dopiero przyszedł mi na myśl niebezpieczny sens moralny całego wydarzenia: zamiast kary za popełniony grzech oczekiwała mnie Różanka, stały cel tęsknych moich marzeń!

Przeżyłam tam ciche, cudne chwile. Nie miałam ani siły, ani chęci do niebezpiecznych zeszłorocznych wypraw, a nadto stałą znajdowałam pomoc i obronę w poczciwej Katarzynie, dzięki czemu ciotka nie tak często znajdowała okazję do czynienia mi wyrzutów. Sepp okazał się najwierniejszym, pełnym delikatnych względów towarzyszem.

Na widok mój rozpromieniła się radośnie cała jego brunatna od słońca twarzyczka; nosił za mną jak najchętniej pledy i płaszcze, byle tylko pozwolonomi iść z nim na spacer; przenosił mnie, wyższą dużo od niego dziewczynę, przez każdy strumyk, przez każde miejsce błotniste. Zaraz pierwszego dnia zaprowadził mnie z tajemniczym, pełnym zażenowania uśmiechem przez las aż na pagórek, u stóp którego lśniła się zielona ta-

fla jeziora, okolonego śnieżnymi wierzchołkami górskimi, które tak zdawały się bliskie, że jakby rękę podać do Waksensteinu i szczytu Zugu. Tam pod starą olchą ustawił zbitą dla mnie umyślnie ławkę, na której poręczy wyciosał naiwnie koślawemi literami moje imię. Wyjęłam tam po raz pierwszy uratowaną moją książeczkę z kieszeni: „L'Arabiata” — brzmiał jej tytuł. Nie pamiętam już dzisiaj jej treści; wiem tylko, że krótka opowieść upoiła mnie tak czarownym snem piękna, że owionął mnie z jej kart taki żar namiętności, iż zapomniałam przy jej czytaniu o całym bożym świecie. Rano budząc się, kiedy wszystko spało jeszcze w całym domu, wyciągałam coraz częściej notatnik mój z pod poduszki, aby spisywać wierszem opanowujące mnie uczucia, z których nie śmiałam wypowiadać się przed nikim.

Wróciłyśmy późną jesienią. Po raz pierwszy doznałam uczucia ulgi, nie zastawszy w domu babki, nie byłabym mogła spojrzeć jej w oczy. Jakże mało okazałam się godną jej zaufania, jak byłam słabą, jak nędzną, jak wolną i słabą! Ale teraz musi się to wszystko zmienić.

Codziennemi ofiarami i poświęceniami okupię ciężką moją winę. Z prawdziwą namiętnością rzuciłam się do wprowadzenia w czyn moich zamierzeń, biorąc się od razu do rzeczy dla mnie najcięższej: do robót ręcznych. Gorliwość, z jaką biczuje grzeszne swoje ciało pokutująca nowicjuszka klasztorna, nie mogła być głębszą i gorętszą od zapału, z jakim brałam się do czerowania pończoch! Zanim zdołał on ostygnąć, położyło mu kres przeniesienie ojca mojego do Poznania. Uważałam ten wyjazd do miasta, o którym nikt nic nie

umiał mi powiedzieć, za słuszną karę za moje grzechy. Żadne pokusy próżności i rozrywek nie oderwą mnie tam od surowej powagi życia.

Jednego z ostatnich dni przed wyjazdem siedzieliśmy w pośród spiętrzonych wysoko pak przy stole jadalnym.

Ponuro czerniły się ogołocone z zasłon otwory okienne, przejmujące mnie zawsze trwożnym uczuciem, przypominające groby świeżo rozkopane. Mama odziana była w najlichszy ze swoich szlafroków, ja — z całym zaparciem się siebie — nosiłam fartuch. Jedyne Wilhelm zachował, pomimo panującego dokoła nieładu, zwykłą etykietalną swoją formę: nieskazitelny jak zawsze był jego frak, a srebrny talerz, na którym podał matce list, błyszczał po świeżem oczyszczeniu. „Z gabinetu Jej Cesarskiej Mości” — oznajmił z wyrazem najgłębszej czci w głosie. Twarz matki rozjaśniła się podczas czytania: „To istotnie szczęśliwy los” — rzekła, podając list ojcu, któremu cała krew nabiegła do twarzy po przejrzeniu pisma. „Pięknie wszystko urządziłaś, ani słowa!” — krzyknął piorunującym głosem, rzucił list na stół i zerwał się z krzesła. Podniosłam się również, aby czemprędzej uciec do mojego pokoju. „Zostań” — wrzasnął ojciec, chwytając mnie silnie za rękę: „Alicya jest ostatecznie główną osobą, niech ona rozstrzyga” — dodał spokojniej, podsuwając mi wielki arkusz pomimo pełnego wyrzutu szeptu matki: „co robisz? jakże można!... tak niepedagogicznie”... List zawierał krótkie zawiadomienie, że „Jej Cesarskiej Wysokości podobało się najtłaskawiej przyznać pani Alicyi von Kleve miejsce bezpłatne w klasztorным pensjonacie własnego imienia” a zaraz potem brzmiał własnoręczny dopisek

monarchini: „cieszę się, mogąc przyjąć do tak blisko mojemu sercu stojącej instytucyi wnuczkę drogiej mojej Jenny, przyjaciółki moich lat młodych”. W jednej chwili stanęły mi przed oczyma szare obrazy życia klasztornego, którym tylokrotnie sposobność miałam się napatrzeć podczas odwiedzin moich u babki i o których tyle naopowiadałam się ojcu. Wszystko tam było mundurowe, koszarowe, począwszy od ubrania aż do kierunku myśli; wszystko, od wielkich sypialni aż do ogrodu, tchnęło tym samym duchem: higieny, punktualności i porządku. Nie było tam ani jednego cichego, zapomnianego kącika, nie było chwili czasu na samotne marzenia. To, co od dziecka najgłębszą stanowiło potrzebę mojej duszy: możność pozostawania od czasu do czasu samą z własnymi myślami zostałaby tam niezaspokojona ani we dnie ani w nocy. A może to była właśnie ręka boska, wyznaczająca mi taką drogę pokuty? Czy nie uwolniłabym moich rodziców za jednym zamachem od ciężących im trosk, gdybym, bez względu na wewnętrzny krzyk protestu, odważnie drogę tę obrała? — Pytająco-badawczo patrzył na mnie ojciec. — I cicho, z opuszczonemi w dół oczami, wyjąkałam: „Może to i będzie najlepsze dla mnie”.

„Dobrze mi wytresowaliście dziewczynę”, zaśmiał się szyderczo ojciec, „ale nie pozwolę na coś podobnego, o, nie! Tak źle jeszcze nie jest ze mną, abym miał córce mojej pozwolić iść na łaskawy chleb! Zostanie w domu; tutaj jej miejsce, nie wychowam jej na dworską lalkę — i basta!”

Matka milczała. Posłano mnie spać, zdaleka jeszcze jednak długo słyszałam gniewny głos ojca: los mój, czułam to dobrze — rozstrzygał się w tamtym po-

koju. Nazajutrz wziął mnie ojciec na kolana i zaczął mówić głosem serdecznie miękkim, jakim rzadko zwykł był zwracać się do kogokolwiek.

„Jesteś mojem jedynem dzieckiem, Alisiu, moim jedynym promieniem słońca. Gdybym oddał cię z domu, utraciłbym cię, poddanoby cię bowiem obcym wpływom, wprost przeciwnym mojemu sposobowi odczuwania i myślenia. Wierz mi, że nikt ci tak dobrze nie życzy jak ja, chociaż bywam często gwałtowny i szorstki—nikt też więcej cię ode mnie nie kocha”. Spojrzał na mnie wilgotnymi oczyma: „Czy naprawdę chcesz opuścić twójego starego ojca, dziecino?”

Łkając, zarzuciłam mu ręce na szyję: „Zostaję przy tobie, ojczulku”.

---



## ROZDZIAŁ TRZECI.

Siedzieliśmy dokoła okrągłego stołu mahoniowego przy kawie poobiedniej; przyćmiona zieloną zasłoną lampą rzucała miękkie, ciepłe światło na ładnie nakryty stół, zastawiony kryształowymi talerzykami i dzbanuszkami, od których matowo odbijała biała, zdobna w malowane herby, porcelana filiżanek; pękaty srebrny dzban do kawy jasne rzucał błyski, a świeżo upieczone ciasto pachniało świątecznie. Wesoły brzask szczap smolnych, płonących na kominku, zagłuszał monotony, jesiennie nastrojający plusk listopadowego deszczu.

„Doktor Hugo Meyer”, oznajmił służący, otwierając drzwi nowoprzybyłemu. Ojciec mój wstał z krzesła: „Twój aparat wychowawczy” — szepnął mi z uśmiechem. Niebardzo byłam zadowolona. Dotychczas byli wszyscy panowie ci i panie do siebie podobni: siwi mężczyźni z pochylonemi grzbietami i wątpliwej czystości paznokciami, starsze, uzbrojone w okulary panny o bezkrwistych wargach — istotnie same tylko równomiernie

funkcjonujące „aparaty wychowawcze”, a nie wychowawcy.

Pomna przepisów obowiązującej etykiety, wstałam, kiedy ojciec przedstawiał mnie nowemu nauczycielowi, wynalezionemu po długich poszukiwaniach. „Oto nasza Alicya, panie doktorze! Duża dziewczyna, prawda? Dobrze się pan będzie musiał napocić, aby umysł jej szybkością wzrostu dorównał ciału”. Podałam przybyłemu rękę; ciepły, serdeczny jego uścisk zadziwił mnie—wszyscy jego poprzednicy dotykali tylko końców moich palców, co mnie odrazu zmrażało do nich.

Podniosłam na niego zdumiony wzrok: stał przedemną wysoki, barczysty mężczyzna; para dobrych, dziwnie błękitnych, jakich u nikogo jeszcze dotychczas nie spotykałam; oczu, spoglądała na mnie badawczo. Mimo to jednak ukryć zaledwie zdołałam uśmiech: jak mało nadaje się, pomyślałam; postać ta do długiego czarnego; skrojonego podług wymagań mody, surduta. Pancierz i druciana koszulka rycerza lepiejby mu przystały, a ukryta pod szerokim hełmem głowa, porośnięta rudawymi kędziorami i gęstą, wijącą się brodą, nie przypominałaby niczem pruskiego nauczyciela szkolnego. Zarumienił się pod wpływem mojego spojrzenia i wciąż jeszcze mnąc cylinder w rękę, usiadł niezręcznie na brzeżku ofiarowanego mu krzesła. Trzeba było całego towarzyskiego obycia mojej matki i dobrodusznej uprzejmości mojego ojca, aby jako tako zawiązać rozmowę. Dopiero z chwilą, kiedy skierowana ona została na najbliższy gościowi przedmiot, ożywił on się nieco, a im bardziej zapominał o czarnym tużurku i konwencyonalizmie salonowej rozmowy, tem wyraźniej występowała właściwa jego natura: człowieka pełnego zapału i siły mło-

dzięcej. Odczuwałam ją z taką samą rokoszą, z jaką chłonełam w siebie świeżość spienionego strumyka górskiego lub rozłożystych, cienistych drzew po upalnej na strome szczyty wędrowce. Duszę moją przeniknęło głębokie westchnienie ulgi. Nie otworzyłam ust podczas całej rozmowy, i on też ani jednym nie zwrócił się do mnie słowem. Jediną oznaką serdecznego z mojej strony przyjęcia był ciepły uścisk dłoni, jakim wywzajemniłam mu się przy pożegnaniu.

Było to wieczorem tej samej niedzieli, w porze w której ojciec mój najprzystępniejszy był dla próśb i najmniej wrażliwy na opór. Matka siadywała wówczas wtulona w kąt sofy, przyglądając się ze splecionymi na piersiach rękami układaniu przez niego pasyansa, który, jak sam twierdził, najlepiej mu co wieczór uspakajał nerwy. Ja zajęta bywałam zwykle książką lub marzeniami.

„Powinnibyśmy raczej posłać Alicję do szkoły” — zaczęła matka.

„Tak, żeby tam siedziała z pięćdziesięcioma Konównami i Goldstenównami w jednej klasie! No, chwała Bogu, od dzisiaj nie powrócimy już do tego tematu” — odrzekł stanowczo.

„I nie zastanawia cię to, że odmawia on dawania jej lekcji religii?” — próbowała protestować matka.

„To właśnie mi się podoba” — zapewnił podniesionym głosem. — „Katechizm umie dziewczyna na pamięć, psalmy także, a wszystkiego innego nie można ani nauczyć, ani uczyć się teoretycznie. Udzielanie takich lekcji religii jest rzeczą rodziców.

„Cieszę się z tych lekcji” — wtrąciłam pośpiesznie w obawie, aby nie doszło do poważniejszej między rodzicami sprzeczki.

„Będę musiała zawsze być na nich obecną” — westchnęła matka.

Słowa te przeraziły mnie. Niczyja obecność nie krępowała mnie w takim stopniu, jak obecność matki. Chłód jej działał na mnie paraliżująco. Nie miałam, niby skrzypce bezdźwięczne: struny podnoszą się posłusznie pod naciskiem smyczka, żadnego wszakże nie wydając z siebie tonu.

„Dlaczego, mamo?” — zapytałam drżącym głosem, z oczami błagalnie w nią utkwionymi — „będę bardzo uważna i pilna”.

„Myślisz może, że mi to sprawi przyjemność?! Głos jej nabrał ostrego dźwięku: „Po prostu nie uchodzi zostawiać was samych”.

Nieuchwytnie wrażenie otarcia się o coś nieczystego zalało mi falą krwi gorącej policzki i czoło.

Zamilkliśmy wszyscy. Niżej jeszcze opuściłam głowę na stronicę książki, nie widząc mimo to wydrukowanych na niej wyrazów; bezmyślnie też wśluchiwałam się w monotony plusk deszczu o szyby okienne. Ogień na kominku przygasł.

Następnego popołudnia rozpoczęliśmy lekcję. Mama usiadła w tym samym pokoju z robotą w rękę. Obecność jej zdawała się boleśnie ciążyć i nauczycielowi; nie mógł wpaść we właściwy nastrój, na który tak bardzo liczyłam, oboje rozeszliśmy się też widocznie rozczarowani sobą wzajemnie. Trwało to przez całe tygodnie, powtarzałam też sobie z przedwczesną na wiek mój goryczą, że i tym razem radość moja była płonna. Im bliżej było jednak zimy, tem bardziej ożywiało się życie towarzyskie, takie w końcu przybierając rozmiary, że rodziców moich widywałam już tylko przy stole.

Wizyty, prośzone obiady, bale, teatry amatorskie, widowiska na cel dobroczynny—sypały się jak z rogu obfitości. Matka moja zaledwie znajdowała czas na obowiązkowy codzienny spacer ze mną oraz na witanie wchodzącego nauczyciela. Codziennie powtarzała się przy tem ta sama scena: kłaniając się niezręcznie i pokrywając zażenowanie dziwnie nielicującym z szeroką jego klatką piersiową pokastywaniem, wchodził on do pokoju. „Jesteś pan zadowolony z Alicyi?” — pytała go matka. „O, bardzo” — odpowiadał. Przyjaźnie kiwając mu głową, całując w przelocie moje czoło, żegnała się wówczas, a my, z widoczną ulgą, zasiadaliśmy naprzeciwko siebie. Służący przynosił kawę, która, jak sądził ojciec, miała ułatwić bliższe wzajemne porozumienie się nauczyciela i uczennicy. Nie przychodziło jednak nigdy do tego. Dr. Meyer wypijał jednym haustem całą zawartość filiżanki i krusząc w rękę ciasto, zabierał się odrazu do przeglądania moich kajetów. Rozgrzewał go dopiero przedmiot wykładu; w miarę też jak posuwała się wskazówka zegara, ożywiał się, oczy jego nabierały blasku, a z ust płynął bogaty potok przekonywającej wymowy.

O ile dotychczasowa moja nauka była li-tyko nagromadzeniem faktów, formułek, nazw, dat i liczb, pozbawionych dla mnie wszelkiego uroku rzeczy żywych, podobnie jak zabawki, któremi wujowie i ciotki napelniali moje szuflady, o tyle teraz płynęło do mnie wraz z nauką życie samo, którego pełnię wchłaniałam całą siłą władz moich umysłowych, pragnąc utrzymać ją w nerwowem napięciu wyteżeniem woli.

Zmartwychwstawali przede mną bohaterowie historii; wszyscy walczący w imię wolności i sprawiedliwości,

od Leonidasa i Tyberyusza Graccha aż do bojowników amerykańskich, do współczesnych Polaków, — i wszyscy oni wyczarowywali mi przed oczy rany swoje i bliźni, budząc we mnie uczucia podziwu i zachwytu dla czynów swych i cierpień. Mówili do mnie wreszcie, a mistrze i prorocy darzyli dziecięcy mój umysł najcenniejszemi swojemi skarbami. Jeśli nawet nie umiałam cenić jeszcze należyście ich wartości, przeczuwałam, pełna czci kornej, ich bogactwa, a świat, zaludniony dla mnie dotychczas mglistemi tworam i własnej wyobraźni, odsłaniał mi się w pełni cudów, ogarniany przez pryzmat tysięcy żywych oczu.

Ustnie i piśmiennie wykładać musiałam wszystko czytane i słyszane, nie automatycznie jednak, lecz w świetle własnych moich wrażeń i myśli. Broniałam zawsze namiętnie moich bohaterów, nigdy nie znajdując dość ciemnych barw do odmalowania ich przeciwników. Jeżeli wówczas próbował nauczyciel przeradzać aniołów moich w zwykłych śmiertelników, burzyło się przeciwko niemu wrogo całe moje uczucie, gdy zaś zdarzało się, że rozsałek mój musiał przyznawać mu słuszność, oplakiwałam z rozpaczą strąconego z wyżyn bohatera, jak gdybym najbliższego utraciła przyjaciela.

Wysoki stółek drewniany służył mi za mównicę. Nie umiałam mówić płynnie, siedząc lub stojąc przy stole; potrzebna mi była pewna odległość między mną a moim słuchaczem, instynktownie też wpadłam na pomysł zaimprovizowania sobie w ten sposób katedry. Tylko w obecności matki nie pomagał i stółek nawet, zwłaszcza od chwili, kiedy słysząc mnie raz przemawiającą, uśmieła się do łez z mojego patosu. Nauczyciel rozumiał mnie; jeśli matka wchodziła przypadkowo podczas mojej mowy, zmieniał odrazu przedmiot wykładu.

Nietylko jednak temat i forma, ale także sama treść stawała się inną, gdy nie byliśmy sami.

Matka moja asystowała kiedyś wyjątkowo przy lekcji historii, podczas której poddał dr. Meyer surowej krytyce polską politykę Fryderyka Wielkiego. Jako Hanowerczyk, potępiał surowo Hohenzollernów pomimo całego swojego patryotycznego entuzjazmu niemieckiego. Nagle przerwała mu matka wykład w sposób namiętny, wzbudzający podziw ze strony tej tak zimnej zwykle i wyniosłej kobiety. „Panie doktorze, proszę nie zapominać, kogo pan masz przed sobą” — zawołała. „Jesteśmy Prusakami!” — „Wybaczysz łaskawa pani” — odpowiedział, oblewając się szkarłatnym rumieńcem, „ale bezstronne badanie historyczne...” „Cóż mnie obchodzi pańskie bezstronne badania historyczne — przerwała gniewnie — „obowiązkiem naszym jest czcić i kochać nasz dom panujący i miłość tę przekazywać święcie naszym dzieciom. Ucz pan Alicję faktów, ale nie oświeclaj pan ich krytycznie, i tak już jest aż nadto przemądrzała”. Czekałam energicznego z jego strony odporu. Wbrew przewidywaniom moim wszakże zalała się śnąc wewnątrz ten wielki, silny człowiek, pobladł bowiem, opuścił głowę i zamilkł. Jak gdyby chcąc odpędzić jakąś myśl dokuczliwą, powiódł kilkakrotnie białą dłonią po czole, spojrział mechanicznie na zegarek i odetchnął z ulgą, przekonawszy się, że ukończona godzina pozwala mu odejść, co też niebawem uczynił, pożegnawszy się jeszcze niezręczniejszym niż zazwyczaj. Serce skurczyło mi się boleśnie: nie był on wprawdzie bohaterem, którego upadek zranił mnie w mojej dla niego adoracji,—wystarczyło brutalne wydarcie z serca kielkującego w niem pączka ufności. Mężczyzna, który po-

zwała potraktować się w ten sposób, który nie ma odwagi bronienia swoich przekonań! Że matka i siostra liczyć się muszą z każdym groszem, przyniesionym przez niego do domu — o tem oczywiście wiedzieć wówczas nie mogłam.

Dla mnie, odczuwającej niedostrzeżone niemal dla innych przeżycia w sposób często wstrząsający, pozostała chwila ta pełną znaczenia. Codziennie jeszcze wychodziłam, pełna niespokojnego wyczekiwania, na spotkanie mojego nauczyciela, pozostał on jednak dla mnie nadal tylko odźwiernym, otwierającym wstęp do muzeum historii ludzkości, nie zaś przewodnikiem po nim: otwierał mi jedną salę po drugiej, wchodzić do nich wszakże musiałam sama. Wielką było jego zasługą, że nauczył mnie kroczyć samodzielnie, bez opierania się na szczudłach cudzych poglądów, niewystarczających, gdy wypadnie na skaliste wdzierać się szczyty, — Dusza jednak dziecka jest zbyt miękka, zbyt odczuwającą naturalną potrzebę pomocy i oparcia, aby mogła przejść samotnie przez obce istnienia, bez narażenia się na tyśiące bolesnych starć i aby przy gromadzeniu kwiatu i owocu nie wpadło jej w ręce zbyt wiele roślin i jagód trujących.

Byłam pobożnym dzieckiem, przejętem wiarą w istnienie Boga i aniołów tak samo niezłomnie, jak w istnienie siedmiu karzełków, czarownicy z miotłą i małej rusałki leśnej; wiara ta nie mogła nawet nosić miana wiary, nie zdołała bowiem przejść próby najlżejszego zwątpienia.

Powtórzyło się u mnie to samo, co każde cechuje dziecięstwo ludów: wyobraźnia jest dla nich jedynym pośrednikiem, załatwiającym wszelkie ich porachun-



ki z niezbadaną zagadką życia i losu. Opanowują oni łatwo lęk przed zjawiskami dla nich niepojętymi dzięki wierze w opiekującą się nimi siłę wyższą. Już jako małe dziecko, ilekroć wydarzenie jakieś wyprowadzało mnie z równowagi, zaszywałam się w cichy kącik, gdzie mi nikt nie przeszkadzał gorące do Boga zanosić modły o pomoc. Na religijne moje odczuwania wywarły modlitwy, psalmy i wersety biblijne, a przede wszystkim cały katechizm Lutra,—który nie mógłby być dla dzieci mniej zrozumiałym, niż jest, gdyby był nawet, pisany po chińsku,—równie mały wpływ, jak zimna czczość ewangelickiego kościoła. Obrazki świętych, święcona woda, mistycznie przez czerwone szkło wiecznej lampki migoczące światelko pod tajemniczym, ciemnym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, zdobiącym ściany pokoiku naszej Polki—kucharki, miały dla mnie niezrównanie większą siłę przyciągającą.

Ostre światło dnia padło nagle na nietknięty ten, omglony sennemi rojeniami świat moich, wierzeń.

Z historii, do której dołączono mi w następstwie specjalny kurs historii religii, dowiedziałam się, że nie tylko w łonie Kościoła chrześcijańskiego zwalczały się sekty wzajem jaknajgwałtowniej, przyczem każda uważała siebie za wyłączną przedstawicielkę jedynie zbawczej wiary, za którą ginęło od ognia i miecza tysiące bohaterskich ofiar; przekonałam się też, że mahometanie, żydzi i buddyści niemniej byli pobożni od wyznawców Chrystusa i że z tą samą ofiarnością, z tym samym zapalem żyli i umierali w obronie swojej wiary. Nie znałam jeszcze opowieści o trzech pierścieniach, ale czułam całą doniosłość tak przedstawionej kwestyi. Nauczyciel mój, który zrazu wzbudził nieufność matki odmową

uczenia mnie religii, a później, zapewniwszy, że nie będzie budził we mnie żadnych wątpliwości religijnych, ograniczał się na obiektywnem przedstawianiu faktów dziejowych, tak długo wykręcał się od dawania mi odpowiedzi na moje, przypierające do muru, pytania, że przestałam wreszcie mu je stawiać. W duszy mojej jednak stały się one kamieniem węgielnym wieży, z której szczytów pragnęłam i ja wydrzeć tajemnicę niebiosom. Że jednak zbyt słabą byłam i niezręczną, aby móżdż o własnej sile dokładnie i trwale tak trudną wznieść budowlę, załamała się ona i runęła przed czasem. Nietylko nie dopomogła mi też do nowych dotrzeć cudów, ale, co gorzej, pod gruzami jej legły poszarpane szczątki dziecięcych moich wierzeń.

Pewnego dnia, po powrocie z dłuższego spaceru, wprowadził mnie ojciec w sposób szczególnie uroczysty do naszego mieszkania. Do owej chwili zajmowałam pokój, przylegający do sypialni rodziców, w którym w dzień siadywała zazwyczaj z robotą garderobiana matki. W pamiętnym owym dniu otworzył mi ojciec drzwi do niezajętego dotychczas pokoju z oznajmieniem, że odtąd będzie to moje wyłącznie państwo. Nie wierzyłam własnemu szczęściu: mój kącik! mój i tylko mój!... Naturalne to marzenie każdej dojrzewającej do samostannego życia istoty ludzkiej miało więc ziścić się tak cudownie, tak niespodzianie! Nie przeszkodzi mi już tutaj turkot maszyny do szycia, nikt nie zajmie mojego miejsca przy biurku! Tylko stara brązowa sofa przypominała pokój dziecięcy pomimo nowej błękitno-białej sukienki. Pierwszą noc pod śnieżnemi zwojami muślinów, przy czerwonym świetle lampy spędziłam bezsennie: *mój* pokój, a jednak brakło mu rzeczy najistotniejszej,

piętna tajemniczości, dostępnej dla mnie jedynej tylko i dla nikogo więcej. Podniosłam się też wśród nocy i ci-chutko wysunęłam się z łóżka. Z szafki od bielizny wyciągnęłam trochę pstrych gałganków jedwabnych oraz duży żółty szal i ukłękłam z niemi przy oknie, gdzie między kanapą a ścianą pozostał ukryty wolny kącik. Za pomocą szpilek i pluskiewek rozpięłam szal nakształt namiotu między wysoką poręczą sofy a framugą okna; wybiłam wewnątrz namiotu czerwonym atłasem, a na ziemi rozłożyłam, jako puszysty dywan, kawał błękitnego pluszu. Białe, pomalowane w kwiaty pudełko ustawiłam na środku w kształcie ołtarza, który obstawiłam dokoła kolorowemi świeczkami z choinki, zaś mała czarka malachitowa, napełniona liśćmi różanemi, uzmysławiać miała ofiarnicę pogańską. Brakło tylko bóstwa, dla którego płonąć miały kadzidła. Na palcach, powstrzymując oddech, wsunęłam się do jadalni, zdjęłam z nad kominka małą statuetkę Apollina Belweder-skiego i prędko uciekłam napowrót z tym skarbem, postanowiłam bowiem podnieść go do godności bóstwa mojego jaskrawo-barwnego sanktuarium. Musiałam schylić się głęboko, aby zajrzeć do środka, nietylko jednak nie przeszkadzało mi, że wargami dotykałam prawie podłogi, ale przeciwnie doskonale odpowiadało uroczystemu mojemu nastrojowi. Apollina nazywałam Baldurem, ajbliższym był mi bowiem świat bóstw germańskich, modliłam się też do mojego, uosabiającego wscho-dzące światło, pełnego sił żywotnych, bóstwa z prze-jęciem, do jakiego zdolna jest jedynie głęboko czująca dusza dziecka.

Matce opowiedziałam z biciem serca, że „stłukłam”. Apollina, prosząc zarazem ją tak samo jak i resztę

domowników, aby nie odsłaniali, szczelnie ciemną chustką zagrodzonego, kąta mojego pokoju, w którym — jak mówiłam — ukrywam moje niespodzianki wigilijne. Po przeminięciu jednak świąt nie szykowałam się wcale do opróżnienia tajemniczej mojej skrytki, do której raz przecież dotrzeć musiała szcztotka do szorowania i ścierka do kurzu.

Kupowałam potajemnie kwiaty, aby zawsze świeżo mieć mój ołtarz, przyozdobiony specjalnie w tym celu nabytą wieczną lampką. Niejednokrotnie już przypominała mi matka abym uprzątnęła moją „śmiecianię”; wreszcie, kiedy pewnego dnia wróciłam z lekcji muzyki, wyszła mi naprzeciw pąsowa z oburzenia. „Nigdy więc nie oduczysz się kłamstwa? zawołała, wpychając mnie przemocą do mojego pokoju. Świątynia moja znikła; zamiast niej piętrzył się stos porozrzucanych, poszarpanych pstrych gałąnków, kwiatów, świeczek, kadzi!; lampka wieczna wywrócona i zdmuchnięta. „Czy wiesz, jak się nazywa człowiek, przywłaszczający sobie cudze mienie?” Słowa te wytrzeźwiły mnie odrazu z pierwotnego mojego osłupienia. Z głośnym krzykiem rzuciłam się na kolana przed łóżko; ciało moje drgało konwulsyjnie, a serce waliło jak młotem. Ten wybuch rzczaczy wydał się matce przejawem nagłej skruchy. „No, no, uspokój się, Alisiu” — próbowała mnie ukoić, kładąc mi rękę na głowie. Dotknięcie to podnieciło mnie jeszcze bardziej, głębiej też jeszcze wtuliłam się w poduszki. „Gotowa jestem uważać całą tę historię za dzieciństwo. Jeśli jednak raz jeszcze zdarzy ci się minąć z prawdą, będę zmuszona uciec się do innych sposobów”.

Odtąd nie budowałam już świątyni, ani ołtarzy.

Życie moje zewnętrzne zgodne było z kanonem, obowiązującym wzorową uczennicę i dobrze wychowaną pannikę. Tem bujniej natomiast krzewiły się czarowne kwiaty rojeń w cieplarnianej atmosferze mojego życia duchowego. Zapach ich owiewał mnie i upajał, ilekroć pozostawałam sam na sam z własnymi myślami. Często wyteęzałam całą siłę woli, aby nie zasnąć aż do chwili, w której wszyscy w domu udawali się na spoczynek, aby mózdz potem siedzieć długo przy migocącym świetle świecy przy biurku, przy którym przelewałam, z głową płonąca i drżącemi z zimna członkami uczucia moje na papier, tworząc strofy wierszowane, pełne gorącej tęsknoty za swobodą i miłością.

Jedynie lekcye nauczyciela wpływały kojąco na wewnętrzne moje burze, kierując zainteresowanie moje na inne tory. Coraz bardziej zwłaszcza pociągał mnie wykład historyi literatury. Obejmował on nietylko nazwiska autorów, tytuły ich dzieł oraz gotowe o nich sądy, w które uzbrojona młodzież z powodzeniem udaje wykształcenie, ale udostępnił mi zapoznanie się z samemi utworami, o ile oczywiście treść ich i forma odpowiadały umysłowemu mojemu rozwojowi. Przynosił mi je w małych skromnych zeszytach nauczyciel mój, nieposiadający środków na kupno droższych wydań. W ten sposób zapoznałam się z literaturą niemiecką i północną, z greckimi i rzymskimi klasykami. W miarę czytania rosło moje pragnienie poznawania nowych wciąż arcydzieł, teraz—zamiast kwiatów i wonności do mojej świątyni—kupowałam, jeden po drugim, żółte zeszytiki Reklamowskie. Nie znałam zwłaszcza spokoju od chwili otrzymania katalogu: musiałam czytać, czytać, czytać wszystko. Nie wystarczało już mojej, podnieconej żądzą wiedzy i wra-

żeń, gorączce czytania to, co polecał mi nauczyciel, jeszcze mniej to, co mi dawali lub co czytać pozwalali. W osiem dni przeczytywałam wszystkie książki, otrzymane na gwiazdkę i na imieniny, a chociaż wciąż na nowo zagłębiałam się w moją skarbnicę wiedzy—jak ojciec ją nazywał—w „Charakterystyki wybitnych postaci” Grubego lub w „Obrazy z niemieckiej przeszłości” Freytaga, nie wypełniały one jednak wszystkich moich chwil wolnych.

Inne dzieci, mojego wieku bawiły się; moje lalki serwisy i kuchnia wydostawane bywały z pyłu zapomnienia wówczas tylko, kiedy przychodziły do mnie rówieśnice w odwiedzinie, co uważałam też za bardzo niemiłą przeszkodę. Cóż mnie łączyło w istocie z „głupimi pensyonarkami? Nie rozumiałam ich spraw szkolnych, a ilekroć próbowałam zdradzać się przed nimi z własnych moich upodobań, wyśmiewały mnie tylko. Matka uważała sobie za obowiązek dostarczać mi odpowiedniego wiekowi mojemu towarzystwa. Dla mnie było ono tylko jednym jeszcze obowiązkiem, w dodatku, jak wiedziałam z doświadczenia, mocno niemiłym. Nic nie równało się dla mnie rokoszy, jakiej doświadczałam, siedząc, wciśnięta z podniesionymi kolanami w róg kanapy i pochłaniając treść książki, której czar przysłańiał mi najzupełniej świadomość otaczającego świata. Jedyłą plamą na słonecznym widnokręgu chwil takich była obawa, aby mnie nie wykryto, wiedziałam bowiem doskonale, że to, co czytałam, nie należy do dozwolonej „panieńskiej lektury”, a czułam instynktownie, że przewyższa ono tysiącrotnie wartością swoją mdłe powieścicidła Klementyny Helm, przedmiot zachwytku ówczesnych młodych dziewcząt.

Rozprułam jeden ze szwów w nowem pokryciu mojej starej kanapy, w ten sposób, ilekroć zasłyszałam zdaleka obce kroki, wsuwałam momentalnie żółty zeszytek do bezpiecznego schowanka, a sama pochylałam się z pietyzmem nad tomem historyi powszechnej Webera, leżącej zawsze na pogotowiu na moim stole. Powoli stał się pocziwy, dyskretny mebel moim skarbczykiem. Wszystkie zeszytiki leżały tam cichutko obok siebie, gdy postacie ich autorów i bohaterów dziką tańczyły w mojem sercu i mózgu sarabandę. Nie brakło nikogo: Arnim i Brentano, Hauff i Zschocke, Walter Scott i Bulwer, Gogol i Turgeniew. I nocą nawet nie dawali mi oni często spokoju, a we śnie wypełniali treść widzeń moich i marzeń.

Pewnego zimowego wieczoru nie miałam już nic do czytania. Rodziców nie było w domu; udało mi się też, niezauważonej przez nikogo, pobiedz do pobliskiej księgarni, aby tam zdobyć przedmiot najgorętszego pożądania. Czytałam, w historyi literatury o E. T. U. Hoffmianie, o którym nauczyciel, gdy go prosiłam o dzieła jego w przekonaniu, że jest nim słynny baśniopisarz, odpowiedział: „to jeszcze nie dla ciebie”. Taka właśnie odpowiedź starczyła mi oddawna za najlepszą rekomendację książki. Po chwili wróciłam też, obładowana dwoma tomikami Hoffmana, do których czytania zabrałam się niezwłocznie. Wieczera, którą mi przyniesiono, pozostała nietknięta, a kikakrotne nawoływania służącej, abym poszła spać — bez rezultatu. Wtem otworzyły się drzwi. „Jakto, jeszcze nie leżysz w łóżku?! zabrzmiął głos ojca. „Musiałam zasnąć” — wyjąkałam, chowając pośpiesznie książkę. „Rozbierz się prędko — nie powiem nic mamie — dobranoc”. Mówiąc

to, zamknął pośpiesznie drzwi. Zgasiłam lampę i prędko w ubraniu wśliznęłam się pod kołdrę; po chwili weszła mama i widząc mnie, leżącą cichutko, pewna była, że śpię. Gdy mi już nic nie groziło, zapaliłam światło i czytałam dalej: o złotowłosych czarodziejkach, o słowiku i róży szkarłatnej, o kwiecie lotosu i złotym żuku. Nie mogłam oderwać się od nich aż do ostatniej stronicy. Od tej chwili żyłam w świetle Hoffmana, tak, że każde zetknięcie się z rzeczywistością sprawiało mi ból, niby ułucie szpilki. Przykrzejszemi jeszcze niż kiedykolwiek wydawały mi się przykre dla mnie zawsze i bez tego lekcy muzyki. Kochałam muzykę; dzięki Hoffmanowi wydawała mi się ona czarem niebiańskim.

Już jako małe dziecko lubiłam całemi godzinami przysłuchiwać się grze lub śpiewowi, — natomiast własne moje rzępolenie, w którym nieustannie potykałam się o trudności techniczne, nie słysząc z pozanut i znaków muzycznych samej muzyki, stawało mi się coraz nieznośniejszem. Napróžno błagałam mamę, aby, wobec widocznej mojej w tym kierunku tępości, uwolniła mnie od tych lekcy; gra na fortepianie należała do dobrego tonu, prośby więc moje nie mogły być uwzględnione. Wpadłam wreszcie na pomysł uwolnienia się od nieznośnego ciężaru na innej drodze: zamiast na lekcy chodziłam na spacer, albo też wymawiałam się „ból głowy”. Ażeby w takich razach nie spotkać nikogo z moich, wybierać musiałam odludne i dalekie ulice.

Podczas dżdżystej wiosny 1877 roku zalała Warta, wystąpiwszy z brzegów swoich, całą polską, zamieszkałą przez najuboższą ludność, dzielnicę Poznania. Nędza i choroby epidemiczne wzmogły się wskutek



zalewu do tego stopnia, że nawet sfery towarzyskie, do których należeli moi rodzice, rozumiały, iż pomoc, zorganizowana w zwykłej formie zabaw filantropijnych, jest niezbędna. Nie brałam w nich udziału, jak ongi w Karlsruhe, nie było prawdopodobnie racyi popisywania się bladą, wysoką, chudą dziewczyną,— natomiast asystowałam przy próbach, ponieważ matka moja miała odtwarzać jedną z głównych ról. Przy tej okazji obito się o uszy moje niejedno z życia biedaków, dla których przeznaczano dochód z tej targowicy próżności. Nędza... — cóż mogłam o niej wiedzieć? Poruszała ona mnie do łez, występując w świadomości mojej w postaci głodzonych niewolników rzymskich za czasów Nerona, wołających głośno o chleb w początkach Wielkiej Rewolucyi kobiet Paryża, lub wychudłych mar tkaczy szląskich z lat głodu, panującego w Prusach. Ale teraz, w momencie rozkwitu państwa niemieckiego, pod berłem starego, dobrego cesarza— teraz nie było nędzy! Widok pijaków, wyrzucanych codziennie za drzwi z mieszczącego się naprzeciwko nas polskiego szynku, kobiet, tarzających się pod wpływem oparów alkoholowych w rynsztokach, budził we mnie odrazę jedynie, nigdy litość. Przyczyną złego był przecież straszny ich nałóg, a nie nędza. Postanowiłam też szukać tej nędzy, której nie znałam; a lęk, opanowujący mnie na myśl o przygodach, jakich miałam doznać, potęgował romantyczny nastrój mojego przedsięwzięcia. Stały mi żywo przed oczami wszystkie błędne drogi z opowieści Hoffmanowskich.

Pewnego chłodnego, dżdżystego poranka marcowego, uzbrojona w tekę z nutami, przebiegłam szybko główne dzielnice miasta, podążając w stronę rynku.

Widok znajomej twarzy skłonił mnie do schronienia się w ciemnej katedrze, na której progu owionęła mnie ciężka fala zepsutego powietrza, ciżby ludzkiej i woni kadzideł. Ślady wielu zabłoconych nóg pokryły posadzkę warstwą czarnej lepkiej masy. Światło grubych świec, płonących przy ołtarzu, rzucało niepewne migotliwe błyski na twarz księdza, celebrującego mszę ochryplym, bezdźwięcznym głosem. Zdjęta nieopisaną trwogą, pobiegłam w kierunku drzwi, wysliznęłam się jednak po drodze i upadłam na posadzkę. Wstrętne błoto przywarło mi do stóp i kolan; z wysiłkiem i obrzydzeniem udało mi się jako tako je zeskrobać. Fatalny początek! — pomyślałam, dążąc ku celowi wycieczki coraz ciaśniejszemi i coraz ciemniejszymi zaułkami, Tu i owdzie spotykałam ludzi, wypompowujących z piwnic wodę lub wynoszących ją wiadrami; domki stawały się coraz mniejsze, tak że u niektórych mogłam swobodnie sięgnąć ręką dachu; środek ulic przerzynały coraz szersze kałuże i rynsztoki, po których dla umożliwienia przejścia przerzucono kładki i mostki.

Na ulicach, położonych niżej, była woda tak głęboka, że przewożono ludzi na czółenkach i tratwach. Po ciemno-żółtej brudnej powierzchni pływały odpadki kuchenne, potłuczone garnki, cuchnące zdaleka stopy śmieci; w których nędznie odziane, po kolana broczące w wodzie, dzieci grzebały brudnymi palcami w poszukiwaniu zabawek. Wydało mi się, że zimna zmora dławi mnie niby szary, wilgotny wąż. Jękliwy głos dzwonka zbudził mnie z odrętwienia; potrząsał nim zakrystyjan, poprzedzający księdza z Sakramentami. Przed drzwiami niskiego, jaskrawo-żółtego domku, w głębi którego znikli niebawem obydwaj, tłoczyły się kobiety

i dzieci, bose, brudne, odziane w łachmany; kilka tylko fałdzistych czerwonych spódnic i barwistych chust na głowach świadczyło o minionych lepszych czasach. Rozmowa ich, prowadzona zrazu szeptem, stawała się coraz głośniejszą w miarę, jak kłębiło ich się coraz więcej, wyłażących z niezliczonych nor i zaułków. Tyle ich wreszcie było, że trudno było zrozumieć, gdzie się to zazwyczaj wszystko mieści i chowa.

Skryłam się lekliwie za jednym z węglów, gdy nagle otwarły się obok mnie z hałasem drzwi: wytoczył się z nich tyłem, miotając wymysły i przekleństwa pijany chłop, wywijając pustą butelką, którą służyć mu widocznie miała za obronę przed prześladowcami.

W tej samej chwili zaczął znów dzwonek i wszystko ucichło, jak na komendę: rozgadane kobiety, pijani mężczyźni i hałasujące dzieci padli na kolana, korzystając w tym celu z najmniejszego kamyka, lub kępek ziemi, wystających z wody. Ksiądz minął ich, szepcąc modlitwy; długa jego sutanna wlokła się za nim po wodzie, jak czarna ciężka opona śmierci.

Za nim szła para staruszków; mężczyzna i kobieta, oboje chudzi, wymizerowani, zgięci we dwoje; zwieszające kosmyki żółto-siwych włosów przysłaniały nabrękle ich z płaczu twarze, szare ich, kościste palce zaciskały się kurczowo dokoła wązkiej, czarnej trumienki, której ciężar dźwigali pospołu; wianuszek z liści papierowych z zatkniętym za nim obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej jedyną był jej ozdobą. W niemem milczeniu podążył za nimi tłum — długi korowód nędzy, którego ostatnie ogniwo tworzył wymachujący butelką pijaczyna. Cicho było, jak makiem siał, tylko plusk wody z pod setek nóg zwolna kroczących, roz-

legał się złowrogo na tle tego pełnego grozy obrazu Drgnęłam, jak obudzona z długiego dręczącego snu. Musiałam minąć szeroko otwarte wrota izby, z której wyniesiono przed chwilą trumnę. Było w niej zupełnie ciemno, mimo to dostrzegłam przykucniętą na podłodze postać, wpatrzoną we mnie wielkimi pustymi oczodołami — była to nędza. — Uciekłam, biegnąc pędem, ile starczyło drżącym moim kolanom sił.

Szczękając zębami z zimna, rzuciłam się po powrocie do domu na łóżko. Nazajutrz z rana bredziłam w malignie.

Długie tygodnie walczyłam ze śmiercią. Po wielu jeszcze latach nie mogłam bez uczucia grozy pomyśleć o dzikich, trapiących mnie podczas tej choroby, snach gorączkowych. Widziałam katedrę: księdzem przy ołtarzu był kościotrup, tysiące brudnych, kościstych rąk ciągnęło mnie w bezdennie głęboką, błotnistą otchłań, — biegłam bez tchu przez żółte spienione nurty, za mną gnały nieskończone tłumy mężczyzn i kobiet, którym głód, opilstwo i żądze zbrodnicze jarzyły się z nabiegłych krwią oczu. Pomiedzy niemi tańczyły na kołdrze mojej elfy, wierząc mi ostremi pałaszykami w mózgu, wąż o wielkich bladoniebieskich oczach zaciskał mi się kurczowo dokoła szyi.

„Skąd do niej podobne fantazyje?” usłyszałam nagle pytanie matki, nie odchodzącej z pełną poświęcenia obowiązkowością ani na krok od mojego łóżka.

„Nie pojmuję, skąd się do niej wzięła malarya?” — mówił z kolei doktor, spotykający podobnie zabójcze wypadki febry błotnistej tylko w dolnej dzielnicy, zalanej wodą.

Milczałam, zbyt znużona i apatyczna, aby mózgi przemówić; po gorączce opanowała mnie nieprzewyciężona słabość. Wierzyłam w rychłą śmierć, przyjmując ją bez oporu, bez chęci zwalczania jej. Nie dałam się też omamić równym, pogodnym humorem matki, działającym zazwyczaj tak kojąco na chorych. Lęk, wywierający zbyt widocznie ze zmienionych rysów ojca, gdy pochylał się nad moim łóżkiem, zdawał mi się werniej odpowiadać istocie rzeczy.

A jednak zaczęłam przychodzić do siebie, powoli, bardzo powoli, i powoli wracała też wraz z siłami chęć do życia. Jak gdyby w podziękę za to, że żyję, obśbywał mnie teraz ojciec podarunkami, ciekawie wy-czekiwałam też codziennie w południe jego powrotu z miasta; zawsze miał coś dla mnie w kieszeni; owoc, kwiat, książkę, słodycze. Jakże dobrzy byli wogóle ludzie. Wszyscy interesowali się mną; codziennie czekał nauczyciel mój przed domem na lekarza, aby bezpo-średnie mieć wiadomości, a teraz przysyłał mi najpię-kniejsze książki; wszystkie pułki ustawiały mi pod oknami orkierstry, aby rozweselić muzyką moją rekon-walescencyę, a stary, poczciwy generał Kirchbach odwiedził mnie osobiście i położył mi lalkę na kołdrze.

„Lalką będzie się bawiła moja córeczka” — po-wiedziałam z uśmiechem do matki po jego odej-ściu, — zabawy przestały już dla mnie istnieć na zawsze.

Po trzymiesięcznem leżeniu w łóżku miałam wstać po raz pierwszy; właśnie stanąć chciałam, kiedy nagle zamroczyło mi się zupełnie w głowie, chwyciłam za kra-wędź łóżka, gdy wtem ku przerażeniu memu ujrzałam

plamę szkarłatną na prześcieradle. Złęklam się: chciałam już raz nareszcie wyzdrowieć. Stojący przy łóżku stary nasz lekarz położył mnie łagodnie na poduszki. „A więc to tak” — zaśmiał się. „Wyrośliśmy ostatecznie z dziecinnych trzewiczków, panienko.” Nie rozumiejąc nic, spojrzałam na ciemno-pąsową z zażenowania twarz matki. „Wytłómaczy pani córce wszystko, co potrzeba”, dodał doktor, zabierając się do odejścia. „Ależ ona ma dopiero dwanaście lat” — odparła matka nieśmiało. „Nic nie znaczy, nic nie znaczy, takie ciężkie choroby są zawsze zapowiedzią wielkich przewrotów;” uściśnął mnie raz jeszcze za rękę... „wsta niemy dopiero za kilka dni“.

„Nie niepokój się, Alisiu” — zwróciła się do mnie matka po jego odejściu i w kilku słowach wyjaśniła mi rzecz całą. Przepęłniło mnie uczucie dumy: teraz naprawdę przestałam być dzieckiem, — marzenia moje pobiegły w przyszłość: idzie więc ku mnie życie, kuszące, pełne czarów życie!

Wyrosłam tak bardzo podczas choroby, że wszystkie suknie były nie do noszenia. Podczas kilku tygodni, spędzonych jeszcze między kanapą a łóżkiem, nosiłam powłóczyste szlafroki mojej matki, co mi wielką sprawiało przyjemność. Zaczęłam znów szukać w lustrze odbicia mojej twarzy, przez tak długi czas zupełnie mi obojętnej; jakkolwiek byłam jeszcze bardzo blada i szczupła, dość się sobie samej podobałam: wielkie ciemne oczy, ciemne, wijące się loki dokoła białego czoła, wąskie ręce z różowymi paznokietkami, — kto wie, czy nie wyrosnie jeszcze ze mnie coś możliwego!

Kiedy obładowane kuframi jechałyśmy na dwo-

rzec, z którego pociąg zawieźć nas miał w kierunku południa, nie próbowałam ani jednej zakazanej przeszwarcować książki: nie dbałam o czytanie, bo żyć chciałam — żyć i korzystać z życia pełną piersią.

---





## ROZDZIAŁ CZWARTY.

Po kilkumiesięcznym pobycie w górach wróciliśmy do domu.

Wiatr, dmący po przez białe piany strumyków górskich i siniejące wierzchołki drzew, tyle przynosi świeżego w doliny powiewu, że ostać mu się niezdolna żadna chorobliwa gorączka ciała; kojący dźwięk dzwonek pasterskich i nocne ćwierkanie świerszczy w zaroślach wyczarowuje spokojny sen tym nawet, którzy oddawna go już nie zaznali.

Zdumionę: „Ależ, Alisiu!”—opromienione radosnym uśmiechem, starczyło za wymowne powitanie ojca, oczekującego nas w Poznaniu. Nazajutrz odwiedzili nas krewni, przetranszłokowani również do tego miasta; kuzynka moja i rówieśnica, mała niepozorna istotka w krótkiej dziecinnej sukience, podniosła na mnie zdziwiony wzrok, mówiąc: „Jesteś już przecież dorosłą panną!”

Wkrótce potem przybył mój nauczyciel. Stał

on oniemiały we drzwiach. „Jak — jak się pani ma?” — wyjąkał onieśmielony.

Nigdy dotychczas nie nazywał mnie „panią”. Przypomniał mi się Sepp z Grainau, którego zaledwie udało mi się tego lata namówić do dawnego tykania mnie, i Janek Guntersberg, który był tego roku znów w Garmiszu i którego czułe, wierszowane apostrofy nie robiły na mnie żadnego wrażenia jedynie dlatego, że nie mogłam zapomnieć o nieczystej cerze i potliwych rękach ich twórcy.

Istotnie przestałam już być dzieckiem! Spakowałam też wszystkie zabawki do dużego kosza, który wynieść kazałam na strych.

Odzyskana siła żywotna była mi motorem, wprowadzającym w ruch wszystkie naraz koła i tryby maszyny: z gorączkowym zapałem zabrałem się do nauki, uważając obok tego za stracony każdy dzień, w którym nie napisałam wiersza lub nie pracowałam nad jednym z moich szkiców dramatycznych, zarazem jednak stroiłam się z upodobaniem na lekcye tańca i ko-rzystałam w całej pełni z pozwolenia brania udziału w życiu towarzyskiem w domu moich rodziców.

Leżą oto teraz wszystkie przede mną z poźółkami okładkami i wyblakłym pismem, wszystkie stare zeszyty z owych czasów. Zawarte są w nich moje opracowania tematów, bądź zadanych przez nauczycieli, bądź obranych dowolnie: naiwna mieszanina dziecięcego rozumowania i przedwczesnej dojrzałości. O tem, że poglądy moje sprzeczne były z poglądami nauczyciela, świadczyły krytyczne jego na marginesach uwagi; mimo to opatrzone one są najczęściej adnotacją: „dobrze”, albo „bardzo dobrze”, stanowiącą raczej do-

wód jego obiektywizmu, aniżeli słuszności moich zapatrywań. Przekorna moje natura, pchająca mnie do przeciwstawiania się zrazu wszystkiemu, co słyszałam, ujawnia się w każdej niemal z tych prac. Gdy np. nauczyciel mój ukochał ponad wszystko Szyllera, sławiłam najbardziej Goethego. W wypracowaniu o balladach obu poetów piszę między innymi: „Goethe jest poetą z Bożej łaski. Głównem jego zadaniem jest, aby każdy utwór jego był dziełem sztuki. Szyller natomiast z innego jest gatunku — dla niego jest utwór poetycki tylko pretekstem do prawienia morałów”, (pełne oburzenia „O!!” dopisane jest w tem miejscu ręką nauczyciela) „widać to w jego balladach, których podkład stanowią wszelkie możliwe nauki moralne: „Walka ze smokiem” uczy, że zwycięstwo odniesione nad samym sobą większem jest, niż nad potworem. „Zakładnik” i „Rycerz Toggenburg” wykazują znaczenie wierności. „Dzwon” jest prawie cały jednym kazaniem moralnem. Jeśli porównamy z niemi Goethowskiego „Króla Olch”, nie zawierającego ani jednej pouczającej myśli, malującego natomiast całe zajście w sposób tak plastyczny, że przeżywamy je sami, albo też przepyszną jego balladę „Narieczona z Koryntu”, uzmysławiającą druzgoczące zestawienie pogaństwa z chrześcijaństwem” (w tem miejscu znak zapytania) widzimy, że Goethe jest bardziej poetą, Szyller zaś bardziej kaznodzieją.”

W innym miejscu mówię o cenionej bardzo przez nauczyciela mojego poezji meistersängerów w ten sposób: „Była ona sucha i nudna i wykazywała wyraźne przeciwieństwo pocziwej, ale ciasnej, roboty rzemieślniczej do rycerskiego wykształcenia minnesängerów”. Zaś o Lutrze, dla którego nauczyciel mój, mimo wszyst-

kie w tym kierunku wysiłki nie mógł mnie rozpląmnić, pisałam: „Ma on wielką zasługę złamania potęgi papieżstwa, natomiast surowość jego i brak zrozumienia sztuki nadały kościołowi jego piętno pospolitości i bezbarwnej brzydoty” (tu uwaga nauczyciela: „Tum Koloński? Dürer?! Bach?!”). W licznych wypracowaniach historycznych płałam się formalnie w nienawiści do tyranii. W wypracowaniu, napisanem ni mniej ni więcej niż na 64-ch stronicach, i mającem za temat przewroty polityczne w Europie, od 30-letniej wojny począwszy, do Rewolucji francuskiej, usiłowałam wykazać, do czego prowadzi niesprawiedliwy rząd, ucisk ludu, deptanie praw boskich...!

Z pośród panujących nowoczesnych wyróżniałam szczególną nienawiścią Fryderyka Wilhelma III-go, którego wślawiły czyny jego poddanych, a który wywdzięczzył im się tem, że złamał dane przyrzeczenie... Steina podnosiłam jako „zbawcę ojczyzny, pragnącego osiągnąć na drodze pokojowej cel francuskiej Rewolucji”.

Ojciec mój poddawał często wypracowania moje krytycznej rewizyi, mającej najczęściej wszakże na względzie styl, zaś rzadko bardzo myśli w nich zawarte, Uprawianie radykalizmu retrospektywnego, jakim popisywała się córka, zapalanie się do minionych walk wolnościowych, oburzanie się na występne czyny książąt, oddawna w proch już rozpadłych, nie obrażało na ogół światopoglądu kół oficerskich, w których obracaliśmy się. Pozostawał on wówczas, zwłaszcza na prowincyi, w ostrem przeciwieństwie do idei i obyczajów, panujących na naszych dworach. Zbytek uważany był za godny pogardy, natomiast zacność skromnego rodzinnego życia za najwyższe dobro. Osobisty stosunek

niezamożnego często oficera liniowego do zwykłego żołnierza był mostem porozumienia dla wielu żądań i potrzeb ludu. Z jaką gwałtownością występowano nieraz w mojej obecności przeciwko temu, że „wysokie sfery” nie troszczą się o braki i niedomagania nizin, że „czereada dworska” zapomina wśród nieustannych zabaw o pruskiej tradycji obowiązkowości. Pewnego razu, po powrocie ojca z jakiejś misji spełnionej w Berlinie, nie zdołało żadne ostrzegawcze „ależ, Janie...” z ust matki mojej, żadne z jej karcących spojrzeń ułagodzić jego wzburzenia, szukającego ujścia w drastycznych opowiadaniach o tem, co widział i słyszał. Wzrastający wpływ kół finansowych, rozprężenie w gwardyi przez zbliżenie się jej do „gwiazd teatralnych” i kumanie się jej z „gieldziarzami”, przeciwny duchowi pruskiemu przepych balów dworskich, nepotyzm w sprawie awansów — wszystko to wciąż było roztrząsane z dodatkiem stałej zwrotki: „Wszystko to ładnie się jeszcze może skończyć!” Zarazem jednak obok potępiającej krytyki tych z „góry”, występowało ostre rozprawianie się z każdą próbą oporu ze strony stojących w „dole”. Ideałem był stosunek patryarchalny, cokolwiek zaś stało z nim w sprzeczności, uważane było za zbrodnię. Ojciec mój np. nieprzejednanym był wrogiem przedsiębiorczości wielkiego przemysłu, — słyszałam padające nieraz z ust jego wyrazy: „wyzyskiwacz” i „pijawka”, — z tą samą jednak gwałtownością potępiał on wyzyskiwanych i ssanych, gdy sami próbowali dochodzić swoich praw. I jedni i drudzy wychodzili jego zdaniem z jednakiej zasady materialnego używania, z tą tylko różnicą, że jedni posiadali wszystkie po temu środki, i pragnęli wysączyć kielich użycia do ostatniej kropli, zaś inni walczyli wszelkimi spo-

sobami o jego zdobycie. Treść ich i cel życia były dla jednych i drugich jednakie,—i mnie po wszystkim, co czytałam i słyszałam, wydawało się rozumowanie podobne słusznem, dla tego też przy całym moim zapale dla historycznych bohaterów wolności nie potrafiłam utożsamiać z nimi socyalistów, a niechęć moja dla nich wzrosła do rozmiarów fanatycznego wstrętu, kiedy cesarz Wilhelm, uświęcony dla nas wszystkich symbol jedności i potęgi Niemiec, stał się przedmiotem napaści Hödla i krwawego zamachu Nobilinga.

Siedzieliśmy właśnie spokojnie przy kawie w Winiarach, gdzie w cienistym ogrodzie kasyna zbierały się w lecie sfery oficerskie, a ja, psuta córka potężnego szefa pułku, grywałam z dorosłymi w krokieta, kiedy nagle wbiegł pędem młodziutki oficerek. „Panie pułkowniku, panie pułkowniku” — nie mógł dalej mówić, głos załamał mu się ze wzruszenia, a grube łyzy spływały niehamowane po policzkach. „Do dyabła, co się dzieje?” wrzasnął mój ojciec. „Jego Cesarska Mość, nasz najmiłościwszy cesarz” — próbował wyprostować się jak struna, ale kolana drżały pod nim wyraźnie — „został, został — zastrzelony”. Ojciec mój zbladł jak chusta. „Kłamstwo!” — krzyknął. W niemem milczeniu podał mu zwiastun straszliwej wieści na wpół zmięty papier — dodatek nadawycząjny naszej gazety. Tymczasem zbiegli się ku nam z całego ogrodu żołnierze i oficerowie, mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy. Wszyscy płakali. Ojciec mój, jedyny tylko, stał jak skamieniały w pośrodku i tylko stalowe błyski w oczach zdradzały co się działo w jego duszy. Bez słowa, gnani wspólnem wszystkim uczuciem, opanowującym ludzi pod wpływem szczególnie wstrząsających zdarzeń, uczuciem, że

coś stać się musi, co uwolni nas od okropnej zmory, biegliśmy wszyscy ku wyjściu. Gdy zbliżaliśmy się do miasta, powiewały tu i owdzie z okien pierwszych domów żałobne sztandary, z wieży kaplicy garnizonowej rozległ się jęk dzwonów. Wtem, w chwili kiedy wbiegaliśmy na połyskujący w słońcu plac broni, ujrzelśmy spieszącego ku nam człowieka o kuli, z najwidoczniej pospiesznie zatkniętym na piersiach krzyżem żelaznym. „Cesarz żyje, cesarz żyje” — zawołał, powiewając w powietrzu depeszą. Za ledwie zdążyliśmy objąć i zrozumieć zdumiewającą tę nowinę, a już trzymał niezwykle posel swój wytarty kapelusz w zgrubiałych od pracy dłoniach, intonując. „Ojciec nasz, któryś jest w niebie”, — wszystkie czapki zerwane zostały z głów, ręce złożyły się do kornej modlitwy — „chroń naszego cesarza!”

Ojciec mój był w owe dni wzburzony do najwyższego stopnia; w środku rozmowy zrywał się, mrużąc przez zaciśnięte zęby: „Powywieszaćby tych łotrów — rzędem, jeden obok drugiego”. Chcąc opanować niezwykle wzruszenie, zamknęłam się w moim pokoju, próbując ująć wrażenia swoje w słowa. Wypowiedziałam je prozą i wierszem i pewnego rana położyłam ojcu wszystko, co napisałam, na biurku. Radość jego była tak wielka, że kazał skopiować te utwory moje w kilku egzemplarzach, aby dać je przyjaciółom i znajomym; mój nauczyciel, widocznie zachwycony, rozpowszechniał je również. Ludzie przyjmują zawsze życzliwie tych, którzy dają wyraz uczuciom, opanowującym ogół w sposób gorączkowo spotęgowany. Tem się też dzieje, że nieraz utwory, pozbawione istotnej wartości artystycznej, nabierają w burzliwych momentach szczególnego znaczenia, i za-

pewnie dzięki tej właśnie okoliczności rozstawiły mnie wiersze moje po za ciasne koło naszych przyjaciół. Już i przed tem traktowano mnie inaczej, aniżeli zazwyczaj trzynastoletnie panienki, wyglądałam na dorosłą, byłam przystojna, a przedewszystkiem byłam córką mojego ojca. Cóż więc dziwnego, że teraz otoczono mnie cieplarnianą atmosferą pochlebstw, w której próżność i pewność siebie rozwijały się z szybkością roślin zwrotnikowych. Na lekcjach tańca, w których brałam udział, przyjmowałam od tancerzy moich, uczniów gimnazjalnych, hołdy, które nietyłe zawdzięczałam świeżej mojej urodzie, ile literackim moim utworom, — jak się później dowiedziałam, szerzonym w szkole przez mojego nauczyciela, odczytującego uczniom moje wypracowania. Na zebraniach towarzyskich, zarówno u nas w domu jak w Winiarach, dobijali się młodzi oficerowie o towarzystwo interesującego „podlotka”, a przyjaciółka moja — blada kuzynka Matylda — przejęta była uczuciem podziwu dla mnie.

Matka moja była jedyną osobą, która mogłaby wpływać na mnie otrzeźwiająco. Że jednak metoda jej postępowania polegała na oblewaniu zimną wodą sarkastycznej krytyki najczystszych nawet płomieni mojego zapалу, osiągała ona rezultaty wprost przeciwne zamierzonym i coraz bardziej mnie od siebie oddalała. Tem tylko wytłómaczyć sobie mogę, że mogła ona przećhodzić obok mnie, nic zupełnie nie podejrzewając, wówczas kiedy najcięższe psychiczne i duchowe walki zupełnie zagrażały mi rozbiciem.

Od czasu mojej choroby doświadczałam różnego rodzaju dolegliwości, wzmagających się z roku na rok. Już w Grainau trapiły mnie uderzenia krwi, rozsadzające



mi wprost głowę i przyprawiające mnie o szalone bicie serca. Instynktownie chroniłam się wówczas na góry, albo też zanurzałam ciało o świcie w lodowe wody jeziora. W Poznaniu natomiast zawsze prawie byłam w domu; krótkie przechadzki i rzadko tylko, w dni bezwietrzne — z powodu wrażliwego gardła mojego — dostępna mi ślizgawka nie mogły oczywiście wystarczyć; na gimnastykę nie pozwalano mi, ponieważ rozszerza ona — jak twierdziła mama — ręce; zaś lekcję tańców z pićm wina, od którego nie mogłam się nigdy wymówić, pogarszały tylko zły stan mojego zdrowia. Jakaś ponura gorączka opanowywała mnie coraz silniej; wieczorem, kiedy kładłam się spać, oblewały ciało moje fale płomienne. Dawne tryumfalne hymny na cześć wolności ustąpiły miejsca pieśniom miłosnym, które ze wstydu i strachu chowałam do najgłębszych skrytek mojego biurka. Przedmiotem ich była zrazu postać wyśniona, zbawca Lohengrin, ten sam, co we wczesnym moim dziecięctwie, wkrótce jednak zajęli jego miejsce ludzie z krwi i kości. Nie szukałam ich wszakże w gronie moich tancerzy, lecz wśród znajomych moich rodziców. Miernikiem jedynym przy wyborze była dla mnie piękność wyobraźnia moja hojnie darzyła wybranych wszystkimi innymi przymiotami: wybitną umysłowością, dobrocią serca i szlachetnością rodu. W snach moich na jawie przeżywałam całe przygody miłosne, przechodząc przez wszystkie w nich stadya namiętności: pożegnanie i ponowne spotkanie, zazdrość i niewierność, posiadanie i utrata... Rozgorączkowana moja fantazyza kierowała rozpalonemi dłońmi, zapelniającemi całe stopy papieru obrazami wyśnionego szczęścia i cierpienia.

Zarazem jednak oddawałam muzę moją na usługi

koła rodzinnego, opiewając w gładkich rymach nastroje rozmaitych uroczystości rodzinnych, co oczywiście zjednywało „miłemu mojemu talencikowi” ogólne uznanie. Jediną osobą, którą wtajemniczałam od czasu do czasu w sekretną zawartość mojego biurka, była Matylda, blada kuzyneczka, odwiedzająca nas co niedzielę. Do niej biegłam, gdy serce moje zbyt było przepelnione. Kiedy poznałam ją, była jeszcze dzieckiem zarówno wiekiem, jak umysłowym i fizycznym swoim rozwojem; nie byłabym też na nią zwróciła uwagi, gdybym nie spotkała jej w chwili, kiedy szczególnie odczuwałam brak powiernicy, niby ów śnieg na górach, który z wiosną musi znaleźć sobie łożysko, którędy odpłynąć mógłby jego nadmiar. To jedynie uczucie było nam łącznikiem. O szarej godzinie lub wieczorem, kiedy leżałam w łóżku, osnuta zwojami muślinu, oblana światłem czerwonej lampy nocnej, musiała ona siadywać obok mnie i wysłuchiwać opowieści o moich tęsknotach miłosnych. Wszystko, co przeżyłam w marzeniach na jawie, przybierało w tych opowiadaniach kształty realne, Wierzyła we wszystko, co mówiłam, płakała i wzdychała wraz ze mną, a im szczerzej to czyniła, tem bardziej zacierały się dla mnie samej granice wyobraźni i życia, tem głębiej zapuszczałam się na błędne ścieżki moich majaków.

W tym samym właśnie czasie przyjęła matka moja nową garderobianę, która, w przeciwieństwie do poprzedniczki, miała ubierać i czesać i mnie także. Była to ładna blondynka o niewinnej twarzyczce madonny, córka zacnej wdowy po skromnym urzędniczynie, utrzymującej się z wynajmowania pokojów i wychowującej dzieci swoje w zasadach surowej moralności i pobożno-

ści. Z tych właśnie powodów polecono ją mojej matce. Anna — tak nazywała się młoda dziewczyna — szczególnie przyłgnęła do mnie, codziennie powtarzając mi zachwyty nad moją urodą, przyczem nie pomijała bez wyróżnienia żadnego szczegółu mojej powierzchowności, dając mi zarazem wskazówki, w jaki sposób najkorzystniej ją wystawiać na pokaz.

Byłam próżna, nie byłoby mi jednak nigdy wpadło na myśl kłaść nacisk na dobrze obciskający kibić gorset, wąskie buciki lub cieniutkie pończochy. Rychło jednak stałam się posłuszną uczennicą Anny, i serdecznie też się cieszyłam, gdy nie ustawała w zapewnianiu mnie, że zdobywać będę szturmem wszystkie serca. Stopniowo wprowadzała zwyczaj zostawania przy mnie, gdy nie mogłam spać, a rodziców nie było w domu. Równie zwinnymi jak jej paluszki, umiejące z pozornie niczego sfabrykować jakiś estetyczny, zręczny szczegół toaletowy, były usta jej, niezmordowane w opowiadaniu. Istniał jednak dla niej jeden tylko temat: historye miłosne, wyczytane lub zasłyszane. Z nietykalnych wyżyn własnej jej cnoty było oburzenie jej na to, o czem opowiadała, zupełnie szczere, mimo to jednak czuć było, że lubuje się z trudną do ukrycia namiętnością w malowanych przez siebie obrazach. W ten sposób zdzierała ona jedną po drugiej zasłony z rzeczy, które, mimo rozległej mojej zabronionej lektury, pozostały dla mnie ukrytymi. Już jako dziecko obserwowała przez dziurkę od klucza lokatorów swojej matki, widywała wchodzące do nich i wychodzące rozmaitego rodzaju damy. Ona sama — opowiadała to z dumą — nie uległa nigdy sztuce uwodzicielskiej tych panów, nie była tak głupia, jak wszystkie owe młode dziewczęta, przychodzące do ich po-

kojów. Pomagała tylko przy podawaniu wszelkich smakołyków: kawioru, szampana i ostryg, ciekawie obserwowała, jak alkohol i miłość upajały niedoświadczone gąski. Dobrze wypadło im potem odpokutowywać swoją lekkomyślność, przy pierwszej bowiem oznace ciąży pozostawiali je panowie na koszu. Cięża! dziecko!— Jeszcze teraz pamiętam, jakie nieopisane uczucie grozy tajemniczej paraliżowało mi członki, gdy, jako 13-letnie dziewczątko, po raz pierwszy zasłyszałam o tem wszystkim z ust Anny. — Dziecko! — Przestałam już oddawna wierzyć w bociany, ale zarówno jak miłość wyobrażałam sobie zawsze w promieniach glori nadziemskiej, podobnie też i tajemnica poczynającego się w miłości życia otoczona była dla mnie aureolą mistyczną.

Jakże wyśmiała mnie Anna donośnym piskliwym chichotem, gdy, zawstydzona, wyznałam jej moją nieświadomość! A jak mistrzowsko uświadamiała mnie ta „niewinna” dziewczyna z dziecięco pytającymi niebieskimi oczyma! — Tak była zagłębiona we wszystkie szczegóły opisu, że nie zauważyła wcale dreszczu grozy, który mną wstrząsał i ukrytego łkania, które rozdarło pierś moją; wesół chichot, towarzyszący jej opowiadaniom, zdradzał upodobanie w temacie, tak że widok zauważonej wreszcie rozpaczki mojej w nieopisane wprowadził ją zdumienie. Stała też zupełnie bezradnie, kiwając ubolewająco głową. „A może—pomyśleć musiała—,boi się ona już teraz rodzenia, którego męki jej opisałam?” Bowiem z większą jeszcze gadatliwością opowiadać zaczęła o rozsądnych i przezornych, które umiały się ustrzedz przed podobnymi konsekwencyami, a także o dziewczętach ulicznych, nienarażonych wcale na to

niebezpieczeństwo i dlatego najwięcej pożądanych przez mężczyzn.

Przestałam płakać i nadśluchiwałam. O, mała dobrze była poinformowana! Zbyt często używano jej do posług pośredniczki, aby nie miała poznać zawczasu najskrytszych tajników życia i obyczajów całego i półświata. Niemało wśród nich było eleganckich pań w aksamitach i jedwabiach, sprzedających drogo swoje wdzięki. „Sprzedających?” — Walczyłam prawie z wzbuchem płaczu. „Płacić za miłość?” Anna zachichotała: „Miłość!” — i znów zagłębiła się w szczegóły: „Fe, fe, ohyda!” — zawołałam nareszcie, cisnąc dłonie do czoła, zdawało mi się, że mury wałę się wprost na mnie. Nawpóźnieprzytomna zerwałam się z łóżka i tak mocno zaciśniętą pięścią uderzyłam dziewczynę, że ta z rykiem spadła z krzesła.

Nazajutrz wypytywała się matka moja ze współczuciem o spuchnięty policzek Anny. Milczałam, gdy zapytana tłómaczyła się bólem zębów. Nie mogłabym wykrztusić ze siebie ani słowa o tem, co zaszło. Chodziłam spowita szczerlnie w gorejący płaszcz wstydu. Odmalowane obrazy prześladowały mnie nieodstępnie, wywołując nieustanny spazm obrzydzenia w krtań. A więc to — to miało być miłością, o której marzyłam, którą sławili poeci jako coś najszczytniejszego i najpiękniejszego! Nie chciałam o tem więcej myśleć, —nie chciałam. Potem wszakże nowe powstawały pytania i wątpliwości, dawne ideały czepiały się rozpaczliwie rąbka nadziei. Do kogóż miałam udać się, jak nie do Anny, wobec której najłatwiej było mi przemódz wstyd? „Tylko najgorsi, najpospolitsi mężczyźni, tylko zbrodniarze, są tacy?” Jakim-że wybawieniem by-

łaby odpowiedź twierdząca. Ale Anna podkreśliła, i umocniła swoje „nie” powtórzeniem go dwu i trzykrotnem. Odtąd tylko w rzadkie bardzo, jasne, wesołe momenty odnosił dawny mój idealizm zwycięstwo, i dawna siła twórcza mojej wyobraźni nowe stwarzała, czyste, świetlane postacie.

Gdy natomiast nocą serce i krew nie dawały mi zaznać spokoju, prześladowały mnie nieodstępnie sny najpotworniejsze. Z rozpaczą walczyłam z nimi, — napróżno jednak, jak gdyby szydząc z mojego oporu, ponawiały się one ze zdwojoną mocą.

We dnie byłam śmiertelnie znużona. Ciemne kręgi ocieniały moje oczy, przeświadczenie o bezdennej mojej zepsuciu czyniło mnie dzikszą i bardziej jeszcze zamkniętą w sobie, niż poprzednio.

Gdy matka dochodziła wieczorem do mojego łóżka i z ciemnym na twarzy rumieńcem mówiła głosem ostrzegającym: „Strzeż się tajnego grzechu”! nie rozumiałam jej wprawdzie, pochylałam jednak głowę w poczuciu winy.

Więcej niż kiedykolwiek pozostawiona byłam samej sobie, tylko przypadek jednak wyjawił mi, z jakiego działo się to powodu. Zaciekawiły mnie już tajemne dokoła mnie szepty, wymowne uśmiechy, stopy białych płócien, krajanych i szytych i starannie przedemną chowanych. Dziwnem mi się też bardzo wydawało, że mama często bywała cierpiąca, możliwie jednak wykręcała się od odpowiedzi i cała pąsowiała, gdy tak ją przypierałam do muru, że musiała odpowiadać. Wreszcie ustęp z listu babki, nieostrożnie danego mi do przeczytania, wyjaśnił mi całą tajemnicę: Mama była przy nadziei. „Przy nadziei...” — Komicznem nie-

mal wydawało mi się to wyrażenie, ilekroć ją obserwowałam. Jej ściągnięte brwi, jej zaciśnięte, zaledwie rozchylające się do bladego uśmiechu wargi, jej narzekania i wzdychanie nie miały nic wspólnego z pełnym radosnego wyczekiwania uczuciem, jakie pojmujemy zazwyczaj pod mianem nadziei. Zdawało się raczej, że wstydzi się jej, tak starannie ukrywała swój stan. Mając w pamięci wyjaśnienie Anny, czerwieniłam się i ja, gdy myślałam o tem w obecności rodziców.

Nigdy nie mówili oni o mającym nastąpić fakcie; dopiero kiedy siostrzyczka moja była już na świecie, oznajmił mi ojciec nowinę.

Wzruszająca jego radość udzieliła mi się, chwilami też myśl o niezaradnem maleństwie w kołysce napełniała mnie błogiem uczuciem wybawienia: miałam tutaj przed sobą cel, który mógł oderwać mnie od własnych moich myśli. Gdy trzymałam słodkie maleństwo na rękach, zachodziły mi łzą oczy ze wzruszenia, przysięgałam też sobie, że ochronię ją od męki, którą sama przecierpiałam. Niestety, mamka Polka, namiętna istota, przywiązana do maleństwa całą siłą zazdrosnego, pełnego lęku uczucia, traktująca karmione własną piersią dziecię, jak swoje rodzone, czyniła, co mogła, aby mnie od siostrzyczki mojej oddalić; matka moja zdawała się również niechętnie patrzeć na obecność moją w pokoju dziecinnym, tak więc znów skazana byłam na samotność zewnętrzną i duchową.

Pewnego dnia, gdy spóźniona, jak zwykle — zasypiałam dobrze i spokojnie dopiero nad ranem — przyszłam na śniadanie, zdradziło mi pierwsze spojrzenie na rodziców, że zaszła pomiędzy nimi gwałtowna jakaś utarczka. Nie było to zresztą dla mnie no-

wością, bowiem w ostatnich czasach miewała matka często zapłakane oczy, a ojciec wybuchał mocniej niż zazwyczaj przy lada drobnostce, — po sposobie jednak powitania mnie odgadłam, że to ja właśnie musiałam być przyczyną tej sprzeczki.

„Masz, czytaj!” — zawołał ojciec, podając mi duży list, opatrzony podpisem kapelana pułkowego, a zarazem pastora naszej gminy. Brzmiał on, jak następuje:

*Poznań, 6 stycznia 1879 r.*

Szanowny Panie Pukowniku!

Nie weźmie mi Szanowny Pan chyba za złe, że jako pasterz dusz gminy tutejszej, któremu ciąży na sercu sprawa wiecznego zbawienia wszystkich jej członków, zwracam się do pana z listem niniejszym w interesie Jego córki.

Zauważyłem już sam od dłuższego czasu, a także wywnioskować mogłem z wieści, dochodzących mnie od osób wiarogodnych i życzliwych, na jak poważne wystawiona jest córka Pańska niebezpieczeństwo. Dziecko to, sprowadzone może na manowce wskutek wybitnego swojego duchowego uposażenia, utraciło wiele ze zdobiącej każdą rodzinę chrześcijańską, dziewiczej skromności i pokory, wpadłszy w szpony szatana zarozumiałości i pychy.

Nie byłbym mimo to powążył się wtrącać do postanowień Szanownego Pana i czcigodnej Jego Małżonki, gdyby nie była mnie doszła ostatnio wieść, o której prawdziwości nie mogę wątpić. Według wieści tej miała córka Pańska oznajmić pewnemu niezeppure-



temu jeszcze młodzieńcowi, że nie widzi powodu do specjalnego wielbienia śmierci ofiarnej Zbawiciela; każdy człowiek chętnie gotów byłby śmierć ponieść, gdyby wiedział, że może okupić nią zbawienie ludzkości. Ze strony Syna Bożego, pewnego wiecznego Swojego zbawienia, nie jest to zatem czynem, szczególnie zasługującym na uwielbienie. Dodała jeszcze, że niezliczone mnóstwo ludzi z dużo drobniejszych pobudek dobrowolnie na śmierć poszło.

Udało mi się z łaską i pomocą Najwyższego za co chwiała Mu i dzięki—nawrócić na drogę wiary młodego, zachwianego przez córkę Pańską w uczuciach swoich religijnych, człowieka; poczytuję sobie wszakże za obowiązek najusilniej prosić Pana, abyś Pan zechciał powierzyć zbłąkaną duszę Swojego dziecka wpływowi kapłana—zdolnego do oświecenia jej światłem prawdziwego słowa Bożego i uwolnienia jej od wszystkich, wysysających z niej ciepło wiary, pasożytów.

Będę się uważał za szczęśliwego, jeśli danem mi będzie przy osobistem porozumieniu poprzeć rady moje czynem.

Zechciej Szanowny Pan przyjąć, czcigodny Panie pułkowniku, zapewnienie najgłębszego szacunku, z jakim pozostaję

Oddany sługa

Pastor *Eberhard*.

„No, i cóż ty na to? — zapytał ojciec, bębniąc co raz niecierpliwiej palcami po stole, na którym dźwięczały kieliszki i filiżanki.

„Nikczemne!” krzyknęłam oburzona.

„Zupełnie tak samo i ja to określiłem!” — za-

wtórował mi ojciec. „Piękny niezepsuty młodzieniec, podchodzący moją córkę pobożnym przewracaniem oczu, aby ją potem osmarować przed pastorem. Miałbym ochotę przetrzepać porządnie tego jegomościa!”

„Powiniенbyś jednak wysłuchać naprzód, ile jest w tem winy Alicyi” — wtrąciła mama zirytowanym głosem.

„Powiedziałam rzeczywiście to, co kapelan pisze i jestem gotowa powtórzyć mu to bezpośrednio!” — zawołałam, potrząsając wyzywająco głową.

Mama zacisnęła wargi, co nadało pięknej jej twarzy wyraz okrucieństwa. „Masz” — syknęła — „oto piękne owoce bezreligijnego wychowania. Chciałeś tego, a ja ustąpić musiałam dla świętego spokoju. Ale teraz mam dość, najzupełniej dość. Ja sama odpowiem pastorowi. ”

Mówiąc to, wyszła z pokoju. Ojciec zerwał się rozwścieczony. Złęklam się okropnie: byleby nie nowa jakaś scena. W tej samej chwili przyszły mi na myśl wszystkie grzechy, do których się poczuwałam.

Zastąpiłam ojcu drogę. „Nie gniewaj się, ojczulku, nie gniewaj!” — prosiłam pieszczotliwie, „może to będzie naprawdę najlepiej, jeśli zacznę brać lekcye religii. Skończę wkrótce czternaście lat. Czas więc najwyższy.” Ojciec mój, z którym wszystko zrobić można było łagodnością i pieszczotą, uściskał mnie serdecznie, gdy na poparcie prośby mojej, przytuliłam usta do jego dłoni. „Ale tego smarkacza, tego głupiego plotkarza” — próbował jeszcze gniewać się — „ukarzę okazaniem mu pogardy.”

Matka wróciła do pokoju. „Oto masz odpowiedź” — rzekła:

„Czcigodny Panie Pastorze! Uprzedzi Pan nasze życzenia. Szybki rozwój córki naszej wcześniejszego wymaga konfirmowania jej, aniżeli jest to powszechnie w zwyczaju. Ustaliliśmy datę konfirmacyi na rok przyszedł, prosimy więc Pana, aby nam zechciał zakomunikować, kiedy rozpoczynają się lekcye przygotowawcze, do których chcemy powierzyć Alicyę Pańskiej opiece. Co się tyczy plotek, rozsiewanych przez owego młodzieńca, nie będziemy ich roztrząsali, nie odpowiada to bowiem rodzicielskim naszym uczuciom”...

„Bronię w ten sposób naszej dobrej sławy, a nie ciebie” — dodała, zwracając się do mnie.

Wkrótce potem rozpoczęły się lekcye. Zadowolona, pełna nowych jasnych nadziei wróciłam z pierwszego wykładu do domu.

„Drzwi. mojego domu i serce moje otwarte są dla dla was w każdym czasie”, — oznajmił nam paśtor, „możecie przychodzić do mnie ze wszystkimi waszemi strapieniami i wątpliwościami. Starać się będę rozumieć was, aby wam dopomódz”.

Pogodne, dziecięce twarzyczki moich współtowarzyszek, — córek oficerów, jak ja, uczących się naturalnie oddzielnie od reszty uczniów i uczennic z gminu — zamykały mi mimowoli usta podczas wspólnych naszych lekcyi.

Tem częściej pragnęłam bywać u niego sama. Po raz pierwszy weszłam do domu pastora z biciem serca. Pod osłoną mglistych aluzyi, które zrozumieć mógłby chyba tylko wytrawny i pobłażliwy fizjolog, powiedziałam mu o złych myślach i potwornych widziadłach, jakie nadaremnie usiłowałam od siebie odpędzić. Jedyną na razie odpowiedzią jego było zdumione potrzą-

sanie głową z akompaniamentem pomruku: „hm, hm!” i „tak, tak!” Widocznie zmieszany, zacierając nerwowo ręce, biegać zaczął po pokoju, zatrzymując się raz wraz, to przed figusem, stojącym pod oknem, to przed zawieszonym nad biurkiem obrazem Zbawiciela, lub zbiorem fotografii na szafce do książek, które zdawał się uważnie oglądać, aż wreszcie, jak gdyby pod wpływem naglej, rozjaśniającej mu mroki niepewne, myśli, zwrócił się do mnie ponownie, wyciągnąwszy po przez stół obie mięsiste, miękkie dłonie, które na dotyk zdawały się być zupełnie pozbawione kości. Uczucie fizycznego wstępu odtrąciło mnie od niego. „O, moje dziecko”, — rzekł wyzywająco — „należy ufać swojemu lekarzowi duszy! Jak ja ujmuję w tej chwili dłoń twoją” — okrągłe jego palce zacisnęły się dokoła moich niby obnażone, śliskie ślimaki — „tak Bóg ujmie wyciągnięte do niego błagalnie dłonie twej duszy i podniesie cię z pyłu ziemi! Wystawiona jesteś na podszepty złego ducha. Im bardziej umocni się twoja wiara, im goręcej nauczysz się modlić, tem pewniej potrafisz im się opierać.” — Wysunęłam lekko dłonie z jego ręki i pod stołem wytarłam je pospiesznie o suknię. Zaczął badać mnie, czy, jak często i kiedy się modłę, czy czytuję pilnie biblię i t. p.? Po krótkiej z samą sobą walce, odpowiedziałam mu na wszystkie pytania szczerze i zgodnie z prawdą. Zmarszczył brwi: „To bardzo smutne, to wprost nie do wiary, aby podobna istota wyrosnąć mogła na łonie zacnej chrześcijańskiej rodziny!” — zawołał. Pospieszyłam wziąć rodziców w obronę. „Modlimy się zawsze przed jedzeniem. Mama czytuje codziennie ustęp z Biblii, chodzimy też co niedzielę do kościoła.” „Tem dziwniejsza, że takie mło-

de stworzenie, jak ty, mogło uleść podszeptom złego ducha.” Nowa myśl olśniła go nagle. Spojrzał na mnie badawczo i zapytał: „Co właściwie czytujesz?” Zadrżałam. Miałam więc odsłonić przed nim tajemnicę najmilszych moich godzin?! Westchnęłam głęboko, boleśnie. Tak, musi się to stać, musi w imię zbawienia mojej duszy! W owym czasie zaczęłam czytać z biblioteki ojca dzieła Goethe’go, jeden tom po drugim. Zagłębiając się w nich, najbezpieczniej się czułam przed samą sobą: jakże zachwycała mnie Ifigenia, jak obfite łzy roniłam nad losem Faustowskiej Małgorzaty, a „Cierpienia Werthera” kupiłam aby mózż je zawsze nosić przy sobie! Wyciągałam je, niby ksiądz swój brewiarz, ilekroć opadały mnie złe myśli. Najlepszą był dla mnie Goethe obroną przed nimi i ucieczką.

„Ależ to niesłychane, niesłychane!” — przerwał pastor moją spowiedź. „Skoro jednak masz niezłomną, jak się zdaje, wolę poprawienia się,” — dodał tak głośno, jak gdyby miał cały pluton rekrutów przed sobą — „uczynisz, czego muszę od ciebie żądać: nie dotkniesz niegodnych tych książek przez cały czas przygotowywania się do confirmacyi. Będziesz czytała to tylko, co ci sam dam. Przyjdiesz zawsze na kwadrans przed lekcją, aby nie razić niewinnych uszu reszty dzieci. Czy przyobiecujesz mi posłuszeństwo?” Skinęłam w milczeniu głową; palce jego zacisnęły się ponownie dokoła moich na pożegnanie. Wróciłam złamana do domu. Byłam wszakże zdecydowana najmocniej uczynić, czego ode mnie żądał.

Nazajutrz wybuchła w domu naszym straszliwa scena: pastor Eberhard zdał rodzicom moim sprawę z moich odwiedzin, żądając od nich, aby poparli tru-

dną jego pracę ratunkową”. Widziałam, że gniew ojca skierowany był bardziej przeciwko pastorowi, aniżeli przeciwko mnie, jak zwykle jednak wobec energicznego wystąpienia matki cofnął się z pola walki, dając mi tylko serdecznym uściskiem ręki do poznania, jak bardzo mnie żałuje. Przetrząsnięto wszystkie moje szuflady, skonfiskowano wszystkie książki, nie dające się podciągnąć pod miano podręczników i literatury dla podlotków; bibliotekę rodziców zamknięto na klucz, niewykryto jedynie skarbów moich, zakopanych w sofie. Wzburzenie moje było nieopisane: pierwszy człowiek, do którego zwróciłam się w poszukiwaniu ratunku, przed którym odsłoniłam szczerze tajniki mojej duszy, jak przed nikim dotychczas, tak mało mi ufał, że kazał mnie strzedz jak zbrodniarza. Z nauczycielem moim miała matka również dnia tego dłuższą rozmowę, po której wyszedł do mnie bardzo czerwony i zmieszany. Odtąd nikał staranniej jeszcze, niż dotychczas, potrącania o kwestye religijne. Był wogóle coraz nieśmielszy wobec mnie i dziwnie roztargniony.

Pierwsze to doświadczenie z pastorem pozostawiło we mnie uczucie nieprzezwyjęzonej goryczy; wiara moja w ludzi podkopana została z gruntu, nie przestałam jednak mimo to wierzyć, że to, czego mnie nauczać będzie, da mi wybawienie. Żyłam tą nadzieją, czepiając się jej rozpaczliwie. Czytałam książki, polecane mi przez niego, studjowałam biblię, oskarżałam się przed sobą samą, ilekroć zdarzało mi się nie utrzymać w nastroju modlitewnym lub dawać posłuch wątpliwościom, budzącym się we mnie wobec wyraźnych sprzeczności i nieprawdopodobieństw.

Uwagi moje i niepewności wypowiadałam glo-

śno, tem więcej, że wyraźnie nas do tego zachęcano. Czekałam z utęsknieniem wyjaśnień i nieodpartych kontrargumentów. Pastor wpadał w coraz większe roz-targnienie z chwilą, gdy otwierałam usta, a współtowa-rzyski moje wytrzeszczały na mnie oczy i potraçały się z chichotem łokciami przy kaźdem zadanem prze-ze mnie pytaniu. W końcu zabroniono mi raz naza-wsze głośnego wyjawiania moich myśli w ich obecno-ści; z początku korzystałam w tym celu z wyznaczo-nego mi przez pastora kwadransa przed lekcją, że je-dnak nasz przewodnik duchowy spuźniał się coraz czę-ściej, zaczęłam przychodzić do niego po za godzinami lekcji, ilekroć niepewności moje dręczyły mnie w spo-sób niepokojący.

Pastor stawał się z dnia na dzień niecierpliwszym, wyrzucał mi coraz gwałtowniej moją „duchową pychę”, ośmielającą mnie do porywania się „mimo niedostateczność środków ludzkiego rozumu na przenikanie bo-skich tajemnic.“ Na wszystkie moje: „dlaczego?” brzmia-ła niezmiennie odpowiedź jego: „nie wolno tego roz-trząsać krytycznie, jedynie bowiem ślepa wiara zdol-na jest przenosić góry i zbawiać dusze, gdy zaś nie bę-dziemy ufni jak dzieci, nie będzie nam danem oglą-dać królestwo niebieskie”.

Gdyby tak było istotnie — wnioskowałam — mu-siałyby być dążenia duchowe, popęd do badania, ca-ła nauka wreszcie — dziełem szatana.

Widząc ostatecznie, że wszystkie nasze rozmowy nie prowadzą do celu, zaniechałam ich. W odczuciu potrzeby wypowiedzenia się zrobiłam kuzynkę moją, którą zdołałam niejednokrotnie wyprowadzić już z ró-

wnowagi zwierzaniem się jej z moich tajemnic miłosnych, powiernicą walk moich religijnych.

Monologowałam przed nią godzinami i tak zajęta byłam własnymi myślami, że zupełnie nie zauważyłam, jak bardzo cierpiała biedaczka wskutek moich wynurzeń: była ona jak kwiat, więdnący w pączku, gdy zawcześnie pozbawia się go bezpiecznej ochrony cieploty i chłodu.

Od czasu do czasu wypytywał się ojciec o moje lekcye.

On, myślący subtelniej i bardziej po ludzku niż inni i kochający mnie bardziej niż ktokolwiek, mógłby być może dopomóc, mi gdyby nie była rozdzieliła nas w owym czasie głęboka duchowa obcość.

Gwałtowność jego, mniej co prawda, ujawniająca się w stosunku do mnie, aniżeli do służby i podwładnych, nie pozwalała na zawiązanie pomiędzy nami prawdziwej bliskości: każde głośniejsze słowo wprawiało mnie w drzenie nerwowe. Nadto stopniowe moje uświadamianie sobie złego materialnego naszego położenia, za którego jedyne winowajcę uważałam ojca, czyniło mnie szorstką dla niego i nieprzystępną. Widziałam, jak często matka moja płakała przy otrzymywaniu niespodziewanych rachunków, czytałam między wierszami dawanych mi czasem listów babki, jak bardzo ciążyły całej rodzinie troski pieniężne. Zaczęłam pojmować, dlaczego mama nie cieszyła się z podarunków ojca, co dawniej wydawało mi się z jej strony zupełnym brakiem serca. Zdarzało się, iż i ja zaczynałam ją w tem naśladować, jedno wszakże spojrzenie na smutną twarz ojca, na jego drgające rozczarowaniem kąty ust, powracało mi właściwą wiekowi mojemu radość na widok pięknych rzeczy. Współ-



czucie nie jest jednak środkiem do wzbudzenia ufności, zwłaszcza u dziecka i kobiety, bowiem wznosi nas ono po nad człowieka, który je wzbudza; dziecko tak samo jak kobieta muszą czuć konieczność wznoszenia się ku człowiekowi, którego mają obdarzyć pełnem swoim zaufaniem. Tym więc sposobem osamotnioną pozostałam w tej najcięższej walce mojego życia. Nikt mi w niej nie dopomógł, nawet Stwórca, mimo że tylokrotnie i z taką rozpaczą wzywałam Jego pomocy.

W tym samym mniej więcej czasie opowiedziała mi angielfka moja o Shelleyu, wydalonym ze szkoły w szesnastym roku życia za kacerskie poglądy, a potem zmuszonym do opuszczenia z tego samego powodu Anglii i wreszcie kończącym, jako zaledwie trzydziestoletni mężczyzna, życie swoje w nurtach Adryatyku. Los jego przejął mnie do głębi. Poświęcić dla przekonania swoich stanowisko, dobrobyt, rodzinę i ojczyznę, wydawało mi się zawsze czynem najszczytniejszym,

Z zapewnieniem, że nie rozumiem jeszcze dzieł Shelleya, dała mi je na gorące prośby moje jasnowiąsa miss, będąca dla mnie dotąd jedynie uosobieniem regul gramatycznych.

Pierwszą rzeczą, która wpadła w moje ręce, była „Królowa Mab”. Przeczytałam ją dwukrotnie w ciągu jednej nocy. Zdawało mi się, że to ja sama jestem owym Janthe, duchem, przed którym królowa wróżek odsłoniła przepiękny czar wszechświata, grozę przeszłości, nędzę teraźniejszości i zamglony obraz przyszłości ziemi. Widziałam bogaczy. tonących w rozkoszy; biedaków, głodzących się; trupy na pobojowiskach, poległe w imię zaborczych i łupieżczych instynktów swoich władców; widziałam wreszcie ludzi, mor-

dujących się i zjadających wzajem, niby dzikie zwierzęta w imię bogów swoich! A potem przebrzmiały w oddali odgłosy wszystkich katuszy, płacz opuszczonych, jęki zgłodniałych, krzyki rozpaczy i rzęzenie śmierci. Oczom moim okazała się rzeczywistość nieba, błogosławiona ziemia, świat przyszłości, w którym nikt nadaremnie nie będzie wzywał o chleb, nikt nie zginie z głodu wiedzy, w którym ludzkość wyzwoli się sama z piekielnych czeluści ziemskiego potępienia. „Spirit, behold thy glorious destiny!” — czy to nie do mnie zwracała się królowa Mab w te słowa? Czy nie mnie miała na myśli, ostrzegając, abym się nie lekkała, abym walczyła z fałszem, żądzą panowania i nędzą, abym po przez dzikie obszary przerznęła sobie drogę do świata, który przyjść musi!

Kipiący żądzą życia, rozsloneczniony promieniami nadziei, idealizm Shelleya, jego ufność we własną siłę ludzi, płomienne jego wezwanie do potęgi woli, były dla mnie wprost objawieniem.

Podczas długich, przewalczonych z sobą samą, nocy usiłowałam wyjaśnić sobie drogę, którą przejść miałam i zwolna, cegła po cegle, budować zaczęłam świątynię własnych wierzeń. Gdy wreszcie ujrzałam gmach mój wykończonym, opanowało mnie gorące uczucie szczęścia na myśl, że odtąd niezłomnie trwać przy nim będę i za wszelką cenę bronić jego nietykalności.

Okolo Bożego Narodzenia 1879 r. odwiedziłam pastora Eberharda, aby go uprzedzić, że nie przystąpię do konfirmacyi i aby złożyć mu piśmienne wyznanie wiary, do napisania którego zobowiązane były wszystkie konfirmantki.

Zrazu oniemiał mój przewodnik duchowny z o-

burzenia. Po przeczytaniu wszakże tego, co napisałam, i co niejedną odszczepieńczyą zawierać musiało myśl, wybuchł gniew jego z niehamowaną wściekłością. Tracąc resztki panowania nad sobą, obrzucił mnie obelgami, wymówkami, groźbami, istną kanonadą słów gromowych! Nie poddałam się jednak. Walka pomiędzy nami, o której nie wiedział nikt, trwała tygodnie i miesiące. Nie wiem, czy obawa uznania własnej porażki, czy też względy jakieś dla mnie — powstrzymały go od wtajemniczenia tym razem we wszystko moich rodziców. Postanowiłam uciec z domu w razie, gdyby pastor nie ustąpił mojemu żądaniu uwolnienia mnie od confirmacji.

Celem zebrania potrzebnej mi na to summy posłałam do najrozmaitszych redakcyi — rozumie się bezskutecznie — wiersze moje i artykuły. Gdy wszakże nie udało mi się zdobyć tą drogą pieniędzy, sprzedawać zaczęłam w podejrzanym jakichś sklepikach osobiste moje klejnoty, jeden po drugim. Zamierzałam właśnie wynieść z domu najdroższy z nich, starożytną broszkę brylantową, podarowaną mi kiedyś przez babkę, gdy nagle, przechodząc przez przedpokój, usłyszałam gwałtowną pomiędzy rodzicami sprzeczkę. Stałam mimowoli, nadśluchując: szło znów o niezapłacony rachunek. Matka łkała, ojciec krzychał gniewnie, „Nie widzę potrzeby słuchania twoich wymówek. Nie piję, nie palę, nie gram w karty, nie wdaję się w żadne romanse — czego właściwie chcesz ode mnie?!” „Trzymasz zawsze o dwa konie zadużo w stajni” — odpowiedziała matka szorstko — „a prywatna edukacya Alicyi, pochłaniająca tysiące, też jest zupełnie zbyteczna”. — „Tylko mi dziecka nie tykaj!” — krzy-

knął ojciec w pasy — „nie dam sobie zatruć jedynej radości mojego życia” — —

Każde słowo ich trafiało mnie prosto w serce; a więc to dla mnie ponosili tak wielkie ofiary, dla mnie, sprowadzającej na ich głowy największe nieszczęście! — to ja, gotowa złamać serce ojca, byłam jedyną jego radością! — Uciekłam, sprzedałam broszkę i czemprędzej, bez tchu niemal, przybiegłam do domu, gnana jedyną myślą ulżenia biednym moim rodzicom. Siedzieli, pogodzeni już, przy stole i spojrzeli ze zdumieniem na mnie, wciskając matce kilka złotych monet do ręki. „Co to znaczy? — „Skąd masz te pieniądze?!” — wykrzyknęli równocześnie. Oniemiałam. W zapale zapomniałam zupełnie o możliwości podobnego pytania. Czy miałam wyjawić prawdę? Musiałabym w takim razie zdradzić się ze sprzedaży poprzednich klejnotów i z góry już uniemożliwić sobie ucieczkę. Nagle padł wzrok mój na świeżo nadesłany zeszyt miesięcznika literackiego z początkiem nowej powieści w nagłówku: „To — zapłata — za moją powieść” — wyjąkałam z trudnością. Nie pomyślałam, że powiedzeniem tem wikłam się w sieć własnego kłamstwa, na której rozdarcie nie pozwoli już obawa dalszych skutków. Rodzice uwierzyli mi; ojciec uściskał mnie wzruszony, i jakkolwiek przyobiegał mi uwzględnić błagalną moją prośbę zachowania mojego autorstwa w tajemnicy, był jednakże zbyt dumny z talentu córki, aby nie rozpowiedzieć o nim najbliższemu krewnym i przyjaciółom. Wyjaśnienie nie dało długo na siebie czekać.

Jedna z kuzynek ojca, zaprzyjaźniona z właściwą twórczynią powieści, pod której autorstwo się pod-

szywałam, zapytała ojca listownie o pochodzenie niezrozumiałej tej wersyi. Wybuchła straszliwa scena. Gniew i oburzenie ojca nie miały granic. „Moje dobre imię! moje dobre imię!” jęczał nieustannie, biegając jak waryat po pokoju. „Muszę się zastrzelić! Nie przeżyję tej hańby!” — krzyczał, gdy matka nie przestała cicho płakać. Niema, bez ruchu, stałam w środzku pokoju, nie drgnawszy i wówczas nawet, kiedy ojciec, przyskoczywszy do mnie z błyszczącymi, nabiegłymi krwią oczyma, podniósł wysoko do góry zaciśniętą pięść i z całej siły uderzył mnie nią w twarz.

Bez słowa i bez czucia przeleżałam kilka dni w łóżku. Nikt nie troszczył się o mnie i tylko Anna pomogła mi litościwie przy ubraniu się, kiedy oznajmiono mi odwiedzinę pastora. Po chwili wszedł do pokoju ze złożonemi pobożnie rękoma i ciężko strapioną miną, której kłam zadawały złośliwe chochliki tryumfu, migocące w kącikach jego oczu. Usiadłszy obok mnie, długą, najwidoczniej dobrze przygotowaną, rozpoczął mowę, której ani jednym nie przerwałam słówkiem. Okropny fakt zgnieść wreszcie musiał—jak nieplonną nadzieję — pychę moją, pouczając mnie, że niewolno bezkarnie lekceważyć nakazów boskich. Możliwem jest jeszcze dla mnie nawrócenie się na drogę cnoty i pójsie z pokorą za Tym, który jedynie wciela w Boskiej swej osobie całą mądrość, światło i życie. „Po straszliwym tym ciosie, jaki zgotowałaś rodzicom, nie narażisz ich na hańbę twojego cofnięcia się od ołtarza Pańskiego.” Milczałam dalej nieprzerwanie. „Czas, jaki cię dzieli od tego momentu, poświęć na modlitwy, na pełne skruchy rozpamiętywanie twoich grzechów.” A jeśli Bóg Najwyższy nie odtrąci od ciebie rozgrze-

szającej Swojej dłoni, a krew Pana oczyści cię z twoich win, przebaczą ci też i dobrzy twoi rodzice. Z pomocą Bożą powrócę spokój ciężko dotkniętym, powrócę córkę matce i ojcu". Milczałam wciąż jeszcze. „Czy uczynisz, czego żądam od ciebie ja, sługa twojego Stwórcy i Zbawiciela?" Mechaniczne: „tak", było całą na słowa jego odpowiedzią.

Podczas tygodni, dzielących mnie od confirmacji, żyłam jak automat; nie odczuwałam ani skruchy, ani strapienia, wszystkie myśli jak gdyby wymarły we mnie.

Dopiero kiedy przymierzyłam po raz pierwszy białą, długą suknię confirmantki, przeszył kurczowy ból całe moje ciało. Z bladym, zaledwie zarysowanym na ustach, uśmiechem powitałam liczne grono krewnych, przybyłych ze wszystkich stron na uroczysty ten dzień do Poznania; wuja Waltera z Pirgołowa wraz z młodą jego żoną, powracających właśnie z podróży poślubnej, wuja Klewe z Bawaryi oraz ciotkę Klotyldę z Augsburga, przyjmującą z uznaniem i zadowoleniem „podniosły nastrój" siostrzenicy. Gdy jednak w sobotę przed Zielonemi Świątkami, w cudny rozśoneczniony dzień majowy, którym oślepiła schroniłam się do mojego zacienionego pokoju, otworzyły się drzwi, i, jak gdyby spłynęła z szerokim strumieniem światła, ukazała się w ich obramowaniu moja babka, zdało mi się nagle, że pęka żelazny pancerz, opasujący mnie szczelnie, przytłaczający swoim ciężarem i zmuszający do nieruchomie prostego trzymania się. „Babuniu, najdroższa babuniu" — krzyknęłam, przypadając z głośnym płaczem do jej stóp. O, dlaczego nie schroniłam się do niej, dla czego przybywa dopiero teraz, teraz, kiedy już jest zapóźno?! Wstrząśnięta do głębi,

u tuliła mnie w ramionach, pozwalając mi wyplakać się dowoli. W chwilę później nadeszła mama, potem nastąpił wieczór w gronie familijnem, a potem noc...

Bez oporu pozwoliłam się nazajutrz ustroić, wzięłam bukiet białych róż do ręki i wsiadłam z rodzicami do powozu. Na ulicy pełno było ludzi—„jak na pogrzebie” — pomyślałam. Przed kościołem zebrali się ciekawo w jasnych świątecznych strojach. Przez okna lały się potoki słońca, tak że przymknąć musiałam osłepione płazem oczy, kiedy, idąc w pośrodku między ojcem a matką, przechodziłam przez wyłożony pąsowym dywanem biało-kolumnowy krużganek.

Uroczyście biły dzwony, zmieszane z poważnemi akordami organów, nad niemi górowały silne głosy chóru pułkowego. Nie podnosiłam wcale oczu. Wtem doszedł mnie cichy, ledwie dosłyszalny dźwięk bolesny: „Alicyo!” Podniosłam głowę. To był głos mojego nauczyciela, patrzącego na mnie w sposób dziwnie dla mnie zagadkowy. W chwilę później stałam przed ołtarzem, umajonym dokoła zielenią rozłożystych palm i paproci. „Jak na pogrzebie” — pomyślałam raz jeszcze. Nie słyszałam słów pastora; zdało mi się nagle, że rozwarły się przed mną wrota piekielnych czeluści, które czekają tylko na to, aby mnie pochłonać. Bukiet róż wypadł mi z ręki, nauczyciel mój pochylił się, aby go podnieść. Oczy nasze spotkały się w tej chwili; jak dziwnie spoglądał na mnie! Rozejrzałam się dokoła; koleżanki moje mówiły już głośno wyznanie wiary, surowe spojrzenie pastora przypomniało mi mój obowiązek. Jak nakręcony zegar wydzwoniłam, nie zająknąwszy się, wszystkie trzy artykuły, czując przy tem na sobie świdrujący, szydarczy, tryumfujący

wzrok setek oczu. Przez chwile zapanowało głuche milczenie, poczem pastor zwrócił się do każdej z osobna, udzielając błogosławieństwa. Ja byłam ostatnia; zwracając się do mnie, podniósł znacząco głos: „Powiedz: nie! powiedz: nie!” — szepnął mi głos wewnętrzny. Wyłękła, czekająca pomocy, spojrzałam za siebie: wzrok mój padł na serdreczny, wybaczący uśmiech ojca, na lekkie, życzliwe skłonienie głowy przez matkę.

„Jeśli całym sercem wyznajesz najświętszą naszą wiarę, odpowiedz: „tak”.

Gdzieś wśród obecnych osunęła się na ziemię paraskolka, zadźwięczał o kamienne flizy pałasz, ktoś głośno załkał — tysiące oczu utkwilo w mojej twarzy.

„Tak” — rozbrzmiało głośno, chrapliwie po całym kościele. Czy to istotnie był mój własny głos? Automatycznie uklękłam wraz z innymi. Czy tylko tren sukni dobrze się ułożył, myślałam tępo, i coś w rodzaju zaciekawienia, jaki werset obierze dzisiaj pastor, zakielkowało w moim mózgu.

„Nie tem radujcie się, że duchy wam są podwładne, ale tem, że imiona wasze zapisane są w niebie.”

Słowa te uderzyły mnie niby śmignięciem bata. Moje imię zapisane w niebie!! Czy nie krzywoprzysięgłam przed chwilą przed ołtarzem boskim?! — —

— — Otoczono mnie zwartem kołem. Posypały się powinszowania, życzenia, lzy i uściski. W domu czekał na mnie stos podarunków, całe gaje kwitnących roślin; orkiestra wojskowa grała pod oknami, dokoła świetnie przystrojonych stołów zasiedli krewni wraz z śmietanką miejscowego towarzystwa.

Wszystkie mowy i toasty zwracały się do mnie, kielich mój raz po raz pienistym perlił się szampa-



nem Nawpól upojona wróciłam wieczorem do mojego pokoju; pąsowa lampa płonęła nad łóżkiem; dziwnie przytłaczająca była ta cisza po nieustannym gwarze i chaosie całego dnia. Wzrok mój padł na mały pakiecik, przez którego opasanie ze wstążki zatknięte były dwie żółte róże.

Zdziwiona, otworzyłam posyłkę, która nie leżała na stole ze wszystkimi darami. Zawierała ona wążką książkę w niebieskiej oprawie — „Niemiecka miłość” Maksa Müllera, a obok niej list:

Łaskawa pani!

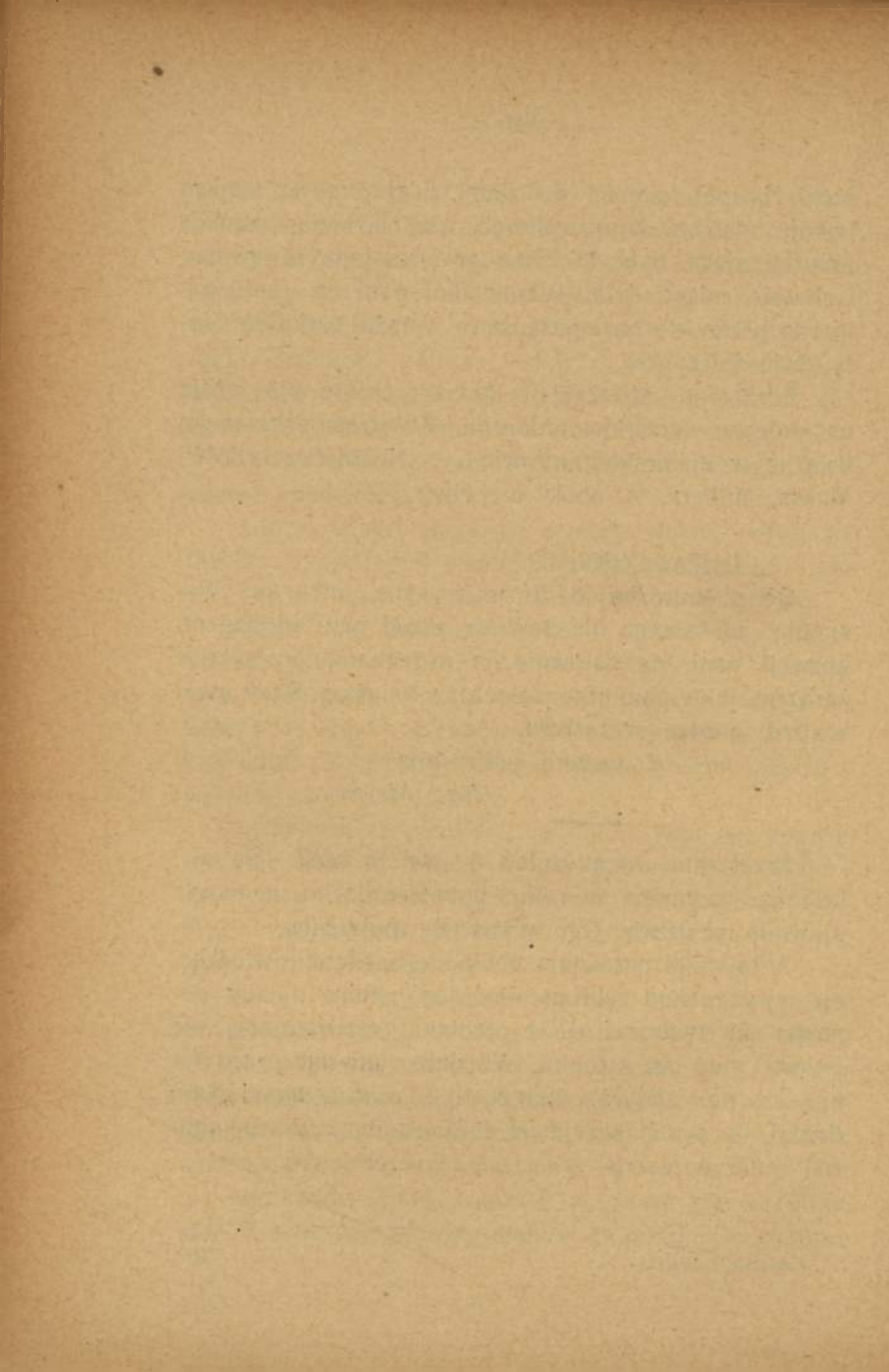
Będąc zmuszonym do opuszczenia jutro już Poznania, do którego nie powrócę przed pani wyjazdem, pozwoli pani, że listownie ją pożegnam, przesyłając zarazem jako pamiątkę załączoną książkę. Bądź pani bardzo, bardzo szczęśliwa.

Z szczerą przyjaźnią

*Hugo Meyer.*

Przetarłam ręką czoło, — czy to sen? Ale nie, książka, trzymana w ręku, potwierdziła to, co nagle ujawniło mi dziwne jego w kościele spojrzenie.

A ja — ja przeszłam obok niego, nic nie wiedząc, nie wyciągnęłam ręki po dłoń jego, która byłaby pomogła mi wydostać się z otchłani, rozwierającej się przede mną bez ratunku. Widziałem ją wciąż przed sobą, czarną, ziejącą, przepastną; krzywoprzysięgłam dzisiaj, — a mój przyjaciel, mój jedyny przyjaciel opuścił mnie nazawsze!



## ROZDZIAŁ PIĄTY.

Lato nie wkracza na wybrzeża Bałtyku powoli, lękliwie, jak nieśmiały konkurent, zdobywający ziemię długą, wytrwałą wiernością; nadejście jego jest za-  
zwyczaj nagle, zwycięskie, niby młodego, tętniącego  
krwią gorącą, bohatera, nie pozostawiającego poprze-  
dnikowi swojemu — porze wiosennej, czasu na ustą-  
pienie z pola. Słońce, wczoraj jeszcze bezskutecznie  
walczące z zimowemi mgłami śnieżnemi, strzela nagle  
gorejącymi promieniami z po nad błękitów nieba, i na-  
gle też budzą się lasy, łąki i pola, spiesząc bez pa-  
mięci oddać się niecierpliwemu kochankowi. Kwiaty,  
których kwitnienie rozdzielone jest gdzieindziej z mą-  
drą przezornością na poszczególne miesiące roku,  
kwitną tutaj wszystkie naraz z rozrzutną hojnością;  
konwalie witają fijołki i żółte kaczęńce; jak wielkie  
świece ofiarne, pstrzą się w krasie barwnych swoich kwia-  
tów wysokie malwy i georginie, a białe, żółte i pąsowe  
róże zwycięsko walczą z niemi o palmę pierwszeństwa

w piękności. Z ostrym zapachem czeremchy łączy się słodka, delikatna woń lipy, upajający czar białych i liljowych bzów i namiętny, gorący wiew jaśminów.

Daleko, daleko, aż do szarobłękitnej toni zatoki Kurońskiej ciągnie się soczysta zieleń łąk i złociste łąny zbóż; gdy wiatr po nich powionie, zdają się one jedną nieprzerwaną płaszczyzną falującego morza, z którego tu i owdzie wylaniają się słomiane strzechy ubogich chałup wiejskich. Lato, nie znoszące widoku nędzy, osłania je pnączami powojów i fasoli, z po za których sennie patrzą w świat przepalone szybki domostw. Cicho tu jak w zamku zaczarowanej księżniczki; od czasu do czasu tylko wpada w tę ciszę żałosne kwilenie porzuconego samotnie niemowlęcia w kołysce. Cokolwiek w stanie jest poruszać nogami i ramionami, wyruszyło w pole, na łąki i nad rzekę z sierpem, motyką, kosą, wiosłem lub siecią rybacką.

Skwarne lato budzi młodych i starych ze śpiączki zimowej, zapędzając ich do corychlejszego zebrania tak szczerze i nagle zesłanych na ziemię skarbów. Jak ożywili się nagle ci ociężali zazwyczaj, zimnokrwieści ludzie: nie chodzą, lecz biegną, — nie uśmiechają się, jeno trzęsą się ze śmiechu, a wiatr nadmorski, stały towarzysz nadbałtyckiego lata, rozwiewa ich słomiano-żółte włosy, sterczące dokoła szerokich czaszek, niby listki kwiatu słonecznika dokoła jego kielicha, rozdyma czerwone kobiece i dziewczęce spódnice, z pod których przy każdym ruchu połyskują obnażone nogi. Stanowią oni jeszcze wszyscy, mężczyźni i kobiety, jedną nierozdzielną z naturą całość: wraz z nią zimową odbywają śpiączkę, a teraz po długim dniu pracy późno w ciepłą noc letnią rozlegają się wesołe dźwięki pieśni i mu-

zyki tanecznej; wszędzie pełno rozgwaru, śmiechu i parnego, gorącego oddechu.

Na sam rozkwit gorącego tego życia letniego trafiło blade, o zamglonym wzroku i zaledwie rozchylającym wargi mdłym uśmiechu dziecię miasta, Przygarnęła je znów ta sama wieżowa komnatka zamku Pirgołowskiego, w której po raz pierwszy ujrzało, przyćmione zielenią rozrosłej tuż pod oknem lipy, światło dzienne, „Tutaj odzyska moja Alisia okrągłość i różaną barwę swoich policzków”, powiedziała babka na powitanie, przyglądając się z niepokojem świeżo przybyłej wnuczce. „I musi zapomnieć o całej swojej uczoności” — dodał wuj Walter ze śmiechem. „A jeść i tańczyć ma aż do zawrotu głowy” — wtrąciła ciotka Emma, żona jego, w której oczach rozpały wesole chochliki migotliwe błyski. Od czasu jak przed pół rokiem wstąpiła w progi tego domu, nie poznawało siebie samego stare zamczysko: ciągle przyjazdy i odjazdy gości, szelest jasnych sukien i gwar wesółych głosów ożywiały puste dotychczas kurytarze; milczące zazwyczaj mury rozbrzmiewały śmiechem i weselem.

Zrana, kiedy na wielkim trawniku puszystym, rozciągniętym od zamku aż do fal nadbrzeżnych, skrzyły się brylantami miryady kropel rosy, schodzili goście z szerokich kamiennych stopni tarasu, aby rozdzielić się grupami po parku i lesie; jedni marzyli cicho w hamakach, innych kusila kąpielą i wiosłowaniem zatoka, której białe grzebienie fal połyskiwały na widnokręgu, spokojniejsi bawili się na wybrzeżu zbieraniem muszel; śmielsi ujeżdżali dzikie wierzchowce i gnali na nich — z chłopcami stajennymi w zawody — przez rowy i płoty. Bezwzględna swoboda obowiązy-

wała wszystkich. Jedynie tylko dźwięk gongu, rozlegający się po zamku, ogrodzie i całym obejściu gospodarskim, gromadził całe towarzystwo w starej dębowej sali jadalnej, dokoła olbrzymiego stołu biesiadnego.

Co wieczór zappełniała się poważna ta komnata, w której przez tak długi czas tylko matka i syn w milczeniu spożywali obiady i wieczerze, pełną żądzę życia młodzieżą, a rokosze kulinarne, umiejętnie przyrządzane przez kucharza — francuza, podnosiły jeszcze wraz z pienistym szampanem, dolewanych nieustannie do szklanek przez starego marszałka dworu wesoly, ożywiony nastrój. Gdy zaś ku końcowi wieczerzy rozlegały się z poza szerokich drzwi rozmarzone, tęskne dźwięki walca „nad błękitnym Dunajem”, robił się odrazu gwałtowny rumor przy nagłem odsuwaniu wszystkich krzesel, i wnet potem sunęła jedna para za drugą po lustrzanej tafli wielkiej sali. Liczne wazki zwierciadła, ujęte w złote listewki i uwieńczone postaciami pyzatyh amorków, odbijały obrazy wirujących w coraz szybszem tempie postaci; w niejednej ze zmętniałych ze starości tafli zdawały się tkwić jeszcze wspomnienia, uroczyście kołyszących się i wijących w figurach menueta, subtelnych par rokokowych. Lekko dźwięczały kryształowe pryzmy wielkiego, zawieszzonego u stropu, pająka, światła świec migotały w takt muzyki, jak gdyby tchnęła ona w nie swoje życie; do późna jeszcze, kiedy parna, pachnąca noc letnia zwabiała tańczących przez szeroko otwarte podwoje do tajemniczo-przepastnych szpalerów ogrodowych, poruszały się one w ruchu wahadłowym. Ogród pełen był gęsto zarosłych alei i białych ławek w zaroślach jaśminowych; na cichych jeziorach koły-

sały się zgrabne łódeczki, tak że późno dopiero, kiedy białe opary mgły, wznoszące się nad zatoką, przejmowały chłodnym dreszczykiem obnażone pod przezroczymi koronek plecy i piersi kobiet, udawali się mieszkańcy pirgołowscy na spoczynek.

Niepowstrzymanym pędem porwało mnie życie w swój odmęt. Dla duchowo wyczerpanej, stępiącej na wszystkie wrażenia, palonej chęcią zupełnego zapomnienia o własnych myślach, był szal ten zrazu požądaniem jedynie upojeniem. Rychło wszakże zwyciężyła młodość i chęć do życia; rokosz stała się celem. W obec wysokiej, dojrzałej dziewczyny zapomniano o jej czternastu latach; uważana też byłam przez wszystkich za dorosłą pannę. za najstarszą córkę domu, tak że cała młodzież mężka, zebrana w zamku, dzieliła hołdy pomiędzy wesołą żonę amfitryona a jej siostrzenicę. Często, jak wyraźnie zauważyłam, byłam cierniem w oku ciotki, przywykłej dotychczas do bezpodzielnego w towarzystwie królowania. Wnet zawiązała się też między nami owa ukryta walka kobiet o pierwszeństwo, prowadzona wszystkimi środkami, jakie daje kokieterya, i niemniej podniecająca, niż zmagania się mężczyzn w sali fechtunkowej lub przy grze hazardowej. Ilekroć odnosiła młodość moja zwycięstwo nad wdziękiem jej i dowcipem, zaczynała mnie ciotka traktować nagle jak dziecko, którego się nie zabiera za karę na zabawę starszych; „dziecko” krzyżowało wszakże zbyt rychło podobnego rodzaju pedagogiczne jej pomysły. Pewnego dnia np. wykluczono mnie z wycieczki na łodzi żaglowej z powodu braku miejsca, jak utrzymywała; w chwili wszakże, gdy łódź odbijała od brzegu, zjawiłam się konno, w to-

warzystwie najelegantszego oficera pułku kirasyerów, na którego osobie—wiedziałam o tem dobrze—specjalnie ciotce mojej zależało. Innym razem, kiedy zaćmić mnie miała z kretesem paryska jej toaleta, ściągnęłam na siebie powszechną uwagę momentalnie obmyślanem i wykonaniem przystrojeniem białej mojej sukienki i kruczych włosów gałązkami pąsowej jarzębiny. Była właśnie mowa o wycieczce na parowcu, przedsiębranej przez związek konserwatywny Koła wzdłuż kanału Fryderykowskiego. Cieszyliśmy się wszyscy perspektywą poznania staro-litewskiego kraju i życia.

„Szkoda, że Alicya będzie musiała zostać w domu” usłyszałam nagle ostry, doniosły głos ciotki — „jedynie osobiście zaproszone osoby mają wstęp”.

Łzy gniewu i rozczarowania stanęły mi w oczach. Wuj Walter, nie rozumiejący, o co chodzi, spojrział na mnie i rzekł z drugiego końca stołu:

„Uspokój się, Alicyo, to tylko drobna formalność, której łatwo dopełnię”.

Zły humor ciotki Emmy zdradził mi następnego rana, że zająć musiała między małżonkami scena, z której ciotka nie wyszła zwycięsko. Oficjalne zaprosiny wręczone mi zostały w sposób rozmyślnie uroczysty, nie mogłam też ukryć złośliwego uśmiechu, z jakim spojrzałam w tej chwili na ciotkę.

Wczesnym rankiem długo wyczekiwanego dnia wyruszyliśmy dwoma, zaprzężonymi w czwórkę koni, powozami do najbliższego miasta powiatowego. Tentent koni po źle brukowanej ulicy zwabił do okien setki ciekawych twarzy, wpatrzonych chciwie w słynny zaprzęg pirgołowski. Stawano na ulicach, zdejmovano czapki, niskie składając ukłony.



Na przystani, obok dymiącego już parowca, czekało mnóstwo zaproszonych na najwybitniejszego z gości, właściciela największych obszarów ziemi, świeżo wybranego na posła do parlamentu.

On i żona jego otoczeni zostali wnet po przybyciu przez wszystkich obecnych, ja jedna stałam zdaleka, pogardliwie mustrując całe towarzystwo: kobiety prawie wszystkie wysokie i chude, wtłoczone w jedwabne suknie odświętne z małemi na głowach kapotkami, śmiesznie wieńczącemi kościste ich twarze i gładko przyczesane włosy; wszystkie zdradzały niedające się opanować zażenowanie, wywołane przez niecodzienny, niezgodny z pogodą i porą dnia strój, dziewczęta, szkarłatne ze wzruszenia w sztywno krochmalonych perkalikowych sukienkach, w nicianych rękawiczkach na grubych czerwonych rękach, opasanych dzwoniącemi przy każdym poruszeniu bransoletkami, zbite lekliwie w beładną gromadkę, jak gdyby w potrzebie bronienia, się przed zaczepkami mężczyzn, stojących naprzeciwko. Czarną ich, ucyldrowaną rzeszę pstrzył rzadka mundur oficera rezerwy. Zimno mi się zrobiło na ten widok; zupełnie inaczej wystawiałam sobie całą zabawę, omal też nie wskoczyłam z powrotem do powozu, gdy wuj Walter zwrócił się do mnie: „Pozwól, że przedstawię ci kilku panów: pan v. Trebbin, v. Wanselow, v. Warren-Laukiszken”.

„Te chłopskie postacie mają być przedstawicielami takich starych rodów arystokratycznych!” — pomyślałam, patrząc na wyciągnięte ku mnie czerwone, niedźwiedziozate łapy.

„A i pan tutaj, mój drogi Rappie”, usłyszałam nagle radosny okrzyk wuja, „odważyłeś się wreszcie

pokazać w damskim towarzystwie?!” Zwróciłam się w stronę zaczepionego. A więc to był ów wróg kobiet, o którym ciotka Emma opowiadała w powozie, że jest on jedynym, który ją prawdziwie interesuje. Zamierzała niewątpliwie nawrócić samotnego dziwaka i nawiązać nim sąsiedzko-przyjacielskie stosunki. Nie myślałam już o odjeździe; poszłam za całą falą ludzi, sunącą przez pomost ku parowcowi. Kapela miejscowa grała, jakgdyby wszystkie rozstrojone trąby i flety umówiły się tutaj na spotkanie; między girlandami liści dębowych trzeszczały pstre kwiaty papierowe. Mały parowiec zdawał się nie móc zmieścić wszystkich zebranych. Tylko honorowi goście, do których należała moja rodzina, zajęli miejsce przy nakrytym stole, inni szukali pospiesznie miejsc; jak spłoszone wróble biegły dziewczęta dokoła, dopóki szczęśliwie odnalazły się wzajem, nie zbiły się znów w jednym kącie w ciasną gromadkę. Bieganina i pośpiech były mi zawsze wstrętne, stałam też spokojnie, nie chcąc usiąść byle gdzie. Koła i tryby maszyny warczeć już zaczęły, kiedy ujrzałam obok siebie pana v. Rapp, widocznie niezdecydowanego, w jaki ze swoim odludkostwem zaszyć się ma ką.

„Jesteśmy towarzyszami niedoli” — zwróciłam się do niego — „zdaje mi się, że w kajucie są fotele, czy zechce pan być tak uprzejmym i przynieść mi jeden z nich?” Powrócił z dwoma, — wiedziałam, że jako człowiek dobrze wychowany nie może pozostawić mnie samą. Zawiązaliśmy rozmowę, zrazu wymuszoną i rwącą się, stopniowo coraz więcej ożywioną. Mały ten człowieczek o przedwcześnie wyłysiałej czasce wykorzystał należycie swoją samotną wiejską: był odczytany i — co dziwniejszem wydawało się jeszcze w tem otoczeniu —

wyrobił sobie samodzielny na świat i ludzi pogląd. Rozmowa nasza tak mnie zajęła, przykuwając całą moją uwagę, że odrazu zapomniałam o pierwotnym zamiarze poirytowania ciotki dla uprzyjemnienia sobie przejażdżki. Przepływaliśmy w pełnym świetle słonecznego dnia kanał, wzdłuż ciemno-zielonych ławic mszystych, niskich domostw, sadów bielejących kwieciami, karłowatych drzew owocowych, obok Agilli i Juwentu, dwu odwiecznych sadyb litewskich, których strzechy słomiane wrastały niemal w ziemię. Małe rączce koniki, najstaranniej hodowane przez Litwinów, hasały wesoło wpośród brudno-łnianych główek dziecięcych. Sąsiad mój znał dobrze kraj i jego ludność; umiał zajmująco opowiadać o żartach walkach z krzyżakami, którzy wówczas dopiero zaprzestali swojego dzieła gnębienia i nawracania Litwinów — pod względem religijnym tylko pozornego — kiedy liczba ich rycerzy do ostateczności została zdiesiątkowana. Znał on też dziwne ich obyczaje, przechowane w nietykalności jeszcze z czasów pogaństwa.

Gwałtowne zderzenie, wstrząsające całym naszym parostatkiem, przerwało jego opowiadanie: osiedliśmy na mieliźnie. Daremne były wysiłki maszyny, kapitan który przyznał się, że po raz pierwszy odbywa tę drogę, stał bezradny, a krzyki i wołania załogi nie zdołały ściągnąć na wybrzeże nikogo prócz dzieci.

„Spuść pan łódkę i przepraw się na drugą stronę” poradził kapitanowi wuj Walter. Pod pozorem niemożności porozumienia się z Litwinami nie zgodził się zainteresowany na propozycję.

„Przeprawmy się z nim razem” — szepnęłam cicho mojemu sąsiadowi, zachwycona nadzieją przygody, pełna jeszcze wrażeń z wysłuchania deklamowanych mi przed

chwila przez mojego towarzysza dźwięcznych strof pieśni litewskich. Zdecydowany odrazu, porozumiał się on z kapitanem, a ja szybko zesłam za mężczyznami do łódki, nie zwracając uwagi na niechętnie szemrania pozostałych.

Przybivszy do brzegu, weszliśmy do jednego z najbliższych domków otworzywszy drzwi, z po za których nikt na stukanie nasze się nie odezwał.

Wnętrze izby było ciemne i wypełnione dymem gryzącym, nie pozwalającym otworzyć oczu; kilka kur zerwało się przed nami z ziemi, wymachując skrzydłami; z przeciwległego drzwiom kąta rozległo się pochrząkiwanie świń, na kominie, z którego czeluści zionął na nas żar rozpalonych głowni, odsunięto pospiesznie garnek, i wreszcie zbliżyły się ku nam dudniące po klepisku kroki. Na spotkanie nasze wyszła stara kobieta z długimi pasmami włosów, rozrzuconemi bezładnie po ramionach, skrzyżowała ciemne ramiona na zgrzebnej koszuli, składającej wraz z grubym wełniakiem spódnicy całą jej odzież, i z gestem pokornej służalczości ucałowała kraj mojej sukni. Rapp wyjaśnił jej w kilku słowach, o co chodzi. Nie wiem, co wywołało uśmiech na jej zwiędłej twarzy: czy oryginalność sytuacji, czy też dźwięk mowy ojczystej? Ruchem odmownym wruszyła ramionami, wskazując na ławę, na której chrapał rozciągnięty i okryty derą końską mężczyzna.

„Litwin jak nie pije, to kradnie, a jak nie kradnie, to śpi”, mówi przysłowie. Zniecicrpliwiony Rapp podniósł głos. W trakcie tego wsunęły się dzieci do izby i otoczyły matkę; we wszystkich tych oczach—szaro-niebieskich jak wody zatoki — migotały złośliwe błyski. Im gwałtowniejszym stawał się Rapp, tem bardziej prostowała ko-

bieta swą zgiętą pokornie postać, aż wreszcie nieomal dosięgła czołem belki pułapu. „Jak zaczarowana księżniczka losu” — pomyślałam, lękliwie cofając się przed nią. Rapp usunął ją wszakże na bok i zbliżywszy się do komina, podniósł kociołek do światła. „Sarnina” — zawołał.—Byłem tego pewien! Zatem kłusownik”. Kobieta padła mu z błagalnym szlochem do nóg, gdy mąż, przecierając oczy, zerwał się, zbudzony hałasem, z ławy. Wystarczyła już tylko krótka wymiana zdań, aby przełamać dotychczasowy ich upór. Po powrocie na parowiec oryginalny uderzył nas widok: długie wąskie czółna otaczały statek ze wszystkich stron, a w każdym stała, uzbrojona w wiosło i mocno prująca nim wody, kobieta. Wszystkie wyglądały jednakowo: wysokie, szczupłe, niebiesko-okie, w pstrych spódnicach, haftowanych koszulkach i pstrych na jasnych włosach chusteczkach. Oyrentowały się one na ojczystych wodach jak najlepszy żeglarz, dzięki nim też zepchnięty został statek nasz niebawem na falę. Ruszyliśmy tedy wytkniętą drogą, pociągnięci przez wiosłujące na przedzie kobiety. Stopniowo zmniejszała się ich liczba, pozostała jedynie siwowłosa bogini losu, aby wskazać nam drogę do przystanku, gdzie czekał na nas upragniony obiad. W końcu zginęła i ona, zapewniwszy nas, że teraz nie możemy zabłądzić. Zdala doleciał nas jeszcze śmiech, z jakim przyjęły towarzyszki powracającą. My natomiast nie dotarliśmy do punktu zbornego, — to stara zemściła się w ten sposób za wykrycie kłusownictwa! Na szczęście, zawierał nasz statek zapas prowiantu, pomyślano jednak bardziej o pragnieniu niż o głodzie pasażerów; że zaś podczas wielogodzinnej podróży wyczerpały się tak bogate tematy,

jak ceny zboża, brak rąk roboczych, obawa o żniwa, oraz chów bydła, nie pozostało zacnym związkowcom nic innego, jak pić i grać w karty. Aby ująć przed wzrokiem najdroższych swoich połowic, zaszyli się — o ile miejsce na to pozwalało — w kajuty. Dym cygar, strzelanie korków, coraz donośniejszy śmiech, wypływający tu i owdzie z głębin parowca, czerwono-fioletowe głowy wskazywały dowodnie, jak tam wyglądać musi na dole. Kobiety, którym trzy znane tematy: plotki, kuchnia i dzieci na dłużej dostarczyły materiału do rozmowy niż mężczyznom, znudziły się nimi w końcu. Przezorne gospodynie wyciągnęły z rezygnacją robótki szydełkowe z kieszeni, młode dziewczęta, do których przyłączyło się kilku młodzieńców, zabawiały się grami towarzyskimi, przyczem chichot ich miał świadczyć o stopniu ich rozdawienia. Wielu spało, oparłszy głowy na zwiniętych w kształcie pleda paltotach. Statek nasz pruł zwolna senne fale, sunąc wśród rozmarzonej ciszy nieskończonej, nleprzerwanej zielonej samotności.

Dziwne, jak mało ludzi umie używać w milczeniu, dą jak wielu pojęcie rozmowy równoznaczne jest paplaniu, a odpoczynek języka i rąk równa się nudzie. Siedziałam godzinami, nie otwierając ust i patrzyłam w bal, gdzie zieleń łąk łączyła się z lazurem nieba, zdając się w srebrnej roztapiać poświacie. Śniłam o innych ludziach, aniżeli ci, którzy mnie otaczali: o ludziach, uosabiających kulturę swojego czasu, o ludziach, którym natura, sztuka i nauka niewyczerpaną dają strawę dla serca i umysłu. Głos Rappa zbudził mnie do rzeczywistości. Uśmiechnęłam się: mały ten człowieczek z łysą czaszką był z pewnością najlepszym z tych tutaj, wyglądał jednak jak chłop, a moje pojęcie o kulturze czło-

wieka mieściło w sobie nieodstępnie wygląd królewicza z bajki

Zaczęło zmierzchać się, kiedy dotarliśmy do Niemna, szerokiej rzeki, której fale płyną spokojnie i melodyjnie, jak zgłoski jego nazwy. Wielką czerwoną kulą tonęło zwolna słońce poza wązkim żółtym pasem wybrzeża, pozostawiając na wodzie długą złotą drogę. „Droga do nieba” — powiedział Rapp, niemniej odemnie zachwycony przecudnym widokiem: „Dwoje dzieci rybackich z nad brzegów Niemna popłynęło pewnego wieczora po tej drodze. W domu spadały na nich nieustannie ostre słowa i bolesne razy, chciały więc iść do Boga. Nie powróciły już nigdy więcej, — czy dotarły chociaż do Niego?” Jakże boleśnie zranił mnie pełnem zwątpienia pytaniem tem, jak okrutnie rozdarł niezagojone rany! — Nie sądzę” — odparłam drżącemi wargami. Zamilkliśmy znów oboje. Zapadła noc, gwiazdy błyszcząły na ciemnym błękitcie nieba, księżyc perłowe lał blaski na zatokę. Przejęło mnie zimno. Nie byliśmy przygotowani na tak długą jazdę. Pan v. Rapp otulił mnie starannie w swój płaszcz i przyniósł mi herbatę z winem. Dziwiło mnie tylko, że reszta towarzystwa była tak względna i pozostawiała nas samych. Co prawda, niewiele się i ja niemi interesowałam.

Okolo północy zawinęliśmy z powrotem do portu w mieście powiatowem, Łabowie. Byłam bardzo zmęczoną; zaledwie też poczułam uściśnienie dłoni, której wywzajemniłam się serdecznym uściskiem. W milczeniu wróciliśmy do domu.

Nazajutrz drażnił mnie wuj moim „podbojem”, gdy ciotka Emma zarzucała mi, że się skompromitowałam. Po obiedzie wjechał w bramę powóz, z którego wysiadł

pan v. Rapp, uzbrojony w ogromną wiązanekę róż. Był bardziej jeszcze zażenowany ode mnie, i w kole tem wyglądał — jak mi się wydało — bardzo plebejuszowsko. W ciągu całego następnego tygodnia przyjeżdżał codziennie. Uciekałam często z domu, zawsze mnie umiał jednak odnaleźć na samotnych drogach, odbywanych przeze mnie pieszo i na koniu; w końcu raczyłam łaskawie zezwolić na nieustanne jego towarzyszenie mi. Kiedy pewnego rana przyszłam na śniadanie na taras, zastałam wuja i ciotkę rozbawionych do łez: pan v. Rapp prosił o moją rękę. Czy mam zaprzeczyć, że pierwszym mojem wrażeniem było uczucie pochlebionej próżności, Pierwsze oświadczyły — przed ukończeniem piętnastu lat! Potem jednak pomyślałam o ociążałym jegomościu, którego wyrwałam z jego, dziczącej się ludzi, samotni po to, aby go narazić na tak gorzkie rozczarowanie. Wyrzuty, czynione mi przez matkę, spotęgowały moje zmartwienie. Zalotność moja była — zdaniem jej — przyczyną wszystkiego złego. Byłam bardzo nieszczęśliwa, odmalowywałam sobie bowiem stan biednego odpalonego konkurenta w tak ponurych barwach, że poczułam się wreszcie zobowiązaną do „uratowania” go — chciałam prosić go o przebaczenie, potajemnie się z nim zaręczyć i przysiąc mu wieczną wierność.

Wczesnym rankiem kazałam sobie osiodłać „białą damę”, na której pogalopowałam do jego domu. Przed wrotami stajni zeskoczyłam z konia, rzucając lejce pierwszemu, jaki mi się nawinął, chłopcu stajennemu. Z bijącym głośno sercem pociągnęłam za dzwonek skromnego, jednopiętrowego domu. Jakąż bohaterką wydawałam się samej sobie, jak olbrzymią moja ofiara! Opasła gospodyni wyszła mi na spotkanie.



Jakając się, zapytałam o pana domu. Spojrzała na mnie z otwartymi z osłupienia ustami, poczem znikła błyskawicznie we wnętrzu domu. Po chwili stanął przedemną pan p. Rapp. Okrutnie zażenowana, zaledwie zdołałam wyjąkać jeden jedyny wyraz: „przebaczenia!...” „Co to, źle się widocznie pani zrobiło” zawołał głośno, aby gospodyni, ciekawie wychylająca głowę z najbliższych drzwi, mogła go dosłyszeć, „zaraz podać pani każę coś na odświeżenie”. Podał mi kieliszek wina, a podczas, kiedy zwolna je piłam, szepnął surowym głosem: „Mogę pani tylko poradzić, abyś coprędzej wróciła do dziecinnego pokoju. Baw się pani jeszcze tymczasem lalkami, a nie ludźmi!” — Zwolna, znużona śmiertelnie, wracam do Pirgołowa.

Tajemna moja wycieczka i cel jej nie pozostały ukryte, nawet ojciec dowiedział się o nich po przyjeździe swoim do Pirgołowa na urlop. „Czy już zupełnie nie masz wstydu?” — zawołał wściekle. Babka starała się mnie obronić, tak boleśnie jednak odczuwałam nieustanną cichą jej o mnie troskę, tak bardzo lękałam się, że ona, pobożna chrześcijanka, wypytywać mnie będzie o stan mojej duszy i otworzy znów serdeczne moje, tak głęboko tajone rany, że unikałam wszelkiego z nią sam na sam. Smutny wzrok, jakim za mną wiodła, ranił mnie już dostatecznie.

Odetchnęłam, kiedy opuściliśmy nareszcie Pirgołowo i kiedy stara wieża, dokoła której wicher jesienny w dzikim płasie wirował pożółkłymi liśćmi, znikła z przed moich oczu. Z takim samym uczuciem ulgi rozstałam się wkrótce potem z rodzicami moimi. Siostra ojca oczekiwała mnie w Augsburgu; oddawna ułożyła się z rodzicami, że powierzoną jej zostanie

dla ostatecznego,, wykończenia mojego wychowania”.  
Zupełnie mi obojętnem było, gdzie mam zamiesz-  
kać.

---

## ROZDZIAŁ SZÓSTY.

I znów, jak przed dziewięciu laty, wieczór był październikowy, kiedy przybyłam do Augsburga. Tym razem jednak oczekiwała mnie ciotka osobiście na dworcu. Srebrno-popielaty jedwab obciskał smukłe, pełne jej kształty, z pod takiejże barwy kapelusza, przystrojonego piórami, wysuwały się zwoje bujnych rudych loków, stalowe błyski rzuciły oczy jej, rozjaśniające białą twarz. Nigdy dotychczas nie odczułam do tego stopnia piękności dojrzałej tej kobiety. Gdy powóz nasz skręcił na plac królewski, który niegdyś wydał mi się piaszczystą pustką, a na którym teraz ostatnie złote promienie zachodzącego słońca igrały z pstrocizną liści drzew i z brylantowym deszczem wodotrysku. Nie wjechaliśmy tym razem w ciasną uliczkę do starego, ponurego domu, — szerokie skrzydła wrót powiodły nas we wjazdową aleję wspaniałego parku, którego przepych kwiatów urągać się zdawał jesieni. Z pomiędzy

starych lip przeświecały jasne mury gmachu o wdzięcznej wykwintnej fasadzie, przypominającej wille włoskie. Nie widziałam go jeszcze, ale dużo o nim słyszałam, ojcu mojemu bowiem wcale się nie podobało, że siostra sprzedała stary dom miejski i wzamian zbudowała ogromnym nakładem tę willę podmiejską, służącą, jak wiele tego rodzaju budowli, za letnią siedzibę patrycyuszom augsburskim. Atmosfera piękna i bogactwa owionęła mnie miękką, harmonijną kaskadą zaraz na wstępie. Oświetlone à giorno schody i westibul przypominały przepychem roślin zwrotnikowych ogród palmowy, a słodki zapach, przepajający liczne pokoje mieszkalne, usposabiał do snów rozmarzających.

Zaprowadzono mnie do pokoju mojego, położonego na drugim piętrze; i tutaj moc kwiatów, dużo światła i jasnych barw. Dalszą jeszcze, aniżeli od Warty do Lechu, poczułam się od wszystkich trosk domu rodzicielskiego, od wszystkich cierpień serca i wyrzutów sumienia, jakie mnie dotychczas przytłaczały. Zadowolona i wdzięczna, pełna oczekiwania samych tylko pięknych rzeczy, wtuliłam się w miękkie poduszki mojego posłania.

Dniało, kiedy mnie obudzono. „Pani baronowa życzy sobie, aby jaśnie panienka wcześniej wstawała”, powiedziała panna służąca. Mocno zdziwiona, wstałam i zaczęłam rozpakowywać mój kufer. Domagający się pożywienia żołądek zniewolił mnie wreszcie do zejścia na dół i przyniesienia sobie z kuchni bułeczki, ponieważ do śniadania dobra jeszcze pozostawała godzina. Po długim oczekiwaniu usłyszałam nareszcie kroki lokaja, niosącego imbryk z wrzącą wodą oraz szelest jedwabnych spódnic, oznajmiający przybycie ciotki. Zamiast powitania mnie roześmiała mi się wprost w oczy: „Jak ty wy-

glądasz?! Taka smarkata pozwala sobie na negliżowe stroje, jak młoda mężatka w podróży poślubnej!”. Mocno dotknięta, zagryzłam wargi; tak byłam dumną z miękkiego powłóczystego szlafroka, daru mojego ojca. „Proszę mi nie wkładać więcej tego teatralnego stroju!” — rzuciła ciotka, marszcząc wyniośle czoło, poczem usiadła na krześle, zalewając je falą śnieżnych koronek.

„Czy uprzątnęłaś już twój pokój?” — takim oszalałym pytaniem zaczęła na nowo rozmowę, w której do tej chwili nie wzięłam ani jednym słówkiem udziału. „Mój pokój?” Zdawało mi się, że przestyszałam się. W tym wytwornym domu, wypełnionym liczną mężką i żeńską służbą, miałam sama sprzątać pokoje?! „Sądzę, że nie będziesz żądała, abym przyjęła dla ciebie specjalną pokojówkę. Po za grubszą robotą musisz radzić sobie we wszystkim sama. A proszę, aby pokój porządnie był uprzątnięty przed śniadaniem”. Wzięty do ust kęs utkwiał mi w gardle, — ani mi się śniło o czemś podobnym! Ale nie na tem koniec: rzeczy moje wyciągnięte zostały z szaf i szuflad; ani jedna niemal suknia, ani jeden kapeluszek nie znalazły łaski w oczach ciotki; mój sposób układania i chowania rzeczy nazwała skandalicznie niedbałym. Potem zażądała klucza od biurka, — „dziecko nie powinno nic zamykać” — i zapalała gwałtownym gniewem na widok moich rękopisów, które przetrząsnęła i ulubionych moich książek, z którymi nie chciałam się rozstać.

„Piękne wychowanie!” — zawołała, „i ja mam marnować czas i siły na zrobienie przyzwoitego człowieka z takiej z gruntu zepsutej istoty!” Drżałam z oburzenia, ale ani jedno słowo nie wyszło z moich ust — jedynem, czego mnie nauczyło wychowanie, dane mi przez matkę,

była, doprowadzona do doskonałości, umiejętność panowania nad sobą. Dopiero wieczorem w łóżku, po dniu, w którym ani przez jedną minutę nie należałam do samej siebie, wybuchła cała moja rozpacz. Z niepowstrzymanem łkaniem zaryłam się głęboko w poduszki. I ta jednak nawet możliwość wyplakania się zostać mi miała odjętą. Widok zapłakanych moich lub siną obwódka podkrążonych zrana oczu wywoływał najgwałtowniejszy gniew ciotki, „młode stworzenie musi mieć świeży, różany wygląd” — oznajmiała, gdy zaś zwykły rozkaz nie pomagał, przychodziła kilkakrotnie wieczorem do mojego pokoju celem skontrolowania, czy już śpię. Posiadłam tedy szybko wielką sztukę płakania w sobie. Powodu do płaczu miałam aż nadto. Nie przeszedł ani jeden dzień bez otrzymania surowej nagany, ilekroć na urękawiczkowym jej palcu, który przesuwiała po każdej listwie w moim pokoju, pozostał chociażby ślad kurzu, ilekroć krawatka moja nie była zawiązana podług wszelkich reguł, moje rękawiczki nie leżały starannie wyciągnięte w szufladzie, ilekroć jej przenikliwe oczy odnajdywały plamkę jakąś na mojem ubraniu, a zwłaszcza, gdy zdarzało mi się czytać lub pisać w porze przeznaczonej na cerowanie pończoch. Listy, nie adresowane ręką rodziców moich, bez ceremonii otwierała i czytała pierwsza. Dowiedziała się tym sposobem, że skarżyłam się na moją dolę kuzynce Matyldzie. „Smutne to, że twoje duchowe potrzeby tak mało są brane w rachubę, a twoje uzdolnienie tak mało znajduje uznania” — odpisała mi na to; z ironicznym uśmiechem przeczytała ciotka głośno ustęp ten, dodając stanowczym tonem: „Zakazuję ci bezwzględnie wszelkiej korespondencji z osobami postronnemi. Tego tylko brakło, żeby głupia twoja pycha tajemnie była podsy-

cana, zamiast otworzenia ci raz wreszcie oczu na wszystko, czego ci brak, aby stać się chociażby przeciętnie dobrze wychowaną panną". Nie zaniedbywała też niczego, aby mnie uświadomić w tym kierunku. W tym celu rzucała przy każdej okazji jaskrawe światło na wszystkie słabe strony mojego wychowania i wykształcenia: muzycznego, lingwistycznego i praktycznego. Codziennie godzinami mordowałam się przy fortepianie, a francuzka i angielska konwersacya następowały kolejno po lekcjach gotowania i szycia. Kilka celujących okazów wzorowo wytresowanych młodych panien dano mi dla przykładu do towarzystwa. Doprowadziły one do perfekcyi talenty, na jakich mi zbywało: śpiewały i grały, haftowały i szyły, a strój ich był zawsze nieskazitelny. Rozumie się, że dla mnie były to straszdyła, coraz bardziej też wczuwałam się w rolę zaczarowanej księżniczki.

Dość sprytna byłam, aby nie zrozumieć odrazu, że głównym motorem podobnego postępowania ciotki ze mną była bezgraniczna, troskliwie przez całe bez wyjątku otoczenie podsycana, jej próżność. Jak dom i park jej były najpiękniejsze, jej zaprzęgi i stroje najelegantsze w Augsburgu, tak samo i siostrzenica jej musiała być najdoskonalej skończoną — na modłę augsburską oczywiście—młodą osobą. Wiele trzeba było intensywnej fizycznej i duchowej pracy, aby cel podobny osiągnąć.

Gdy w północnych Niemczech reprezentowane było t. zw. „dobre towarzystwo” przez starą szlachtę rycerską z jej surowo ekskluzywnem pojęciem równości, z jej religijnie-ortodoksyjnemi, politycznie-konserwatywnemi poglądami, z jej w owym czasie wysoko posuniętem lekceważeniem wszelkich zawodów—po za posiadaniem

ziemskim, karierą oficerską lub wyższą urzędniczą— tutaj przeciwnie składało się ono, zgodnie z tradycjami, ze starych i nowych patrycyuszów, należących jak dawniej, przeważnie do mieszczańskich sfer zawodowych. W czasach, kiedy przodkowie junkrów pruskich walczyli z poganami i Turkami, handlował protoplasta rodu Fuggerów płótnem, żaglowały okręty kupieckie Walserów do Indyi Zachodnich; zasiadali pierwsi Stettenowie w cechu złotniczym. Potomkowie ich uważali Fröhlichów, Forsterów i Schätzerów, utytułowanych przemysłowców XIX wieku, za należących do własnego ich klanu, zaś oficer, jako taki, równie niskie zajmował stanowisko towarzyskie, jak lancknecht średniowieczny.

Równie wielką jak odmienność pochodzenia była odmienność interesów gospodarczych, które w dotychczasowym mojem otoczeniu były wyłącznie agrarne, zaś tutaj wyłącznie przemysłowe. Wypływała stąd różność stanowisk politycznych: dobre towarzystwo Augsburga było narodowo-liberalne i przeciwstawiało się zarówno ortodoksyi politycznej jak religijnej. Łączyło się z tem żywsze zainteresowanie sztuką i nauką, podtrzymywane przez główny dziennik miejscowy oraz przez grupujących się dokoła niego przybyszów. O ile rozmowy, prowadzone o sztuce i literaturze w zamkach Prus Wschodnich, miały na względzie wyłącznie większą lub mniejszą, zyskiwaną dzięki książkom czy muzyce, zabawę, o tyle w Augsburgu należało do dobrego tonu rozbiierać je ze stanowiska artystycznego.

Symbolem całego ich duchowego życia był szeroki gościniec utarty, na którym zawsze spotykają się ludzie, odchyleni bardziej na prawo czy na lewo, nie mający odwagi przekroczenia granicy, przeciwległej



dawnym ich poglądom, i dla tego dla własnego uspokojenia nadający gościńcowi temu miano „złotego środka”. W Prusach unikano mówienia o kwestyach poważniejszych, aby nie narażać się na zderzenia poglądów, nie należące bynajmniej do dobrego tonu, tutaj przeciwnie doszło do tego, że widziano we wszystkim jedynie temat do konwersacyi.

O ile z trudnością największą przychodziło mi nabywanie talentów gospodarskich, a jeszcze trudniej było przełamać głęboko zakorzenioną pychę, która nie pozwalała w żaden sposób pogodzić się z uważaniem za równego mi jakiegoś fabrykanta lub bankiera, o tyle zgadzał się najzupełniej z moim rozwojem politycznym i religijnym kierunek nowego mojego otoczenia. Pod tym też względem zdobył mnie sobie Augsburg i urobił w końcu na posłuszną wychowanicę ciotki.

Z chwilą, gdy wystarczająco przeistoczyłam się zewnątrz — kunsztowna fryzura i paryski gorset były w takim samym stopniu atrybutami południowo-niemieckiej dystynkcyi, jak gładkie uczesanie i płaski krój stanika północno-niemieckiej, — wprowadziła mnie ciotka do towarzystwa złożonego z krewnych jej i znajomych.

Na samym już wstępie wprawiła mnie w zdumienie, wobec znanego mi bogactwa tych ludzi, wielka prostota życia ich na zewnątrz. W starym stylowym domu Stettenów na Rynku były jeszcze szorowane podłogi i żeńska służba, podająca do stołu. W epoce mebli renesansowych i przyciemniających portyer gobelinowych jaśniały tutaj białe muślinowe firanki obok lekkich foteli giętych. W domu Schätzerów, których przepyszna sala rokokowa przynosiłaby zaszczyt

każdemu zamkowi królewskiemu, piekła pani domu własnoręcznie ciasta świąteczne i smażyła konfitury. Odwykłam powoli od marszczenia nosa na podobne objawy; połączenie pracowitości, prostoty i bogactwa miało w sobie coś imponującego, a świadomość, że istnieją poza światem dotychczasowego mego otoczenia — inni jeszcze ludzie, z którymi można było obcować, była epokowem dla mnie odkryciem. Bardziej jeszcze niespodziewanem było wrażenie, jakie wywarło na mnie tutejsze życie duchowe. Do najzaufańszych przyjaciół domu mojej ciotki należeli: naczelny redaktor Dziennika Powszechnego, Dr. Otto Braun, prezydent miasta Augsburga, Ludwik Fiszer, oraz proboszcz kościoła Ś-tej Anny, Juliusz Haberland. Schodzili się oni u nas raz w tygodniu w niewielkim kółku bliższych znajomych, z którego wyłączona była najzupełniej młodzież męska. Sala muzyczna, której złote ozdoby i pąsowe jedwabne meble zdawały się hołdować brutalnemu zamięłowaniu przepychu, cechującemu króla bawarskiego, poświęcona była kultowi Wagnera. Rozmawiające grono zajmowało zielony buduar rokokowy; w pierwszym przyciemnionym pokoju bibliotecznym, pod wysoką rozłożystą palmą, czytywał zazwyczaj głośno Dr. Braun.

Był to niezmiernie ożywiony, przysadzisty starszy jegomość, którego sfera interesowania zamykała się w dziedzinie literatury i którego młodzieńczy zachwyt nad ulubionymi poetami musiał działać zarażająco. Pomimo przeciwwagi ciotki, usiłującej ograniczyć moją lekturę do utworów niezbędnych lub zupełnie dziecinnych, umiał on skierować chaotyczne moje upodobania na stałe drogi, otworzywszy przedemną

dziedziny piśmiennictwa, które nietylko mnie, ale i większości ówczesnego czytającego ogółu zupełnie były jeszcze obce. Do owego czasu pochłaniałam utwory modnych pisarzy, jak Heysego, Dahna i Ebersa, teraz stały mi się objawieniem artystycznym prace Gotfryda Kellera, Konrada Ferdynanda Meyera i Maryi Ebner-Eschenbachowej. Fakt, że Braun nie rozumiał najmłodszych, że stał w opozycji do radykalnych cudzoziemców, jak Zola, Ibsen oraz pisarze rosyjscy — nie mógł wpłynąć na mnie ujemnie tem więcej, że samo już wkroczenie w sferę jego zainteresowania było dla mnie wielkim krokiem naprzód.

To samo dotyczyło również dziedziny polityki i religii. Kiedy Ludwik Fiszer, stojący wówczas u szczytu sławy parlamentarnej, rozwijał swoje poglądy, wydawały mi się one rewolucyjnymi niemal, dotychczas bowiem wmawiano mi, że polityka konserwatywna jest jedyną godną szanującego się człowieka. Wrażenie to spotęgowała jeszcze pamięć rewolucyjnego liberalizmu 1848 r., który mnie tak porwał niegdyś przy nauce historii; wolny handel i cła ochronne były dla mnie alfabetem greckim, tem samem też nie miałam pojęcia o porażce większości liberałów w owym okresie bismarkowskiej polityki celnej. Wszystko, co słyszałam, wydawało mi się wewnętrznem wyzwoleniem: istnieli więc ludzie, istniało liczne stronnictwo, wznoszące wysoko sztandar ideałów wolności i praw ludzkich, ja zaś mogłam zaciągnąć się pod ten sztandar, nie natrafiając przy tem, jak zawsze u moich, na gwałtowny opór.

„Nie mogę być konserwatystką” — pisałam na wiosnę 1881 roku do kuzynki mojej, z którą wolno mi

znów było korespondować od czasu, kiedy ciotka stwierdziła z zadowoleniem dobre wyniki swojego systemu wychowawczego. „Równałoby się to dla mnie głosowaniu za karą cielesną lub za zdławieniem wszelakiego postępu naukowego. Poglądom moim odpowiada jedynie liberalizm narodowy, mający na względzie nie jedną kastę i jej przestarzałe przywileje, ale interesy całego narodu, zawsze gotowe do popierania krytycznych badań naukowych i stąd stojące w bezwzględnej opozycji do ortodoksyi religijnej.”

Przedstawicielem liberalizmu religijnego, panującego wszechwładnie w Augsburgu, a dla mnie bardzo jeszcze interesującego do poznania, był w domu ciotki mojej pastor jej gminy. Dla tego też nie widziałam w niedzielne chodzeniu do kościoła — stanowiącym tutaj tak samo, jak w domu naturalny obowiązek — nic odstrasżającego. Kiedy na kazalnicy ukazywała się piękna apostołska postać Juliusza Haberlanda, a donośny głos jego zappełniał kościół cały dźwiękiem szlachetnego metalu, przykuta była uwaga moja od pierwszej chwili: nie było w słowach kaznodziei ani cienia szorstkości; znajdowałam w nich zrozumienie ludzkich błędów i wykroczeń i wyrozumiałość dla nich, gdy w Poznaniu słyszałam zawsze potępienie i bezwzględność.

Wszystkie dawne rany moje, spowodowane przez walki religijne, otworzyły się na nowo; były one powierzchownie tylko zasklepione, ale nie zagojone, większe też niż kiedykolwiek ogarnęło mnie pragnienie zbawienia. Na usilne nalegania moje poprosiła ciotka pastora Haberlanda o udzielanie mi prywatnych lekcji religii; chętnie się na to zgodził, odtąd też chodzi-

łam parę razy w tygodniu do zacisznego jego domku. W oblanym słońcem gabinecie siadywałam w skupieniu ducha obok zawsze równomiernie dobrego człowieka tego o subtelnej, okolonej bujną blond brodą twarzy, o wąskich, białych, starannie pielęgnowanych rękach, słuchałam go godzinami, i powoli, stopniowo, udało mi się wypłoszyć z trwożliwie zamkniętego wnętrza mojej duszy wszystkie jej wątpliwości i rozpaczę. Chryścjanizm pastora, pojmującego wiarę bardziej w znaczeniu ufności, aniżeli bezkrytycznego ufania autorytetowi, podziałał na mnie zrazu tak, jak wydostanie się na wolne obszary natury działać musi na człowieka, przywykłego do tego czasu do życia w murach ciasnych zaułków.

Rozum mój uspokoił się odrazu. Pastor wykazał mi, że byłam w gruncie rzeczy chrześcijanką, a więc nie krzywoprzysięgłam przed ołtarzem. Osiągnęłam i tutaj „złoty środek”, na którym zatrzymuje się tak wielu dorosłych nawet ludzi, nie będących obłudnikami.

Nie dało to jednak zupełnego zadowolenia mojemu umysłowi. Pozostała we mnie niczem niezapełniona pustka, którą odczuwałam coraz boleśniej, im dłużej przebywałam we wspaniałym, ukwieconym domu ciotki, mustrującej i formującej mnie z nieosłabłym ani przez chwilę zapalem. Nie pozostawiała mi ona ani odrobiny czasu dla mnie samej; dzień mój tak ściśle był podzielony, zarówno pod względem godzin pracy, jak narzucanych mi rozrywek, że dla osobistych moich upodobań nie pozostawało zupełnie miejsca. Kiedy wszakże podczas długich, spędzonych przy nudnej jakiejś ręcznej robocie, godzin opanowywały mnie

władczo postacie snów moich i marzeń, i kiedy nie mogłam opędzić się im, dopóki nie zasiadałam potajemnie w nocy do pióra, aby z tętniącym głośno sercem ująć w słowa i rymy przepelniające myśl moją obrazy, mogłam być najpewniejsza, że ciotka lub jej pokojowa dowiedzą się o mojem wykroczeniu. Kazano mi opanowywać niepotrzebne fantazje; a jeśli już koniecznie chciałam pisać wiersze, nastęrczały mi uroczystości familijne dostateczną po temu okazyę.

Pewnego dnia wiosennego pojechała ciotka do Monachium, aby zasięgnąć tam porady lekarskiej. Skorzstałam skwapliwie z tej okoliczności, aby, pod pretekstem odwiedzenia jednej z przyjaciółek, przespacerować się bez kontroli po mieście.

Przywykłam, idąc za popędem głęboko tkwiącej potrzeby wewnętrznej, na którą w dziwnym splocie składały się pobudki zarówno artystyczne, jak religijne, wstępować przy każdym samodzielnem wyjściu na ulicę do jednego ze starych kościołów, gdzie znajdowałam chwilę chociażby cichego skupienia w przesiąkłym słodkim dymem kadzidel zmięzchu. Dzisiaj mogłam, skróciwszy wizytę do minimum, poświęcić rokoszy tej kilka godzin.

Podwoje katedry stały otworem. Chmary małych dzieci wnosiły girlandy kwiatów wiosennych, przeznaczonych na dekoracyę stuletnich kolumn i ołtarzy do nabożeństw majowych. Tronująca nad głównym ołtarzem postać Matki Boskiej zdawała się uśmiechać miłośnie do całej gromadki, której drobne kroczyki zamierały powoli we wnętrzu głębokich naw, mówiących cudownie wyraźnie, wymowniej od wszystkich uczonych ksiązek, o rozwoju sztuki niemieckiej.

Cisza panowała niezmacona. Jasne popołudniowe słońce gorące rzuciło błyski po przez stare, pokryte malowidłami, okna, nadając pozory życia zdobiącym je postaciom proroków i świętych. W zestawieniu z tą pełnią światła tem bardziej nieprzeniknionemi wydawały się tajemnicze cienie nawy poprzecznej, w których głębi majaczyły płyty kamienne grobowców. Mury promieniowały z siebie wilgotno-chłodne powietrze zimowe. Pospieszyłam ku jasnemu przejściu głównego ołtarza, skąd nadpływała właśnie powracająca fala dzieci; ustroiły one już kościół w odświętną kwiecistą sukienkę, ciekawa więc byłam zobaczyć, jak umaiły Matkę Boską — niby boginię wiosny — pierwszemi kwietnemi jej darami. Nagle potknęłam się o jeden z grobowców kamiennych: z po nad wieka jego szczyrzyła do mnie trupia czaszka pustą swoją jamę ustną i puste oczodoły, na sarkofagu leżał wyciągnięty, wychudzony kształt ludzki, potwornie okolony szarpiącemi go wężami i kretami. Uciekłam w najwyższem przerażeniu, wrażenie mimo to pozostało, potęgując się we wspomnieniu coraz silniej. Kamienny posąg Matki Boskiej u wnijścia, obarczone daniną kwiatów dzieci z krwi i kości—oraz martwy Piotr z Szaumburga, pełen niegdyś żądz życia kardynał, który sam wystawił sobie ten okropny pomnik jeszcze za czasów, kiedy czerpał pełnemi rękami złoto ze skarbców i był spowiednikiem najpiękniejszych w Augsburgu dziewcząt — wszystkie te postacie szły nieustannie za mną, zachodząc mi chwilami drogę, lub też lekkimi stopami postępowaly tuż obok mnie. Przybiegłszy na górę do mojego pokoju, zrzuciłam pośpiesznie kapelusz i okrycie, usiadłam przy biurku i zaczęłam pisać — pisać —

pisać, nie zwracając uwagi na wielokrotne nawoływania do kolacyi, zapominając zupełnie o upływającym czasie, nie słysząc wreszcie poza sobą kroków ciotki. Dopiero kiedy pochyliła się nademną i gorący jej oddech musnął moje czoło, zbudziłam się przerażona z mojego snu na jawie.

„Aha, wystarcza więc, abym się odwróciła, i cała historia zaczyna się na nowo” — zawołała wzburzona; chwytając zapisane kartki z biurka.

Zamiast pisać zadane wypracowanie angielskie gryzmolisz jakieś banialuki. „O masz” — i mówiąc to, podarła na strzępki moją świeżo splodzoną opowieść. Czułam, że krew cała uciekła mi z twarzy; straciłam zdobytą z takim trudem moc panowania nad sobą. „Chcesz mnie zamordować — zdręczyć powolną śmiercią” — wyjąkałam; „czyż nie ulegam ci we wszystkim, czyż nie daję się nawet zamykać i kontrolować jak przestępca? Pozwól mi żyć trochę własnem życiem — pozostaw mi choć parę godzin wolności w ciągu dnia. — Jeśli nie podoba ci się, co piszę, zostaw mi to przynajmniej. Nie będę się przecież nikomu tem naprzykrzała” „Tego tylko brakowałoby, żebyś mnie miała kompromitować pokazywaniem ludziom bezmyślnych twoich bazgroł”. zawołała. „Nie zniosę u siebie bab, mażących palce atramentem. A ty jeszcze chciałabyś, żebym ci przeznaczyła na to specjalne godziny! Kobieta musi wogóle żyć dla innych, nie dla siebie”. Usta moje skrzywił grymas uśmiechu — myślałam o tem, jakto ciotka żyła „dla innych”. „Nie wytrzymam tego jednak, muszę wypowiedzieć się, muszę przelać na papier opanowujące mnie uczucia. Inni sądzą o tem inaczej, niż ty. Babunia



była zawsze zdania, abym szła za wewnętrznym po-  
pędem'.

„Twoja babka!” zawołała z sarkastycznym uśmie-  
chem; „nie chcę oczywiście obrażać staruszki, ale mo-  
głabyś doprawdy powołać się na kogoś odpowiedniej-  
szego!”

Zerwałam się oburzona: „Babcia jest najzacniej-  
szą, najlepszą kobietą, jaką znam, jedyną osobą, która  
mnie kocha i rozumie!” „Być może, że cię rozumie!”  
zawołała ciotka. „Jest zupełnie tak samo przesadzona,  
jak ty. Cóż to zresztą dziwnego — przy jej problema-  
tycznem pochodzeniu!” Zacisnęłam bezwiednie pięście  
tak mocno, że paznogie wpiły mi się w ciało, i dumnie  
odrzucałam głowę: „O, z pewnością, z twoimi augsburskimi  
handlarzami nie może się ona równać!” Wściekły gniew  
zeszpelił rysy ciotki. „Masz mnie w tej chwili przepro-  
sić za twoje niesłychane zuchwalstwo” — wrzasnęła.  
Odwróciłam się, rzuciwszy jej jedno krótkie: „nie!”  
i wyszłam z pokoju.

Przybiegłszy do siebie na górę, rzuciłam się na łóżko  
i zacisnęłam z całych sił zęby, aby stłumić krzyk, wry-  
wający się mi gwałtownie przez gardło: kurczowy ból  
w boku pozwolił mi zapomnieć o cierpieniu duszy.  
Pierwsze symptomy tego bólu pokażyły się u mnie je-  
szcze w Pirgołowie, podczas jazdy konnej, tutaj w Augs-  
burgu stale się one wzmacniały, dochodząc po każdym sil-  
niejszym wzruszeniu do rozmiarów ostrego napadu.  
Zdecydowałam się wkońcu zwierzyć z tem ciotce,  
zwierzenie moje posłużyło jej jedynie za powód do wy-  
powiedzenia kazania na temat, że dobrze wychowana  
panna nie może nigdy chorować, a domowy jej lekarz,  
sp ojrzawszy w przelocie na moją bladą twarz, zalecił

mi „befsztyki i czerwone wino”. Po tej próbie przestałam mówić o moich dolegliwościach, chociaż nieraz wiałam się formalnie z bólu. Tak silnie i długo, jak tej nocy, nie trzymały mnie one nigdy jednak jeszcze. Nie zmrużyłam oczu.

Nazajutrz nakazano mi, ażebym nie wychodziła z mojego pokoju. Był to wyraźny sposób upokorzenia mnie wobec służby i zmuszenia tą drogą do prośby o przebaczenie. Kiedy jednak i drugi dzień minął, a ja żadnej nie okazywałam skruchy, przyszedł do mnie na górę pastor Haberland. Mówił mi wiele o miłości ciotki dla mnie, o staraniach jej celem uczynienia mnie lepszą, o nieustannem jej poświęcaniu na rzecz moją osobistych swoich wygod, o jej wieku i moim, obowiązującym mnie do poddania się. „Pokaż, że stałaś się prawdziwą chrześcijanką” — zakończył. „Upokórz się, chociażbyś nawet czuła, że ci się stała krzywda! Złóż chętnie w ofierze siebie samą — sownie zostaniesz za to nagrodzona!” — „Może ma słuszność” — pomyślałam; i w dumnym poczuciu przewyciężenia złych moich skłonności zesłałam z nim razem na dół, gdzie odegrała się niebawem wzruszająca scena przeprosin z akompaniamentem łez, pocałunków i błogosławieństw. Ukorzyłam się raz jeszcze. Uważałam też za rodzaj samobiczowania gorliwe od tej chwili wykonywanie najbardziej niemiłych mi robót, do których zabrałam się z zapalem gorączkowym: haftowałam, „starno-niemieckie” serwetki, jak gdyby mi za nie płacono, godzinami staczałam przy fortopianie zawzięte walki z moim brakiem zdolności i robiłam pończochy dla dzieci murzyńskich podczas wieczornej muzyki i śpiewu ciotki. Pustka w duszy pozostała wszakże niezapełniona niczem, a ilekroć wie-

czorem rozbrzmiewały pod mojemu oknami trele słowice i wlewały się fale zapachów jaśminowych, ogarniała mnie głębsza, gorąca tęsknota — za czem, ach, za czem?

W lecie pojechałyśmy do Grainau. Cieszyłam się na to, jak dziecko, pobyt mój jednak w ukochanym miejscu zatrulo mi surowe zamknięte życia, jakie tam zmuszona byłam prowadzić. Nie wolno mi było nawet pójść w góry z Seppem, a kiedy Hellmut, który został już w owym czasie szykownym oficerem gwardyi, odwiedził nas, spędzał bowiem urlop swój w Partenkirchen u matki, przyjęła go ciotka sama i musiała mu widocznie dać do poznania, że nie życzy sobie, aby obcował z „dzieckiem”, nie ponowił bowiem już więcej odwiedzin.

Jeździłyśmy codziennie na spacer, — o jakże zazdrościłam z mojego wygodnego siedzenia w powozie piechurom, napotykanym na drodze i wesoło maszerującym, pomimo ciężących na ramionach plecaków.

Po powrocie do Augsburga — skończyłam w trakcie tego szesnastu lat — powiedziała mi ciotka, że teraz, kiedy nie widzi już obawy recydywy, pozostawi mi więcej wolności. Że jednak nie posiadałam w dalszym ciągu zamkniętego biurka, ani nawet zamykanej na klucz szuflady, ograniczała się ta „wolność” na mniejszym stopniu kontroli, na bywaniu w towarzystwach, nie składających się wyłącznie z pań i starszych panów, a także w teatrach, gdzie co wieczór miałyśmy do rozporządzenia dwa miejsca w łoży. Wytrwałość i energia mojej ciotki, jej nieustanne, w najrozmaitszych odmianach powtarzające się, ostatnio wypowiedane w tonie zupełnie przyjaznym, poglądy na obowiązki młodej, dobrze wychowanej panny, oddziaływały na moją duszę, jak usypiający i przytępiający ją narkotyk. Gdy zaś budziło się

cośkolwiek we mnie, uważałam to sama za rzecz zdrożną i spieszyłam usnąć z powrotem mimowolny bunt serca. Pisałam w owym czasie do kuzynki mojej: „Pytasz, czy pisuję teraz? Dużo myśli kołacze się w głowie mojej, dużo uczuć w mojem sercu, nie mam wszakże czasu na ujęcie ich w słowa. Stanowi to punkt bolesny mojego życia. Wre i kipi we mnie, myślę, że mam talent i że gotów on wybuchnąć kiedyś z całą siłą nazewnątrż. Muszę więc stawiać mu podwójnej wysokości zapory. Tyle mam prozaicznego zajęcia; cóż dopiero jak wrócę do domu, gdzie wypadnie w tylu rzeczach ulżyć mamie, tak, że czas mój całkowicie będzie wypełniony. Istnieją może ludzie stworzeni do prozy życia; zwykle obowiązki nie ciążą im; dla mnie są one przeraźliwie ciężkie... Biedny mój Pegaz musiał ledz pierwszy na ołtarzu obowiązku... Może to i lepiej. Cóż po nim biednej dziewczynie? Bujna wyobraźnia była nieszczęściem mojego życia; wyzbycie się jej było jedną z najboleśniejszych, najokrutniejszych operacyi, jaką kiedykolwiek przeżyłam.—

Skoro jednak udała się, chcę wyzyskać to, co mi po niej pozostało, na zdobienie życia i domu, na służenie rodzicom i w przyszłości mojemu mężowi.

Stałam się istotnie „dystygowaną młodą panną”; nie czułam już nawet, że najpromienniejsze popędy istotnej mojej natury zostały zdeptane i zmiążdżone. „O młodej panie sądzi się z jej wyglądu, nie zaś z jej wiedzy”,— pisałam, przyswajając sobie poglądy ciotki, — „słusznie uważana ona jest za arogantkę, jeśli poważa się mieć własne przekonania”. Pamiętnik mój, którego nie tknęłam od chwili przyjazdu do Augsburga, ponieważ nie pozwolono mi na to, pozostał i teraz niezapełnionym,

mimo że nikt nie czynił mi w tym kierunku przeszkód. Babunia zapytała mnie kiedyś o to listownie, na co jej odpowiedziałam z przemądrzałą pewnością siebie: „Nie piszę już pamiętnika, uważam bowiem, że w moim wieku okłamuje się tylko samą siebie, prowadząc dziennik i podnosząc do potęgi drobne wydarzenia, o których lepiej byłoby zupełnie zapomnieć. Nie mam potrzeby spisywania historii mojego życia, którą się potomni nie będą napewno interesowali. Nie piszę też już wierszy, całe bowiem dążenie moje skierowane jest ku temu, aby uczynić siebie samą i całe moje otoczenie możliwie poetycznym, (za pomocą pstro malowanych talerzy i pudełek, haftowanych serwetek i dręczenia fortepianu!)— „abym zdolną była kiedyś umilić domowe ognisko mojemu mężowi”.

Mój mąż! — Ciotka dbała o to, aby marzenia moje obracały się coraz bardziej dokoła niego, a wyobraźnia którą uważała za tak bezpowrotnie pogrzebaną, rodziła najbujniejsze w tej dziedzinie kwiaty. Czyż celem całej jej sztuki wychowawczej nie był mąż? Czyż nie były zwykłym zupełnie rachunkiem matematycznym wszystkie jej roztrząsania na temat, dla czego, kiedy i za kogo mam iść za mąż? „Jestem bezdzietną, zaopatrzoną będziesz hojnie”, — powiedziała mi kiedyś na przechadzce w lesie, zwisając ciężko i boleśnie na mojem ramieniu—„ale oczywiście dopiero po mojej śmierci. Teraz jesteś biedna, a przy złej gospodarce twoich rodziców na niewiele możesz liczyć. Nie rób więc głupstw. Troski rozpędzają zazwyczaj miłość na cztery wiatry. Jeśli też usiłowałam sprowadzić cię z twoich nadobłocznych krain na padół ziemski, uczyniłam to jedynie celem uchronienia cię od popełnienia szalonego

jakiegoś kroku. Masz teraz prawo stawiania największych wymagań — nie lekceważ sobie tego!”

Słuchałam spokojnie jej wywodów; byłam już tak dobrze wychowaną, że mi się to wszystko wydawało zupełnie naturalnem. Raz jeden tylko rozdarła się ciemna zasłona przed mojami oczyma, i dostrzegłam nagle — w postaci wizyi przelotnej — głęboką, ponurą, zimną pustkę mojego serca. Późnym wieczorem szukałam w parku chustki, którą musiałam tam zostawić, gdy nagle z mroków nocy wypłynęły tuż przede mną dwie przytulone do siebie postacie: garderobiany naszej, Liny i stangreta Jana. Co pewien czas stawiali oni, tonąc w namiętnym uścisku. „Jezus, Marya”, — krzyknęła, spostrzegłszy mnie, Lina, — jasna panienka!” Z gorejącemi policzkami i błyszczącemi oczyma, bardziej ze szczęścia, niż ze wstydu, wyciągnęła ku mnie błagalnie dłonie: „Jaśnie panienka nie powie nic pani baronowej, prawda?” — prosiła — „kochanie to przecież nie zbrodnia. Jaśnie panienka może spokojnie czekać na księcia albo hrabiego, który zaraz włoży panience na palec ślubną obrączkę i poprowadzi do ołtarza. Ale my” — uśmiechnęła się czule do stojącego bezradnie Jana — „my nie mamy nic, prócz tej troszki kochania — to musimy już mieć... No, gadaj-że coś i ty także, Jaśku!” Trąciła go zachęcająco pod bok. „Masz rację” — wyjąkał zawstydzony; — „każdy człowiek musi mieć radość swoją, taką prawdziwie serdeczną radość!” Pociemniało mi w oczach. Bliska byłam wybuchnięcia głośnym płaczem. Jakże biedną byłam, jak przeraźliwie biedną! Ale byłam przecież tak dobrze wychowana! Zapewniłam młodą parę, że dotrzymam wiernie sekretu i wróciłam do mojego „arystokratycznego” więzienia.

Podczas kilku następnych miesięcy zyskała „edukacja” moja ostatni polorunek dzięki wprowadzeniu mnie w dziedzinę filantropijnych poczynań augsburskiego „dobrego towarzystwa”. Ciotka Klotylda była przewodniczącą najrozmaitszych stowarzyszeń i uważana była powszechnie za osobę niezmiernie dobroczynną. Miewałam już na tym punkcie wątpliwości, ilekroć odprawiano od progu wspaniałego domu biednych ludzi, którym potrzebna była doraźna pomoc, a których odsyłano po nią do różnych związków, bez względu na panujący w nich ustrój biurokratyczny, sprowadzający wszelką pomoc do zera. Ciotka umiała jednak tyle prawić wspaniałych rzeczy o doskonałości augsburskiej filantropii — zarówno komunalnej jak prywatnej — że zachowałam wątpliwości dla siebie, malując sobie najświetniejsze obrazy działalności dobroczynnych stowarzyszeń. Już jednak wzięcie po raz pierwszy udziału w posiedzeniu organizacyi żłobków ukazało mi rzeczy w odmiennem zupełnie świetle.

W dużej sali pełno było bogatych, szeleszczących jedwabiami dam; nie było w ich gronie ani jednej, która nie posiadałaby stałej łoży w teatrze i własnego powozu, gotowego przez dzień cały na jej usługi, — mimo to nie wstydziły się one prowadzić przez kilka godzin rozpraw, w jaki sposób zdobyć paręset marek niezbędnych do rozszerzenia jednego z zakładów. Zdecydowano urządzenie bazaru. Już na powrotnej drodze zaczęła ciotka utyskiwać na związane z całą tą sprawą trudy, przykrości i koszty, na nową suknię, którą musiałam mieć, jako sprzedająca i nowy kapelusz, po który wypadnie pojechać do Monachium. Tyle się nabiadała, że nie powstrzymałam się w końcu od zapytania, czy, zamiast

ponoszenia wszystkich kosztów tych, nie opłaciliby się lepiej każdej z pań rozwiązać kwestyi przez zaofiarowanie 50-u marek, które—wobec liczego grona członkiń — pokryłyby odrazu potrzebną kwotę. Okazało się jednak, że źle bardzo trafiłam. „Nie masz absolutnie pojęcia o wartości pieniędzy” — zauważyła cierpko — jeżeli sądzisz, że można wykładać co chwila podobne sumy. To, co każda z nas wydaje na siebie i swoje toalety — jest jej osobistą rzeczą, na biednych i potrzebujących musi dawać cała gmina”.

Zabierano mnie lub posyłano samą na wywiady. Pewnego razu przyszedłam do biednej jednej wdowy, mieszkającej na przedmieściu i utrzymującej siebie i czworo drobnych dzieci z szycia bielizny. Nie mogąc wszakże dać sobie rady, złożyła prośbę o wsparcie. Wypadło mi przejść przez ciasne, ciemne podwórze, w którego zgęszczonem powietrzu piwnicznym uwijała się gromadka bladych małych chłopców i dziewcząt. Otoczyły mnie z otwartemi ze zdziwienia pyszczkami, gdy zapytałam o panią Hard. „Mama mieszka na trzecim piętrze na lewo — odpowiedział mi wynędniały chłopak o bladej pomarszczonej twarzyczce starca, a siostra jego, której rysy zdawały się mieć równie mało wspólności ze śmiechem, jak podwórze to ze słońcem, zaprowadziła mnie na górę.

Na twarzy biednej kobiety, która wyszła mi tam na spotkanie, wyczytałam wyraźnie ów nerwowo-bojaźliwy wyraz zagnanego zwierzęcia, wryty na obliczach wszystkich ludzi, rozpoczynających każdego ranka z jedną siłą nową wyteżoną walkę o chleb powszedni. Nie przestając wyciągać z mnóstwa sztuk bielizny nitki fastrygi, zapełniających już całą izdebkę, i od czasu



do czasu wskakiwać, aby zajrzeć do stojącego na kominie garnka, z którego rozchodziła się woń złego tłuszczu, opowiedziała mi ona historię swojego życia.

Mąż — malarz — umarł przed kilkoma tygodniami na suchoty. „Cóż to dziwnego w tej ich fabryce na przedmieściu!” Zarząd dał jej jednorazowy stumarkowy zasiłek.

„Niech im Pan Bóg tysiąkroć za to zapłaci” — dodała wzruszona wspomnieniem tego faktu. Mimo wszakże pracę nieustanną nie mogła opędzić najpilniejszych potrzeb. Podczas rozmowy naszej przyszły na górę dzieci, tłocząc się ciekawie a razem bojaźliwie w jednym kącie pokoju. „Z temi dziećmi — to krzyż Pański”, westchnęła matka, „z jednym byłoby pół biedy, ale przy tylu pęka głowa od trosk i kłopotów. Najmłodsze potknęło się w trakcie tego o swoje własne rachityczne nóżki i upadło na stos płótna. Matka uderzyła je rozgniewana po łapkach, wymyślając wszystkim czworgu za jednym zamachem, że tak ciągle łażą jej po piętach i wypchnęła je szorstko do kuchni, upominając, aby nie hałasowali. Serce ścisnęło mi się z litości nad biednymi temi stworzeniami, ciężącemi własnej matce i z całą brutalnością wtajemniczanemi w fakt ten przez nią samą. Gotowa już byłam niezłomnie zrobić sobie pojęcie o braku serca biednej szwaczki, kiedy zaczęła mi ona opowiadać z płaczem, że dla zdobycia lepszego zarobku chodziła przez rok cały do fabryki, gdy wszakże najmłodsze dziecko wypadło podczas jej nieobecności z okna, postanowiła odtąd nie pozostawiać drobiazgu samego. Z obawy, aby im się coś nie, stało zabiera całą czwórkę, ilekroć musi odnieść wykończoną robotę. „Gdyby jeszcze jedno miało mi wypaść z okna na ulicę, sama skoczyłabym za niem”.

Straciłam całą moc panowania nad sobą, — nigdy w przybliżeniu nawet pojęcia nie miałam o podobnej nędzy, — lzy bryznęły mi z oczu. Słaby uśmiech przemknął po wyniszczonej twarzy kobiety; opuściła robotę na kolana i pogłaskała mnie uspakajająco po dłoniach: „Takie dobre serduszko zesłał mi sam Bóg pewnie!” — słowa te ukłuły mnie jak sztyletem: Możliwe-ż to, aby Pan Bóg patrzył spokojnie na taką nędzę?! Co zawiniła ta matka, cóż zawiniły biedne dzieci, że im tak strasznie kazano cierpieć? Po co właściwie żyły, skoro życia ich wcale życiem nazwać nie można? I jak się to stało, że mój los jest tak bardzo różny od ich losu? Płonąc rumieńcem wstydu spjrzałam na moją elegancką suknię, którą zestawić musiałam z wielokrotnie łatanymi, wyrudziałymi spódniczkami dzieci; one zaś w trakcie rozmowy naszej znów przysunęły się do drzwi, aby mnie podziwiać. Poczułam w jednej chwili, że pałą mnie koronki mojej koszuli, której, kto wie, czy nie szyły takie same biedne pokłute palce, jak tej siedzącej naprzeciw mnie wdowy? O, jakże mi wstyd było! Uważałabym w tej chwili za zupełnie słuszne, gdyby dzieci rzuciły się na mnie i zdarły mi z ciała miękką wełnę mojej sukni, a matka włożyła na siebie mój płaszcz. Zamiast tego jednak wpijały się oczy maleństw z wyrazem podziwu w moją postać, a matka wyносиła pod niebiosa moje dobre serce.

Wyjęłam z kieszeni zadrukowany arkusz, aby wypełnić główne pozycye. Mechanicznie zadawać zaczęłam pytania: „Ile pani ma lat?” — „Dwadzieścia sześć”. Spjrzałam na nią przerażona: ta żółta pomarszczona twarz, te przygarbione plecy, ta wyłysiała czaszka, to zagasłe spojrzenie, — i dwadzieścia sześć lat! Ujrza-

łam nagle ciotkę przed sobą, kobietę czterdziestoletnią— i głuchy zdjął mnie gniew. „Ile godzin pracuje pani dziennie?” — „Wstaję co rano o piątej, a kładę się o dwunastej”. — I wszystko to jedynie dlatego, aby wlec nazajutrz dalej nędzny swój żywot!

„Ile zarabia pani tygodniowo?” Sześć marek, a jak bardzo dobrze pójdzie, to i osiem. W gorszym sezonie nie dochodzi często nawet do trzech lub czterech. A przez pięć do sześciu tygodni w roku niema wcale roboty.” — A więc miała biedaczka na wyżywienie własne i dzieci mniej, niż ja na drobne kieszonkowe wydatki, a na same drobiazgi toaletowe wydawałam więcej, aniżeli ona wraz z dziećmi na całkowite utrzymanie!

Nie mogłam dłużej znieść tej myśli. Obraz świata przesunął się w mojej wyobraźni, barwy jego spłynęły w jedną chaotyczną całość, tak, że nie pozostało nic prócz jednostajnej brudnej szarzyzny. Sięgnęłam do kieszeni, i w poczuciu spełniania czynu, daleko bardziej upokarzającego mnie samą, aniżeli biedną kobietę, wysypałam na jej kolana zawartość mojego woreczka, poczem uciekłam jak tylko mogłam najprędzej. Kiedy, mimo wszelkie wysiłki panowania nad sobą, opowiedziałam zdyszana i przejęta o tem, co widziałam, nazwała mnie ciotka „przesadną”. „Jakże możesz oceniać rzeczy jedynie z punktu widzenia doznanych wrażeń osobistych. Biedni nie nawykli wcale do czego innego, zadowoleni też są, kiedy się zaopatruje najniezbędniejsze ich potrzeby. Zbytne rozczulanie się nad nimi najprostszą jest drogą do zrobienia z nich socyaldemokratów”.

Innym razem przyszłam do starego człowieka, którego córka była robotnicą fabryczną. Zapomoga, jaką otrzymywał, nie wystarczała na jego utrzymanie, córka

zaś zapewniała, że z zarobku swojego może oddać bardzo niewiele.

Przyszedszy, zastałam staruszka siedzącego przy oknie schludnego pokoiku. Kaszał nieustannie, palił mimo to jednak fajkę, której dym nieprzeniknionym otaczał go obłokiem. Żądaniu mojemu, aby otworzył okno, oparł się bezwzględnie. „Chory jestem na piersi i nie znoszę przeciągu” — powiedział. Krztusząc się i kaszłąc zaczęłam badanie. Żalił się gorzko na córkę, zarabiającą — jak utrzymywał — „taką moc pieniędzy, ale myślącą więcej o strojach niż o starym ojcu” i chętniej tańczącą „na złotej sali”, niż siedzącą przy nim, który przecież „wydał tę bezwstydną dziewczynę na świat”. W tej chwili otworzyły się drzwi i „Józka” wróciła do domu. Była to niezmiernie szczupła, wysoka młoda dziewczyna z zapadłą piersią, suchotniczymi na policzkach rumieńcami i gorączkowo błyszczącymi oczyma. Pokasływała. „Czy nie mógłbyś otworzyć trochę okna”, — poprosiła po przywitaniu się, „cały dzień nałykam się dość kurzu”. Stary ani myślał wszakże ustąpić, nie przestając ani na chwilę złorzeczyć niewdzięcznym dzieciom — „za moich czasów, nie miały dziewczęta własnej woli. Ale dzisiaj nie szukać już u dzieci szacunku dla rodziców”. Józka poprosiła mnie o przejście z nią dla wypełnienia kwestyonariusza do kuchni. Wszedszy, otworzyła przedewszystkiem okno. Gwałtowny napad kaszlu wstrząsnął wątłą jej piersią, grube krople potu wystąpiły jej ze zmęczenia na czoło. Ośmnaście lat ta dziewczyna pracowała już od czterech lat w wielkiej przędzalni, do której akcyonaryuszów należała moja ciotka, jak o tem dowiedziałam się z gorliwego studyowania przez nią wykazu odnośnych kur-

sów. Zarabiała siedem marek tygodniowo, z czego połowę oddawała ojcu. „Więcej nie mogę, panienko” — dodała ze łzami w oczach — „muszę mieć coś na ubranie, a potem — widziała pani jak mnie kaszel dręczy, i to tak po parę razy dziennie, a pan doktor powiedział, żebym piła dużo mleka, więc też przynoszę sobie w sekrecie przed ojcem pół litra dziennie” — dodała ciszej wyciągając z kąta szafki garnuszek i spoglądając trwożnie ku drzwiom, czy aby ojciec nie miarkuje. „Czyste, dobre powietrze też byłoby mi potrzebne” — powiada pan doktor —” gorzki uśmiech okolił jej usta — „ale widzi pani, jak tu u nas wygląda, a spać muszę też razem z nim”. Co się w fabryce dzieje, o tem panienska napewno nie ma pojęcia — łyka się tam zamiast powietrza samą tylko bawełnę”.

Powróciwszy z tego wywiadu, wyraziłam zdanie, że najlepiej byłoby umieścić starego w szpitalu. Ciotka oburzona była na mój brak serca. „Dziecko musi być przy rodzicach” — zawyrokowała sentencyjonalnie, — „zwłaszcza, kiedy są starzy i chorzy”. Po ponownem „rzeczoznawczem” zbadaniu kwestyi stwierdzono, że Józka bywa co niedzielę na tańcach i zdaje się wydawać sporo pieniędzy na wstążki i błyskotki. Odkrycie to zostało mi zakomunikowane ze wszelkiemi oznakami oburzenia, którego przy najlepszych chęciach podzielać nie byłam zdolna. „I my przecież bawimy się — nie pracując nawet przez cały tydzień”, — zauważyłam naiwnie — „a Józka jest młoda, tak samo jak my, w dodatku biedna i chora — zostawcie jej tę trochę okrasę życia”

Odtąd zabroniono mi odwiedzania biednych. Jedynie na Boże Narodzenie wolno mi było brać udział w ogólnym obchodzie stowarzyszenia żłobków. W dłu-

giej sali wystawione były drewniane stoły, na których porozkładano rozmaite niegustowne wyroby włóczkowe, trzewiki, pojedyncze sztuki bielizny z grubego szorstkiego płótna, trochę pierników i pomarszczonych jabłek; skąpo przyozdobiona choinka wyciągała ku stolowi swoje gałęzie niby szereg wzniesionych błagalnie ramion. Zimnem i czczą pustką, nie zaś wesołym nastrojem świątecznym, wiało z tej sali; przyszła też mi na myśl babunia, która najbiedniejszym nawet umiała miłą zgotować niespodziankę, powtarzała bowiem zawsze z najdobrotliwszym swoim uśmiechem: „les choses superflues sont des choses très necessaires”.

Po jednej stronie stołów tłoczyły się kobiety i dzieci, po drugiej siedziały panie, członkinie zarządu, zaś pod drzewkiem stał pastor Haberland, wygłaszający kazanie świąteczne. Był mi on tego wieczora zupełnie obcy, gdy tak wiele mówił o „Ojcu Niebieskim, nie opuszczającym biednych”, o „prawdziwie chrześcijańskich duszach dobroczynnych ofiarodawczyń”, i o obowiązku „wdzięczności i zadowolenia, ciężącym na obdarowanych”. Po kazaniu nastąpiły śpiewy, a dopiero potem rozdawnictwo, przy którym matki przypominały co chwila dzieciom, aby mówiły: „niech Pan Bóg odpłaci jaśnym paniom”, mimo, że cała gromadka milusińskich pojęcia nie miała dlaczego. Lalka gumowa lub drewniany konik wywołałyby tysiącokrotnie większy zachwyty, aniżeli wszystkie te prozaiczne praktyczności.

Nigdy jeszcze nie spędziłam równie smutnej Wigilii mimo tysiączne światła, jarzące się na olbrzymiej naszej, zapalanej w kilka godzin później, choinie, rozjaśniającej promiennem swem światłem całą wielką jadalnię, a przedewszystkiem stół z rozłożonemi na nim,

schlebiającemi mojej próżności, bogatemi dla mnie darami. Ciotka zauważyła z przekąsem, że jestem „w złym humorze”. Gniewało ją widocznie, że niedość gorąco objawiam moją wdzięczność. W nocy miałam znów gwałtowny napad bólów w boku, tak że nie wiedziałam co jest źródłem łez moich: cierpienie fizyczne, czy też głęboka rozterka duchowa.

Nie mogłam przemódz na sobie odrazy do posiadzeń zarządów, na które przestałam też uczęszczać, pomimo, że usilnie zalecano mi niezaniechanie nadarzonej okazji nauczenia się jak można najwięcej. Tylko nic nie słyszeć i nic nie widzieć z tego piekła, w którym biedacy wydawali mi się potępionymi bez ratunku.

Chodziłam na ślizgawkę, na wieczorki i do teatru, a im więcej znajdowała zadowolenia naturalna moja żądza życia, a próżność moja—nasyceń, tem lżej robiło mi się na sercu. Ilekroć zaś na przejażdżkach z ciotką błękitny nasz powóz unosił się ku przedmieściu po przeze szeregi powracających z fabryk robotników, zamykałam oczy; wyrażona kędyś przezemnie prośba omijania tej okolicy wyśmiana została jako niedorzeczny „sentymentalizm”. Nie otwierając tedy oczu i słysząc tylko głuchy odgłos znużonych kroków oraz bezdźwięczny szmer wielu stłumionych głosów, doznawałam wrażenia, że idę między nimi i widzę mojego sobowtóra, leniwie rozpartego na jedwabnych poduszkach mknącego w dal powozu. Taka mnie wtedy ogarniała wściekłość, że mogłabym była porwać kamień przydrożny i cisnąć nim w twarz dystyngowanym próżniakom.

Gdy zaś, ocknąwszy się z tego snu na jawie, otwie-

rałam oczy i spoglądałam dokoła, padał wzrok mój na obojętne lub zachwycone twarze — zdarzało się nawet, że niektórzy robotnicy zdejmowali przed nami czapki. Odwracałam za każdym razem głowę.

W maju przyjechał po mnie ojciec. Był niezmiernie ucieszony i serdeczny, co z szczerem przyjmowałam uczuciem i wdzięcznością. Siostra jego wychwalała mnie jako produkt jej systemu wychowawczego, nie zaniedbując przy tej sposobności wielokrotnego podkreślenia poniesionych przez siebie trudów i ofiar oraz rzucania krytycznych uwag i aluzji w stronę rodziców, od których dostałam się w tak „opłakany” stan w jej ręce. Nie mogłam zrozumieć, czemu się to dzieje, że ojciec mój, zazwyczaj tak gwałtowny, znosi wszystkie upokorzenia te bez protestu; żyły nabrzmiewały mu, co prawda, na skroniach, milczał wszakże. — Cieszyłam się na myśl o powrocie do domu, o miłości, jaka mnie tam otoczy, o swobodzie, z jakiej będę korzystała, a także o obowiązkach, z których spełniania dużo obiecywałam sobie wewnętrznego zadowolenia. Postanawiałam wymazać postępowaniem swoim z pamięci rodziców wszystko złe, którego przeze mnie doświadczyli. Myśli moje i uczucia były już w domu na długo przed moim tam przybyciem.

Kiedy ostatniego wieczora weszłam na ciche pożegnanie do ciemniejącego parku, dziwnej doznałam wizji. Ujrzałam przed sobą długą ciemną bramę i wysuwający, się z niej zwolna nieskończenie długi sznur ludzi: dziewcząt podobnych do Józki, kobiet, przypominających biedną wdowę i wiele, wiele dzieci o starczo-bezślonecznych twarzach. — Rzuciłam się na trawę, płacząc gorzko. Kiedy po dłuższej chwili wró-



ciłam do pokoju i stanęłam w jasnym świetle lampy, zarzuciła mi ciotka na widok moich mokrych od łez oczu ramiona na szyję.

„Zostań mojem dobrym dzieckiem”, — powiedziała z naciskiem na pożegnanie.

---



## ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Przybyliśmy do Brandenburga oboje z ojcem w piękną księżycową noc majową. Wielka wynajęta kolasa podróżna podskakiwała z głośnym stukiem na wyboistym bruku uśpionego miasta. Kamienny Roland na ratuszu rzucał długi czarny cień na samotną ulicę, wiatr z cicha poruszał listki kołyszących się nad jego głową gałęzi. Cienkie, przejrzyste welony mgieł snuły się nad rozległą płaszczyzną wód rzeki, drżący srebrny promień księżycy przerzynał je wskroś, tak że, rozdzielone na dwie połowy, pochylały się nisko, jak gdyby poruszane niewidzialnymi dłońmi.

Przez wąską bramę wjazdową wtoczyła się kolasa na plac katedralny.

Ciemna i potężna jak twierdza strzelała ku niebu odwieczna świątynia, zdając się przytłaczać cieniem swoim ciasny placyk, okolony jednopiętrowymi domkami, z pod których czerwonych, nisko spadających dachów sennie spoglądały małe szybki okien.

Czuwał tylko największy z tych budynków: jasne smugi światła, lejące się z jego otworów okiennych, rozpraszały cienie nocy; dokoła szeroko otwartych wrót, po nad szarym kamiennym portykiem schodów, wił się wieniec barwnych kwiatów wiosennych, a na najwyższym stopniu ukazała się, niby zbudzona pocałunkiem księżycy do nocnego życia elfów, siostra jednego z nich, drobna, śnieżno-biała postać, której czoło i policzki okalały zwoje złotych loków. Dopiero kiedy ramionka jej zawisły w ciepłym uścisku na mojej szyi, poczułam, że była to ludzka istota, witająca mnie na progu domu: moja siostrzyczka. Niezwykle serdecznie powitała mnie matka. „Nareszcie jesteś w domu” rzekł ojciec, a w słowach tych dźwięczała cała przeżyta tęsknota. Radość z odzyskania domu rodzicielskiego długo w noc zasnąć mi nie dała mimo miękkiego, przytulnego uścisku moich poduszek.

Zerwałam się o świcie. Cicho i sennie różowił się dziedziniec o brzasku dnia, nieme kamienie murów wymownie świadczyły o długiej przeszłości. Na miejscu obecnego domu naszego miał się wznosić zamek książęcy ostatniego z władców wendeńskich, Przybysława, pozostawiającego państwo i koronę Albrechtowi i spalającego na stosie Trójgława, bożka o trzech głowach, na cześć boga chrześcijańskiego. Siedem stuleci złożyło się na wzniesienie świątyni Ukrzyżowanego, i niejedna dzika walka o wiarę i władzę, urągająca misji zwiastuna pokoju i siewcy miłości, wrząc musiała na rozciągającym się u stóp świątyni obszarze. Teraz wiły jaskółki gniazda pod jej dachem, a na placu, na którym rozlegał się przed laty chrzest zbroi i szcęk ostróg, wydziobywały białe gołębie ziarenka,

zaprzepaszczone w bujnym, wyrosłym między szczelinami kamieni, chwaście.

Słońce poranne skrzyło się miljonem złotych iskiełek na błękitnych wodach Haweli, dokoła wyspy Kościelnej, i promieniało wszystkimi barwami tęczy w drżących na łądyżkach traw kroplach rosy. Ogród przy naszym domu, pełen różowych i białych drzew owocowych, ciągnął się aż do pasa nadbrzeżnego.

W sitowiu za białą furtką, stanowiącą wyłom w okalającym ogród murze, kołysała się łódź; zmurzała ławka oparta była o obwita bluszczem ścianę. Tuż obok leżał w trawie, ukryty w gąszczu powoi, mały, pyzaty, wyciosany z kamienia amerek. Bóg wie, od jak dawna już spadł z cokoła i kierował łobuzowskie spojrzenie swoje wprost w niebo. Zdjęta litością, podniosłam go i postawiłam na okrągłe nóżki, wetknawszy mu do piąstki, w miejsce zagubionej strzały, gałązkę bzu. Zdawało mi się, że słyszę jego śmiech wesoly, szczebiotliwy — a może były to tylko wesole głosy ptasząt w zaroślach. Wilgotny, ciepły wietrzyk, niosący zapach świeżo wzruszonej ziemi, owionął mi skronie. To witał mnie maj, ku któremu szły gorące tęsknoty dziewczęcego serca.

Siedem uroczystych uderzeń wybiło na katedralnym zegarze. Nie przebrzmiało jeszcze ich echo, kiedy nagle ożywiło się wszystko dokoła: plac zaroił się chmurą następców dawnych braciszków klasztornych, przeistoczonych — zgodnie z duchem czasu — w uczniów akademii rycerskiej, w jaką zamieniono był klasztor, stojący naprzeciw naszego domu. Wypadło to wszystko pędem na dziedziniec, jeden w drugiego rosłe, tęgie zuchy brandenburskie, których twarde

łby urągały mądrości magistrów, jak czaszki ich przodków—pokojowemu usposobieniu poczciwych mieszczuchów.

Zmieszali się zrazu, spostrzegłszy nową sąsiadkę, po chwili wszakże przyglądać mi się zaczęli z ciekawością i podziwem. Jeden z nich, wysoki blondyn, wyciągnął nagle do mnie z uśmiechem swoją prawicę, ciskając we mnie równocześnie, trzymanym w lewej ręce, pękiem niezapominajek, których pojedyncze kwiatuszki przywarły mi do włosów i sukni. Zanim zdążyłam odpowiedzieć na wonne to powitanie, zawisła mi u ramion moja siostrzyczka, a równocześnie u wylotu placu zabłyśły w słońcu hełmy żołnierskie: orkiestra pułku naszego ojca. Przyszli, aby mnie powitać. Wszystkie te, odegrane przez nich na moją cześć pieśni szczęścia i miłości, żywem rozbrzmiały echem w mojem sercu, a melodie taneczne owionęły mnie upajającą wonią jaśminu, wyczarowując błogie obrazy radosnych upojeń.

Czy zmieniła się tak bardzo od owej pory natura, czy pociemniał blask słońca, czy barwy kwiatów straciły na świetności,—czy też może moje lat siedemnaście stroiło wszystko dokoła w glorię promienną?

Zrana bawiłam się siostrzyczką na placu i w ogrodzie. Z jakim zdumieniem i z jaką wiarą razem otwierała ona szeroko błękitne swoje oczęta, kiedy pokazywałam jej cieniste zakątki, siedziby karzełek lub też kiedy szukać jej kazałam elfów w każdym świeżo rozwartym kielichu kwiatowym! Obładowane wszystkim, co jaśniało i pachniało w ogrodzie i na łące, wbiegałyśmy po białych stopniach schodów do przed-sionka, aby napełnić tam wszystkie wazony i żardinie-

ry, mające przyozdobić całe mieszkanie. Naprzeciw, w oknach akademji, wylaniały się regularnie o tej samej porze liczne głowy chłopięce, pełno było śmiechów, ukłonów i żartów obustronnych. Wkrótce nauczyłam się rozpoznawać tych, którzy przekładali w chwilach wolnych zajęcie posterunku w oknie nad zabawę w ogrodzie szkolnym.

Większość z nich należała do stałych naszych gości niedzielnych, a Fryc, który mnie obrzucił na powitanie niezapominajkami, był moim kuzynem. Nie mógł wciąż jeszcze, mimo swoich lat osiemnastu, uporać się z mądrością szóstej klasy, wążka jego czaszka nie była widocznie siedliskiem największej jego siły. Za to wiosłować i jeździć konno, tańczyć i ślizgać się, umiał jak nikt inny; po mistrzowsku też wdrapywał się na mury i okna, kiedy szło o przedostanie się o wzbronionej porze do naszego ogrodu lub o przyniesienie mi przed świtem kwiatów z pól i łąk. Od dnia mojego przyjazdu pozostawał on na bardziej jeszcze — jeśli to możebne — nieprzyjacielskiej stopie z naukami, niż dotychczas. Wszyscy moi sąsiedzi z przeciwka byli moimi ryerczami, on jeden jednak czynił to z całym oddaniem wiernego swojego serca.

Znosił wszystkie moje kaprysy, i tem wdzięczniejszy był mi za nie, im więcej od niego żądałam. Cierpliwie pilnował mojej siostrzyczki, ilekroć chciałam mieć spokój do czytania; na złamanie karku wdrapywał się na gładkie mury, aby narwać mi róż z ogrodu sąsiada, które wydawały mi się wonniejszemi od naszych własnych; biegł daleko na pola, aby przynieść mi snopy habrów, i, przewiązawszy je zgrabnie jedwabną wstążką, rzucić mi je przez otwarte okno do mojego pokoju;

niejedną też wypadło mu stoczyć walkę z labędziami na Haweli, bardzo bowiem lubiłam stroić włosy girlandami żółtych nenufarów. Wyrzekł się roskoszy potajemnie wypalanych papierosów, aby za wszystkie swoje kieszonkowe pieniądze dostarczać mi ulubionych przeze mnie słodczy.

W niedzielę z rana dawał mu ojciec do dyspozycji jednego ze swoich koni. Zanim jeszcze schodziłam ze schodów, dumnie wlokąc za sobą długi tren mojej amazonki, stał już Fryc, czerwony ze wzruszenia, na dziedzińcu, a dłonie jego, które mi podsuwał pod nogę, pomagając włożyć ją w strzemień, drżały wyraźnie.

W drodze promieniał radością, ilekroć udawało mu się odwrócić ode mnie wybuchy gwałtowności ojca. O ile zazwyczaj trwożliwie unikałam popełnienia jakiejś niezręczności, ściągającej na głowę moją gromy, o tyle w obecności Fryca upuszczałam umyślnie szpicrutę, aby mieć przyjemność obserwowania, jak zręcznie zsuwała się jego młodzieńcza postać z siodła, aby w biegu podnieść moją zgubę i w pełnym też biegu mi ją podać. Jeśli zdarzało się, że przyłączał się ktoś do naszej kawalkaty, drgać zaczynały wyraźnie kąty jego ust, jak u małego dziecka, któremu zbiera się na płacz; bez słowa też zawracał i w pełnym galopie pędził do domu.

Stare miasteczko zapełnione było młodzieżą. Zdaje mi się niemal, że nie było w niem wcale starych ludzi; może wystraszały ich blaski słoneczne, przed którymi zakopywali się, jak krety w ziemię. W kole naszym niewiele było młodych dziewcząt, tem więcej za to młodych ludzi. W pułku mojego ojca byłam je-



dyną swojego rodzaju, rzeczą więc naturalną było, że wszyscy oficerowie składali hołdy córce pułku. Byli to przeważnie synowie kupców berlińskich, którzy wybrali nasz pułk, gdyż gwardja — mimo sutej zapomogi — była dla nich niedostępna, a nie chcieli zbyt oddalać się od rodzinnego miasta. Niejeden z nich trzymał własne konie i starał się pychą i wykwintnym trybem życia zaćmiewać feudalnych towarzyszy z kawalerji. Pułk niebiesko-białych kirasyerów natomiast składał się z przedstawicieli starej rodowej szlachty Brandenburga i Pomeranji, tak, że oba te pułki nie łączyły się dotychczas towarzysko niemal wcale. Jedni bywali wyłącznie u okolicznych obywateli ziemskich, z którymi łączyły ich przeważnie związki rodzinne, drudzy obracali się i tutaj w zwykłym swoim kole kupców i przemysłowców. Wszystko to zmieniło się z chwilą przybycia do Brandenburga rodziców moich. Jakkolwiek duma rodowa ojca czuła się upokorzoną postawieniem go na czele mieszczańskiego pułku, staro-pruskie wszakże pojęcie o godności oficerskiej, bez względu na pochodzenie noszącego mundur i szlify, kazało mu pogodzić się z tym faktem, czynił też wszystko, co mógł, aby pogląd ten zaszcześcić wszystkim towarzyszom broni i odpowiednio ukształtować wzajemne stosunki towarzyskie obu pułków. Nie było to rzeczą łatwą, pycha mieszczańska niemniej bowiem jest zacięta od szlacheckiej, i niejednego z najlepszych obrażać musiała boleśnie świadomość, że pewne stosunki towarzyskie, odpowiadające własnemu jego pochodzeniu, uważane są za niegodne stanowiska oficera. Wyptywający stąd opór życzeniom ojca mojego mocną znajdował jednak przeciwwagę w niedającym

się wykorzeń, pełnem zazdrości uczuciu podziwu, jakie żywi w głębi duszy mieszczanin dla arystokraty, uczuciu, ukrywanemu często pod maską pychy, zazwyczaj wszakże nieznającemu innego celu, jak dostanie się do koła podziwianych, chociażby za cenę upokarzającego zaparcia się samego siebie. Własne nasze zresztą zażyłe przyjacielskie i rodzinne stosunki z szlachtą okoliczną i jej synami, służącymi w pułku kirasjerów, dopomogły ojcu najczynniej do przeprowadzenia jego zasad wychowawczych.

Stała się tedy dzięki nam rzecz niesłychana: konno i powozami, we wszystkich wycieczkach do zamków i dworów okolicznych, na wszystkich piknikach zamiejskich—pojawiał się coraz częściej czerwony kołnierz oficera infanteryi obok jasno-błękitnego kołnierza kawalerzysty. I tylko uważny bardzo obserwator mógł dostrzedz, że pod nieskazitelną gładkością form towarzyskich kryje się głęboka wrogość wewnętrzna. Ta właśnie bez zarzutu grzeczność, z jaką kirasjer traktował małego porucznika z mieszczańskiego pułku, najmocniejszą utrwałała między nimi przegrodę, bezwzględnie zamykającą dostęp do intymnego życia każdego z nich, ta właśnie grzeczność, tak bardzo drażniąca, gdyż zimna jej gładkość uniedostępnia wszelki cień zaczepki.

Ojciec mój włożył na mnie obowiązek jednako uprzejmego traktowania oficerów jego pułku i tamtych. „Nie powinno cię razić, że nazywają się Müllerami, lub Szulcami; noszą wszyscy ten sam mundur, a za mąż nie masz potrzeby. za nich wychodzić!” O, nie, napewno nie! Sama ta myśl wydawała mi się śmieszną! Wyjść za mąż! — W moich rojeniach o przyszłości

zaledwie zdawał mi się najlepszy, najwytworniejszy godnym tej roli! Po co zresztą myśleć o zameźciu, kiedy mam przed sobą całą młodość ponętą i promienną! Szczęśliwa i nie troszcząca się o nic, dałam się unosić miękkim falom podziwu i zachwytu; serce moje drgało nieraz rokosznie na widok niejednego płomiennego spojrzenia, niejednego gorącego uścisku dłoni.

Przebywałam z jednym chętniej, niż z innym, nie myśląc wcale o ukrywaniu moich uczuć, lubiłam bowiem promieniejące wdzięcznością oczy i wyróżniałam ochoczo tego, który najwyraźniejsze składał mi hołdy.

Zachwycona byłam, kiedy niedorostki z akademii rycerskiej dobiegały się o miejsce przy mnie w ogrodzie lub na placu; serce biło mi przyspieszonym tętnem, kiedy jasnowłosy kuzynek gwałtownie chwycił mnie w objęcia przy grze w łapanego; miękkie, słodkie uczucia opanowywały mnie, ilekroć tłoczyło się całe nasze młode grono w łódce, a ręka moja spotykała się w wodzie z dłonią czarnookiego porucznika, najwierniejszego z moich pułkowych rycerzy. Poczucie zwycięskiego tryumfu rozpałało mi krew w żyłach, kiedy kasztanowata klacz moja unosiła mnie mglistym rankiem przez plac mustry, gdzie czerwone promienie wschodzącego słońca złociły stalowe hełmy kirasjerów, gdzie posyłano mi spojrzenia gorące i pochylano przede mną pałasze w hołdzie wymowniejszym stokroć od zwykłego aktu grzeczności.

Pewnego gorącego, brzemiennego w zapowiedź burzy, dnia wyruszyliśmy w licznych wesołych gronie, w umajonych zieleniach i kwiatami powozach do lasu, dokąd zaprosili nas młodzi nasi oficerowie. W jasnych

namiotach pod cienistymi drzewami nakryte były stoły, w głębi stały ustawione strzelnice i kręgielnie, na krótko strzyżonym trawniku odgradzono i okolono teren do tańca. Muzyka przyjęła nas fanfarami powitalną, a Fred, najwierniejszy mój kawaler i najmłodszy porucznik mojego ojca, wręczył mi na spotkanie bukiet przedziwnych róż pąsowych. Nie odstępował mnie ani na krok. Staralam się uwolnić od niego, nie wiem jednak, czy przypadkiem, czy też naumyślnie, pozostawiano nas ciągle samych; nikt, jak się zdawało, nie miał zamiaru współzawodniczyć z moim rycerzem o zaszczyt zajmowania miejsca przy moim boku. Zmęczeni zabawą, rozłożyliśmy się pod drzewami, czerpiąc z wielkich miedzianych kotłów chłodny, pachnący poncz poziomkowy, który nie gasił jednak pragnienia i nie ostudzał krwi, lecz przedziwnie rozpalał ją jeszcze bardziej i rozpędzał zdwojonem tempem po żyłach. Nawpół uwiedła żółta róża wysunęła mi się z za paska — młodzieniec, leżący u stóp moich, pochwycił ją i drżącymi dłońmi poniósł do ust.

Zapadła noc. Girlandy lampionów zawisły pomiędzy drzewami, wysoko ku niebu strzeliły ognie rakiet, jak ucieleśnione gorące pragnienia naszych serc. Coraz tęskniej i rozlewniej dźwięczały tony muzyki. Tańczyliśmy przytuleni do siebie w ciepłym uścisku; z dreszczem rokoszy uczułam serce mojego tancerza bijące przy moim, jego gorący oddech owionął mi skronie. Dałam się bezwiednie unieść w tańcu głęboko w las. Oprzytomniła mnie dziwna dokoła nas cisza. Spojrzałam na mojego tancerza i zobaczyłam dwoje oczu, wpitych we mnie z nienasyconą żądzą.

Bez słowa oparłam się na opasującym mnie ra-

mieniu, i nagle zdało mi się, że tonę w morzu purpurowego ognia; dwie gorące wargi wpiły się w moje w palącym uścisku. Nie zdążyłam zorientować się, co zaszło, kiedy rozległ się po lesie głośny śmiech, tętent koni i trzaskanie z biczy. Zaczęto zabierać się do odwrotu. Na widnokręgu błyskało się groźnie.

Nazajutrz zbudził mnie deszcz ulewny, łomocący w szyby mojego okna. Szary nastrój dnia powszedniego owiewał dom i ogród. Dreszcz wstrząsnął mną, jak zwykle, kiedy budziłam się ze snów do rzeczywistości. W południe powrócił ojciec z biura; groźne jego chrząkanie i ciężkie kroki nie zapowiadały nic dobrego.

„Ładny z ciebie ptak!” — zawołał wchodząc — „romansujesz za naszymi plecami z oficerami mojego pułku i zawracasz im niepotrzebnie głowy. Czy nie masz wstydu, do dyabła?”

Wlepiłam w niego zdumione oczy, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. „Nie udawaj naiwnej” — wrzasnął wściekle. „Wiesz doskonale, o czym mówię. Myślisz może, że pozwolę córce mojej rzucać się na szyję pierwszemu lepszemu kramarzowi!” Ośluśniałam. Czy to możliwe?! Fred miałby się oświadczyć o moją rękę?! „Ależ ja nie chcę wcale!” — wyjąkałam. Uśmiech rozjaśnił posiniałą z gniewu twarz ojca. „Cóż więc u kroćset djabłów wmawia sobie ten smarkacz — zaklina się na wszystkie świętości, że pewien jest twojego uczucia!”

Nie pomogło nic — musiałam wyznać wszystko szczerze. I gdy tak w szarem świetle dnia rozcinać musiałam zimnemi, niby ostrze noża, słowami,—słodki, upajający sen nocy, opanował mnie głęboki żal do człowieka, którego nieopatrznie pośpieszne działanie znie-

woliło mnie do tego kroku. Pocałunek w noc lipcową— i zaraz z rana przychodzi, obciśnięty, w mundur galowy, i chce pojąć mnie za żonę — na całe długie życie!

„Nie całujesz, jak się nie chce wychodzić za mąż!” — zauważyła matka moja tonem karcącym, kiedy minął już pierwszy gwałtowny wybuch gniewu ojca.

„Wyjść za mąż — za takiego obcego człowieka!” — zaprotestowałam.

Słowa moje wywarły skutek zgoła nieoczekiwany: ojciec wybuchnął śmiechem tak niepowstrzymanym, że aż w końcu grube łzy kapać mu zaczęły po policzkach. Tegoż wieczora przyniósł mi w prezencie złoto-żółtą parasolkę, którą pragnęłam posiadać od dawna.

Chcąc przeciąć wszelką możliwość robienia na moje conto plotek, zażądał ojciec od odpalonego konkurenta, aby zachowywał się nadal tak, jak gdyby nic absolutnie nie zaszło.

Fred poddał się temu, ale w sposób, prowadzący do wyników wręcz odwrotnych: jego ponuro zasepio-na twarz, z jaką wstępował w progi naszego domu, i wyraźne lekceważenie, jakim mnie karał, daleko więcej zwracały uwagi, aniżeli byłaby zwróciła nieobecność jego w naszym domu. „Dałaś Fredowi odkosza!” zawołał któregoś dnia kuzyn Fryc z promieniejącą miną.

Nazajutrz ćwierkały już o tem wszystkie wróble na dachach. Wierni poczuciu solidarności, cechującemu pruskiego oficera i górującemu nawet nad cnotą posłuszeństwa zwierzchnikom, stanęli towarzysze Freda odrazu po jego stronie i rozmawiali z córką swojego komendanta o tyle tylko, o ile najściślejśza wyma-

gala tego konieczność; tak samo też tańczyli z nią tylko tańce obowiązkowe. Gdybym nawet usiłowała była przełamać ten bojkot, byłaby zwarta rzesza przeciwstawiła się wszelkim z mojej strony zakusom zdobywczym. Wcale jednak nie starałam się o to; zdjęła mnie złość bezgraniczna nie dla tego, że utraciłam adoratorów, lecz w poczuciu doświadczonej po raz pierwszy niesprawiedliwości, z jaką traktowano płćć moją w porównaniu z płććią męską.

Pewnego razu zdarzyło się, że gdy jeden z oficerów pułku mojego ojca poprowadził mnie z „obowiązku” do stołu podczas proszonego obiadu i zanudzał mnie przy nim śmiertelnie, zbliżył się do mnie z uśmiechem stary major, okazujący mi zawsze szczególną sympatyę.

— „Musisz się do tego przyzwyczaić, moje dziecko” — rzekł tonem serdecznym, — „kobieterya jest złą bronią, która zawsze mści się na używających jej”.

— „Kobieterya?! Ależ ja wcale nie kokietowałam!” — zawołałam, czując potrzebę wypowiedzenia się raz wreszcie, „lubiłam go, bardzo nawet lubiłam, ale nie do tego stopnia, aby zostać jego żoną”.

— „Młoda dziewczyna nie powinna nigdy posuwać rzeczy do tego stopnia.”

— „Jeśli nie zamierza wychodzić za mąż” — przerwalam zacnemu staruszkowi, którego zaostrzone koniuszczki wąsów drgać zaczęły. — „O znam tę melodyę, i dla tego wiem, że cała muzyka jest fałszywa, z gruntu fałszywa! Dlaczegoż ma się kobieta zaprzepaszczać odrazu duszą i ciałem za to tylko, że była dla jednego uprzejmiejszą, niż dla innych? Dlaczegoż ma mieć

prawo do jej ręki ten, kto podobał jej się pewnego pięknego lipcowego dnia?

— Czy wymagasz pan tego samego od pańskich oficerów, którzy niejednej biednej dziewczynie kazali wierzyć w szczerłość swoich uczuć, stwierdzanych zupełnie innemi jeszcze dowodami miłości?!

„Ależ, łaskawa pani” — przerwał major z miłą zrozpaczoną mój potok wymowy, prostując się sztywno tak, że łysa jego czaszka dosięgła końca jego nosa. Jego małe, blado-niebieskie oczki wyraziły przytem tyle komicznego przestachu, że oburzenie moje przysło wobec śmiechu, od którego nie mogłam się powstrzymać.

— „Uspokój się, staruszk—wyciągnęłam ku niemu na przeprosiny rękę, — gdy będę taka stara, jak pan, będę napewno tak samo moralna!” Zgorszony, nie przyjął podanej dłoni.

Cóż to mnie obchodziło?! Niech wszyscy udają obrażonych! Ojciec mój mylił się najwidoczniej: jednaki mundur nie czyni ludzi równymi! Kirasyerzy nie tylko lepiej tańczyli i jeździli konno, byli też weselszymi partnerami w grze z ogniem, — jedynej, którą uprawiałam z wzrastającym ciągle zapalem, w miarę wzrastania związanego z nią niebezpieczeństwa i coraz wyższego podnoszenia stawki. Jak ptak drapieżny z rozpostartemi czarnemi skrzydłami szybowała fantazyja nad zielonemi, kwietnemi łakami mojego życia. Miałaby ona dość mocy do uniesienia mnie na wyżyny, gdzie byłabym objęta nad nią panowanie; wytresowano mnie jednak tak dobrze do lęku przed takim wzlotem, że teraz czyhała nienasycona i żądna



zemsty na łup codzienny, ja zaś musiałam poddać się jej władzy.

Nie znosiłam jednostajnego biegu życia powszedniego, musiało ono przyśpieszone być dla mnie do gorączkowego tempa, lub też zagłuszone fanfarami radosnego upojenia. Zmuszona do pełnienia obowiązków domowych, radziłam sobie z ich nużącą czczością, starając się osnuwać ją kwiatami; gdy bawiłam się z siostrzyczką moją, zamiast zniżać się do jej dziecięcego poziomu, roztaczałam przed nią przepych fantastycznych moich rojei. Nie wystarczało mi krótkie, niewinnie zaimprovizowane kręcenie się po posadźce w tańcu,—musiało to być zawrotne, namiętne wirowanie aż do upadłego. Godzinka o brzasku dnia na koniu zaostrzała jedynie moją żądzę dzikich skoków przez rowy i płoty.

Zdaje mi się, że ojciec mój z niczego nie był tak dumny, jak z mojej jazdy konnej, stanowiącej wynik jego własnego talentu nauczycielskiego, nigdy też nie był tak skłonny do ustępstw, jak wówczas, kiedy życzenia moje o tę zatręcały dziedzinę. Towarzyszyłam mu z samego już rana, a po obiedzie wolno mi było znów kazać sobie siodłać moją klacz albo kasztanowatego ogiera z białą gwiazdką na czole i delikatnymi, strzygącymi na najłżejsze zawołanie, uszami, wrażliwego na każde ściągnięcie uzdy i sadzącego przez rowy i płoty, niby strzała naciągnięta pewną dłonią, Prawie zawsze doznawałam przy jeździe konnej dawnych bólów w prawym boku, tak dokuczliwie wzmożonych w Augsburgu, ale rokosz, jaką mi dawały przejażdżki, zniewalała mnie do znoszenia bólów w milczeniu, chociaż nieraz z zaciśniętymi kurczowo zębami. Na sio-

dle czułam się wolną; jak nogi moje nie dotykały pyłu ulicznego, tak samo dusza moja bujała zdala od wszystkiego, co szare, brudne i przyziemne. Nigdy nie czułam się dobrze w Marchii, ilekroć jednak miękki jej piasek ustępował pod naciskiem podków mojego wierzchowca, tak że jazda na koniu przeistaczała się w lekkie kołysanie, a pola i lasy nieskończoną niemal ciągnęły się przede mną linią, tworząc cudowną drogę do wyciągniętego galopa — kochałam cały ten kraj, brałam go niejako w posiadanie, marząc, że jestem panią ziemi, przez którą sadził mój kasztanek.

Poczucie swobody i władzy znane jest w całej pełni jeźdźcy jedynie i dla tego była jazda konna z dawien dawna przywilejem panów. W pocie czoła, ciężko pracując mięśniami jak niewolnik, pcha cyklista naprzód stalowego swojego rumaka; tylko na dobrze utrzymanych, szerokich drogach pędzić może z dymem i łoskotem samochód, gdy jeździec cicho daje się unosić po przez gąszcze leśne, a szlachetne pod nim zwierzę w niczem nie przeszkadza mu spokojnie rokoszować się pięknnością natury. Gdy nęci go dal, gdy chce wypróbować swoje siły, aby przed samym sobą złożyć świadectwo swojej odwagi, wystarczy lekki ucisk ostrogi, aby wszelkie przewyciężyć przeszkody. On to właśnie jest mistrzem wolnym, silnym, gdy tamci tylko biednymi wyrobnikami, zależnymi od swoich maszyn, podwładnymi im. Galopowaliśmy często daleko, aż do Ratenowa, gdzie dziki Rozenberg kształcił swoich huzarów na skończonych mistrzów konnej jazdy, a sam, pomimo wina i morfiny, nie dał się żadnemu prześcignąć uczniowi, lub też w kierunku zachodu do niebieskich jezior Haweli, gdzie wycieczkowicze

berlińscy niejednokrotnie psuli dobry nasz humor. Człowiek, posuwający się naprzód na własnych nogach przyrodzonym jest nieprzyjacielem każdego, mającego pod sobą cztery końskie kopyta; najsurowszy ojciec przygląda się bez gniewu, a nawet z pewnego rodzaju tajonem zadowoleniem, swojej latorośli, ciskającej kamykami za jeźdźcem lub też wystraszającej i płoszącej wierzchowce dzikim niehumanym wrzaskiem. Niezapomniana jest po dziś dzień dawna jednoznaczność rycerza i jeźdźca i podświadomie tai się jeszcze dalekie wspomnienie raubrytterów, potęgujące nienawiść dla mknących konno ich potomków.

Późną było to jesienią, jednego z słonecznych dni październikowych, kiedy buki jaśnieją całym przepychem złoto-purpurowych swoich liści, a ciemne sylwety drzew iglastych odcinają się fantastycznie na przeczonym błękitnie nieba. Towarzyszyło nam kilku rateńskich huzarów; próżność podnieciła mnie do pokazania im całej mojej sztuki konnojezdycznej. Ścierniska otwierały wolną drogę; żadna na niej przeszkoda nie była mi obcą. zaproponowałam też, abyśmy urządzili wyścigi do starego dębu w plauenkim lesie.

„Nagrodą będzie wualka z kapelusza pani” — zawołał ze śmiechem jeden z panów. „Zapominasz pan, że to ja będę zwyciężcą” — odpowiedziałam, odwracając dumnie w tył głowę i poklepałam kasztankę zachęcająco po giętkim karku. „W takim razie może pani śmiało żądać korony chińskiej cesarzowej” — zadzwiał inny. Ruszyliśmy galopem. W zwartym szeregu przesadziliśmy pierwszy rów — i już byłam o pół długości konia na przedzie, tuż za mną karosz mojego ojca, pędzący błyskawicznie pod lekkim ciężarem kuzyna Fryca.

Przesadziłam jeden i drugi płot. Byłam sama. Krzyknąć chciałam w poczuciu blizkiego zwycięstwa— ale dźwięk zamarł mi w krtani, — ostry ból przeszył moje ciało; bezwiednie wpiłam ostrogi w brzuch kasztanka.

Zaskoczony tą niezasłużoną krzywdą, stanął wysoko dęba, aby w następnej zaraz chwili ponieść w szalonym tempie naprzód. Każdy skok wzmagął z nie-ludzką siłą moje bóle, pociemniało mi w oczach — wisałam już tylko na siodle. Nawpółprzytomna ujrzałam tuż przed sobą wielką siniejącą płaszczyznę toni wodnej: jezioro Plauieńskie. Zajęczało coś we mnie jak błaganie: ponieś mnie, wierny mój koniu, do tej głębi — byleby ukończyły się prążące ciało bóle piekielne!... Nagle zdało mi się, że rozstępują się pode mną fale...

Wyciągnięta na trawie, zbudziłam się z omdlenia i ujrzałam pochyloną nad sobą wylękłą twarz kuzyna Fryca. Oczy jego pełne były łez, tłumione prę-mocą łkanie dławilo jego głos, kiedy zawołał: „Żyjesz,— Bogu dzięki — żyjesz!” Gdy nadjechał ojciec mój, byłam już na nogach, nadludzki czyniąc wysiłek, aby możliwie spokojnym powitać go uśmiechem.

Powóz, sprowadzony z zamku Plauieńskiego, przy-wiózł mnie do domu. Zawezwany natychmiast lekarz położył szpryczką morfiny kres moim męczar-niom.

Od tej chwili upływało życie moje pomiędzy łóż-kiem a łóżkiem. Najmilszem miejscem mojem był kącik przy murze pod krzakiem bzu, który kwitł tak pięknie w maju, w porze przybycia mojego do domu.

Mały amerek stał jeszcze wciąż wyprostowany na tłustych swych nóżkach, tylko ptaki nie świergotały już w gęstwinie liści winnych, pomalowanych szkarłatnie przez jesień. Leżałam pod nimi, patrząc w niebo i wsłuchując się w szelest opadających liści. Kuzyn Fryc siadywał stale przy mnie, gotowy do spełniania wszelkich moich życzeń i poleceń, — zdaje mi się, że musiał w tym czasie zupełny wziąć rozbrat z nauką.

Lekarz odwiedzał mnie dwa razy dziennie, przynosząc upajającą truciznę, za którą coraz gwałtowniej tęskniłam, dawała mi ona bowiem słodkie, czarowne godziny sennego odurzenia, podczas których ciało stało się coraz cięższem, a duch coraz lżejszym. Czułam że urasta on do nadziemskich rozmiarów, rodząc przypływ nowych potężnych sił, umożliwiających mi stanięcie do zwycięskiej walki z całym światem. Widziałam się znów zbrojną w żelazny pancerz, jak niegdyś, gdy marzyłam, że jestem Dziewicą Orleańską, wstydząc się zarazem bezcelowej, pstrej zabawy, której się oddawałam. Przychodziły też i inne sny kojące lub napędzające gorące fale krwi do twarzy: w takich chwilach pozwalałam chłopcu, siedzącemu obok mnie, okrywać pocałunkami moje dłonie i prawić mi niestworzone rzeczy o żarze jego dla mnie miłości.

„Pozwól mi, abym cię kochał i aby mi wolno było mówić ci o tem” — błagał — „niezadługo nie będę cię już mógł widywać jak teraz, coraz będziesz mi dalszą i dalszą, bywającą damą, a ja — niedorostkiem — uczniakiem!” Z jękiem tulił głowę do fałd mojej sukni, aby w chwilę później zerwać się i, patrząc na mnie rozpalonym wzrokiem, wołać: „Ale kochać będę cię zawsze!”

„Zawsze?!” — Czy jedna jedyna burza jesienna nie obali małego amorka na ziemię?—Uśmiechałam się boleśnie. Wietrzyk wieczorny wiał chłodem od rzeki, którą zaczynały już zaścielać mgły. Drżąc z zimna, tuliłam się szczelniej w mój miękki, puszysty szal.

---

## ROZDZIAŁ ÓSMY.

„A teraz zaśnie” — — usłyszałam nawpół już senna zwrócone do matki słowa doktora, podczas, gdy cicho zamykały się za obojgiem drzwi. Od czterech dni wiłam się w bólach, nieustępujących nawet pomimo zastrzykiwań morfiny. Dzisiaj wreszcie zachloroformowano mnie. Chciwie wchłaniałam pod maską z gazy słodką woń ogarniającego mnie coraz bardziej upojenia. Leżałam ciężko, jak gdyby skuta kajdanami na mojem łóżku — bez bólu, ale i bez snu.

Słabe, różowe, migocące światełko szło od stojącej obok mnie lampki. Żółte liście tapety drgały i chwiały się na wszystkie strony — zrazu zwolna, potem coraz szybciej, szybciej — głowa zaczęła mi kołować. Zamknęłam oczy. Boże! jakże byłam znużona! — Nagle rozwarły się drzwi i coś wielkiego, białego, zimnego wtoczyło się przez nie; jakieś wielkie, bezbarwne, jakby księżycowe oczy spojrzały na mnie, — coraz inne

wypływać zaczęły ze mgieł, nabiegłe krwią, ziejące z wykrzywionych bólem twarzy, głodne, chciwie szukając żeru, — namiętne oczy, w których drgały małe czerwone płomyki. Słysząc było przytem szelest mnóstwa sukien i tupot niezliczonych kroków... Ściany rozsunęły się pod napierającą, tłoczącą się ciżbą potwornych widziadeł... Stała teraz tuż, tuż przede mną biała upiorzyca z księżycowemi oczyma, a dłoń lodowata, ciężka jak z żelaza legła na mojem sercu...

„Królowa Mab” — krzyknęłam, gdy w tej samej chwili usiadła już ona na mojem łóżku, a palce jej wwierciły się w mój bok... Nie mogłam jej odepchnąć; leżałam skuta w kajdany.

Zawziętą toczyć zaczęłyśmy walkę w ciągu szeregu dni, tygodni, miesięcy... Młodość moja zwyciężyła... Nadeszły ciche chwile, kiedy śnieżne płatki zwolna padały przed mojami oknami i kiedy od czasu do czasu tylko dochodził zdala do uszu moich dźwięk głośniejszy: tupot koni w stajni, bicie zegara wieżowego lub wesoly śmiech małej Elżuni.

Po długich wątpliwościach i błędzeniu po omacku dowiedzieli się nareszcie lekarze, na czem polegało moje cierpienie: zapalenie nerek, które mnie położyło na łożu boleści, stwierdzone zostało przez wszystkich. Kazano mi leżeć w łóżku bez ruchu i wówczas jeszcze, kiedy oddawna już przestała mnie nawiedzać biała postać z księżycowemi oczyma. Zamiast ostrych jej palców, wiercących w mojem sercu, wświdrowało się wiele zimnych myśli w mój mózg.

Gdzie byłam? Czy nie uspił we mnie narkotyk lekkomyślności wszystkiego, co dobre i silne? Czy nie sprzeniewierzyłam się wszystkim moim nadziejom dzie-



cięcym? A może one mnie?! Tańczyć, jeździć konno, igrać sercami, jak piłkami, pieścić od czasu do czasu siostrzyczkę, przystrajać trochę dom, — czyż miało to wypełnić całą treść życia? Czyż nie byłam stokroć bogatszą wówczas, kiedy, jako sześćioletnia dziewczynka, marzyłam o staniu się Dziewicą Orleańską, aniżeli dzisiaj, po upływie lat dziesięciu? Znacznie bogatszą wówczas, kiedy wznosiłam świątynię mojemu bóstwu? Odkopywać zaczęłam, odkopywać bez wytchnienia zasypaną głębię mojej duszy. Zamorzona głodem, przyczaiła się ona w najciemniejszym kątku, szara, bezbarwna, biedna moja dusza. Jakże biedną, byłam, jak nędzną! Gdzież był cel mój, wart aby walczyć o jego osiągnięcie? Gdzie wielki płomień, który mógłby rozdmuchać znów ciemne popioły mojego życia?!

Szczupła, blada twarz w obramowaniu czarnych koronek pochylila się nademną: „Babuniu” — szepnęłam i w tej samej chwili wydało mi się, że we drzwiach mojego pokoju staje nadzieja, prowadząca do jasności. „Cicho, moje kochanie, leż cichutko” — rzekła z uśmiechem. Na czoło moje spadła łza, łza radości.

Zę zwykłą sobie obowiązkowością, nie licząca się z siłami, pielęgnowała mnie matka dniem i nocą: Babunia przyjechała, aby ją zastąpić. Ona też, jak zawsze, ilekroć szło o dobro dzieci, dostarczyła środków, które miały mi pomóc do odzyskania zdrowia. Kiedy lekarz zaordynował przeprowadzenie kuracji w Karlsbadzie, wiedziałam dobrze, dla czego mama zacisnęła wargi, a ojciec niespokojnie pochrząkiwał: wszystko, co posiadali, pochłaniały potrzeby codziennego życia.

Pojechałam więc, jak tylko siły moje na to pozwo-

liły, do Karlsbadu z babką, która sama wielokrotnie zawdzięczała wodom tym uzdrowienie. Stary jej lekarz, do którego mnie zaprowadziła, pokiwał nade mną swoją wielką głową opastego mnicha, osadzoną na karlim, zakończonym cienkimi nóżkami, tułowiu. — Tylko wstrząśnienia moralne, o ile nie wiek podeszły, prowadzą do podobnych kataklizmów ciała” — pytający wzrok, rzucony z małych błyszczących oczu, skierował się na mnie.

„W jakim wieku jest właściwie wnuczka pani?”

„Siedemnaście lat!”

„Siedemnaście lat!” Zerwał się z krzesła i przemierzył pokój małymi pośpiesznymi krokami, przy czem okrążyła jego głowa kiwała się nieustannie w ruchu wahadłowym.

„Zawód miłosny?!” Wzrok jego wpił się we mnie badawczo. Uśmiechnęłam się przecząco i milczałam. Czy byłby zrozumiał innego rodzaju cierpienia, gdybym mu je była nawet wyjawiała?

Z pełną taktu powściągliwością, unikającą wszelkiego nacisku na wydobycie zwierzeń z osoby najbliższej nawet, nie badała babka dalej, a ja, nieprzywykła do wypowiedania się, obawiałam się tego niemal. Na rannych jednak przechadzkach naszych po wygodnych drogach w pachnącym lesie jodłowym, ustrojonym w świeże pędy wiosenne i dotykającym wierzchołkami miękko falującej linii gór, po których łatwe chodzenie daje choremu uludę odzyskanych sił, owiewało mnie łagodne, kojące powietrze wiosenne, i wówczas lękliwie, niepewnie, same cisnęły mi się na usta pytania i zwierzenia.

„Nie mogę wierzyć, babuniu,” — rzekłam razu pe-

wnego w odpowiedzi na słowa jej o zdobyciu spokoju duszy przez wiarę. Siedziałyśmy właśnie pod wielką starą sosną, na której sterczał, stoczony przez burze i wiatry, obraz Matki Boskiej, zdającej się panować nad całym w tej stronie lasem.

„Nie tykaj żadnych kwestyi religijnych, lecz działaj w duchu Chrystusowym, pełń twoje powinności, służ ludziom, zwalczaj złe w sobie skłonności i pielęgnuj dobre, a wtedy zrodzi się wiara sama przez się w sercu twojem i zyskasz prawdziwy spokój wewnętrzny.”

Milczałam, rysując mechanicznie koła na piasku końcem parasolki. Czyż drzewo, stojące przede mną, nie rozrosło się tak potężne kosztem tych, którym odebrało słońce, których pokonało w walce?

Wydało mi się ono wcielonym protestem przeciw wrosłym już niemal w korę jego obrazem Madonny z włócznieami, przesywającemi serce.

Obruszyło się coś we mnie na dobrą, siedzącą obok mnie staruszkę. Rozpraszać siły moje na drobne, codzienne ofiary, czyż to nie równało się ostatecznie samobójstwu? Nadto nie uśmiechał mi się wcale wskazany cel, nie pragnęłam spokoju, chciałam walki i głośnego, pieniącego się życia. Zbrakło mi jednak odwagi do wypowiedzenia myśli moich, zapytałam też tylko nieśmiało: „A szczęście, babuniu?”

Uśmiechnęła się, i drobniutka, bolesna zmarszczka zarysowała się między jej brwiami.

„Szczęście! — Siedzimy zawsze za młodu niby przed kurtyną, w którą wpatrzeni, oczekujemy czarownego obrazu, z chwilą, gdy zostanie ona odsłonięta. Omiłamy tymczasem prawdziwe dary szczęścia, jakie

sieje dokoła nas życie: miłość otoczenia, dary ducha, kwiaty wiosenne i słońce letnie. Otwórz tylko oczy i wyciągnij ręce, a będziesz je miała.”

„Czy to wszystko?”

„Nie, dziecińo”, — odparła babka z uroczystą powagą, „będziesz żoną i matką, doświadczysz miłości i trosk tysięcy. A wówczas dowiesz się, że niosą one z sobą i dają więcej miłości, aniżeli danem ci było tego, co się zwie szczęściem.”

Poszłyśmy dalej. Walczyłam ze łzami. Przyszła mi na myśl matka moja: spełniała ona aż do ostatniego wysiłku swoje obowiązki, a wargi jej zaciskały się coraz szczelniej, jak gdyby chciały zdławić kurczowo udrękę, gotową wybuchnąć na zewnątrz. Pomyślałam też o wuju Walterze i o niezapomnianym dla mnie gwałtownym jego wybuchu w scenie z matką w Berlinie; o wszystkich dotkliwych upokorzeniach i przykrościach, jakie ta dobra zawsze, święta kobieta zność musiała od swoich dzieci. Wiedziałam, że i ona żyła, kochała i do niebosiężnych dążyła wyżyn, a oto jaki był ten zalecany przez nią koniec, jaki wynik wszystkich pragnień, wszystkich gorących nadziei, je-dyny owoc, zrodzony z kwitnącego drzewa życia, z tylu talentów, z tylu sił zmarnowanych!... Dreszcz mnie przejął, kiedy zestawiałam swoje życie z tamtem. Odczułam boleśnie okropną przepaść między zrównoważoną jej starością i moją szamocącą się młodością. Miłość i cześć, a nawet życzliwe pojmowanie się wzajemne, mogą łączyć jedną i drugą, wzajemnie silnie na siebie oddziaływać, brak jednak między niemi magnetycznych prądów, bez których nie może być mowy o wzajemnem żywym odczuwaniu najsubtelniejszych, naj-

głębszych poruszeń duszy. Na drodze ku wyżynom zawrotnym nie może starzec dotrzymać kroku młodzieńcowi, okrucieństwem też jest, gdy go do siebie przykuwa, stokroć wszakże większem względem samego siebie jest okrucieństwem, kiedy młodość usiłuje pokonać swoje popędy i dobrowolnie ulega starości. Rozdział — nawet za cenę zadanych ran bolesnych — nieodzownym jest warunkiem życia.

Opanowywanie siebie, poddawanie się — było kwintesencją mojego wychowania, zarówno jak wychowania wielu innych rówieśnic moich. Dla tego też wstydziłam się mojego wewnętrznego oporu, nie mówiłam o nim i próbowałam zdławić go siłą dojrzałego rozumu, czerpanego z zewnątrz.

Babka nie wymagała tego, co prawda, ode mnie: dzieliła się ze mną tylko swoim doświadczeniem, zawsze bowiem odczuwała potrzebę darzenia innych wszystkim, co zyskała w życiu najlepszego. Młodą roślinkę zbyt łatwo wszakże zatapia ciepła fala wiosennego deszczu, która dla silnego drzewa jest źródłem bujnego życia.

W miarę odzyskiwania przeze mnie zdrowia, zaprzestawałyśmy coraz bardziej dotychczasowego unikania ludzi. Stopniowo wytworzyło się też bliżkie nam koło krewnych i znajomych, z których niewielu jednak tylko należało do stałego naszego towarzystwa, asystującego nam na dalekich naszych spacerach. Jednego ze stałych naszych towarzyszy przechadzek poznałam jeszcze w Augsburgu: był nim baron Franciszek Stauffenberg, będący w owym czasie osławioną i unikaną w naszych sferach osobistością z powodu ostro opozycyjnego stanowiska, jakie zajął w stosunku do

polityki socjalnej Bismarka. Fakt, że on, posiadacz wielkiej własności ziemskiej, był stronnikiem wolnego handlu, że on, arystokrata, zbliżył się do partji postępowej, zrobił go „niemożliwym”.

Babunia stała ponad podobnemi przesądami. Inteligencya i wykształcenie pociągały ją zawsze, bez względu na to, w kim je znajdowała, zaś Stauffenberg należał specjalnie do coraz rzadszego gatunku osób, które mogły jej przypominać młodość spędzoną w Weimarze, gdzie praca zawodowa nie pochłaniała w zupełności ludzi, a wielostronność zainteresowań życiowych otwierała bogate pole dla stosunków towarzyskich wyższego poziomu.

Stauffenberg unikał nawet mówienia o polityce, żywy natomiast biorąc udział w każdym innym poruszanym temacie. Żadna z dziedzin życia umysłowego nie była mu obcą. Nigdy jeszcze nie wydawałam się samej sobie tak małą i tak nic nie umiejącą, jak w obcowaniu z nim. Zeszli się oni oboje z babunią w specjalnem umiłowaniu literatury angielskiej; objały się przy tem o uszy moje nazwiska, rozpatrywane były prądy umysłowe, o których nigdy jeszcze nie słyszałam: Robert Browning, Ruskin, William Morris.

W osiemdziesiątych latach nie umiano szukać sztuki pięknej poza muzeami; stosunek do niej większości był taki sam jak do religii: kończył się po za drzwiami galeryi i kościołów. Nikomu w kołach naszych nie przychodziło nawet na myśl, że sztuka i życie mogą być jednym. Do zlania się ich wzajemnego konieczna jest pewna łatwość egzystencyi, odziedziczony po przodkach z kilku pokoleń dobrobyt. Prusy nie miały kultury artystycznej. To czego dowiedziałam się o Ruskinie,

a zwłaszcza o Morrisie, wyczarowywało w myśli mojej obrazy fantastyczne: wiek Peryklesowy, Florencyę Medyceuszów!...

Rzeczywistość pełna nędzy, niesprawiedliwości i brzydoty, przeciwstawiona przez babkę tym cudom, zbudziła mnie szorstko z moich snów. Tak wiele, tak strasznie wiele—utrzymywała ona—jest do czynienia, aby umożliwić całym zastępom ludzi nagie tylko istnienie, że wydaje jej się karygodnym budzenie potrzeby piękna tam, gdzie nie są nasycone najniezbędniejsze nawet potrzeby pożywienia i dachu nad głową. Czarowne obrazy, stworzone przez wyobraźnię moją, pierzchały odrazu przed odczuciami mojego serca, przyznającami bezwzględna słusność rozumowaniu babki. I wówczas jeszcze nawet stałam po jej stronie, kiedy, z tego samego wychodząc założenia, broniła polityki socjalnej Bismarka, przyczem podniecenie, z jakim przeciwstawiała się argumentacyi Stauffenberga, zdradzały słabe rumieńce, ożywiające subtelną, koloru kości słoniowej, bladeść jej policzków. Nad tem, jak utrzymywał Stauffenberg, że polityka ochronna unicestwiałaby możliwe korzyści prawodawstwa zabezpieczającego, rozmyślałam tem bezskuteczniej, że terminologia ekonomji politycznej równała się dla mnie hieroglifom. Nie miałam odwagi pytać; trzeba być prawdziwie wykształconym, aby przyznać się do niewiedzy.

Zbyt wielką była zresztą moja potrzeba czczenia bohaterów, ażebym szukać pragnęła sposobów odarcia Bismarka z gloryi boskości. Po tej rozmowie nie tykało już nigdy prawie polityki.

Jedna z broszur przyrodniczych, wydawanych masami w pierwszych miesiącach po śmierci Darwina,

naprowadziła rozmowę na wielkiego tego badacza. Nic nie mogło wprawić mnie w większe zdumienie, aniżeli to, że człowiek tak poważny, jak Stauffenberg, którego wiedzę tylokrotnie podziwiałam, nietylko bronił go, ale nadto brał zupełnie na seryo wyniki jego badań. Zazwyczaj wszakże śmiano się szyderczo na sam dźwięk jego imienia, a teoria jego, według której mieliśmy jakoby pochodzić od małp, dawała jedynie powód do niezliczonych dowcipów i karykatur. Nadto, mnie osobiście, której wykształcenie przyrodnicze równało się zeru, brakło niezbędnego aparatu naukowego do samoistnego myślenia. Babuni działało się pod tym względem niewiele lepiej: za jej, podobnie jak za moich, czasów, dawano kobietom wykształcenie wyłącznie literackie. Dlatego też miewał Stauffenberg dla nas całe wykłady, wprowadzające nas w świat pojęć darwinowskich, tonem lekkiej gawędy, jak zawsze, a jednak w sposób tak przedziwnie jasny i myślowo pogłębiony, iż żadna książka nie mogłaby nam lepiej udostępnić istoty rzeczy. Babka była niezwykle cicha i zamyślona po takich rozmowach, powtarzając tylko to samo wciąż pytanie, na jakiej podstawie przeciwstawiali się przeciwnicy Darwina jego poglądom. Stopniowo dopiero rozjaśniły się znów jej rysy, i razu pewnego rzekła z właściwym sobie, opromieniającym całe jej oblicze, uśmiechem:

„Zmusił pan, baronie, mnie, starą kobietę, do zawahania się na dotychczasowej mojej drodze. Ale teraz tem pewniej po niej stąпам. Wyczułam we wszystkim, co pan mówiłeś, czegoś pan nie powiedział i zapewne powiedzieć nie chciałeś, co jednak — mojem zdaniem — stanowi rys zasadniczy teoryi Darwina: jej sprzeczność z chrystyanizmem. Fakt, że Bóg stworzył człowieka na



obraz i podobieństwo swoje, że grzech jest przyczyną całej nędzy ludzkiej, że niema wybawienia z niej po za łaską bożą, — że naszym najwyższym zadaniem jest żyć, jak żył Zbawiciel, pomagając słabym i stojąc po stronie poniżonych i wzgardzonych; że miłość zwycięża surową walkę o byt, — czyż wszystko to nie jest żywym, aż do najmniejszego drobiazgu zaprzeczeniem teorii Darwina? Wiara w Ewangelię Chrystusową, uleganie jej nakazom, dopomogły mi po walkach mojej młodości do osiągnięcia wewnętrznego spokoju, żyje też we mnie niezachwiane przeświadczenie, że najtragiczniejsze zagadnienia świata: nędza i nieszczęście zostałyby rozwiązane, gdyby wszyscy ludzie prawdziwymi zostali chrześcijanami. Czyż miałabym pozwolić odebrać sobie tę wiarę u kresu dni moich? Uznanie teorii Darwina równoznaczne jest dla nas, laików, wierze w niego. A sam pan powiadasz wszakże, iż koryfeusze nauki zwalczają go dowodami naukowymi. Czyż nie byłoby to wyraźnym szaleństwem, gdybym, jak pływak niewprawny, rzucić się chciała z bezpiecznego portu wypróbowanej wiary w rozchukane fale cudzych myśli tylko dlatego, że może — może — gdzieś w dali znaleźć można nowy stały ląd?! Za stara jestem na to”.

Za całą odpowiedź ucałował Stauffenberg w milczeniu rękę babki. Wzburzenie moje było wszakże tak wielkie, że musiałam je wypowiedzieć.

— A gdybym nawet nie miała nigdy dotrzeć do stałego lądu, — wołałabym utonąć w odmęcie morskim, anizeli tęsknie wypatrywać z bezpiecznego portu, jak morze pieni się i szumi” — rzekłam drżącym ze wzruszenia głosem.

Ponury cień zasępił twarz babki. Położyła wążką,

zimną dłoń swoją na rozpalone moje palce. „Życie postara się już o to, aby nie skończyło się na samem tylko tęsknem wyczekiwaniu, dziecino”, — a potem, zwracając się do Stauffenberga, dodała: „Widzisz pan, jak mało przydaje się wnukom naszym nasze doświadczenie. Każdy zaczyna od początku, i rola nasza ogranicza się jedynie do osuszania łez i opatrywania ran”.

Wkrótce potem wyjechał Stauffenberg, a miejsce jego zajął inny. Zastępcą tym był Karol von Gersdorff, siostrzeniec mojej babki, należący również do rodzaju, odrodzonych od reszty dziwaków, których najchętniej wypierały się rodziny arystokratyczne.

Jakże często, ilekroć brała go babunia w obronę, słyszałam o nim w Pirgołowie, o tym kuzynie, „mającym wygląd nauczyciela wiejskiego”, „żonatym z panną taką i taką”, „przyjaźniącym się z pierwszymi lepszymi,” — jak lekceważąco wzruszano przy tem ramionami. Był on fanatycznym wielbicielem Nietsche’go, któremu kiedyś, ku wielkiemu zgorszeniu krewnych, zaofiarował dobra swoje na bezpieczne schronienie. Odwrócenie się Nietschego od Wagnera spowodowało pewne oziębienie stosunków wzajemnych obu przyjaciół, Gersdorff stawał się bowiem tem namiętniejszym Wagneryaninem, im bardziej dojrzewał mistrz do ideałów swojego Parsivala. Spotkanie się nasze z kuzynem Gersdorffem w Karlsbadzie miało miejsce w rok niespełna po śmierci Wagnera, nic więc dziwnego, że osoba jego, jego dzieła oraz jego światopogląd stanowiły treść wszystkich niemal rozpraw. Już muzyka jego wprowadziła mnie w stan najwyższej ekstazy, roztopiającej całą istotę człowieka w modlitewnym skupionym zachwycie. A cóż dopiero myśli jego!

Wydały mi się one zdumiewającymi, a mimo to bynajmniej nie obcymi. Głęboki jego żal do współczesnej cywilizacji z jej materyalną i duchową nędzą, jego wiara w możliwość przyszłego odrodzenia, jego krytyka obecnego chrystyanizmu w porównaniu z prawdziwym duchem ewangelii, jego podniesienie sztuki na wyżyny ucieleśnionej religii, — czyż wszystko to nie drzemało gdzieś w głębokiem ukryciu i na dnie mojej duszy? Witałam je też z radosnem zdziwieniem, jak się wita dawno zapomnianych starych przyjaciół, wypływających przed nami nagle z odmętu osób i spraw obojętnych. W głębi duszy potępałam Nietschego, — jego imię obilo się zresztą po raz pierwszy o moje uszy, — który mógł sprzeniewierzyć się wielkiemu swemu przyjacielowi, nie rozumiałam też przywiązania Gersdorffa do niego.

Pewnego pięknego poranka majowego siedzieliśmy przed hotelem w liczmem towarzystwie świeżo przybyłych krewnych, z którymi babunia zatopiona była w roztrząsaniu dawnych i nowych wydarzeń rodzinnych, zazwyczaj okropnie dla mnie nudnych; Gersdorff czytał jedną z licznych książek swoich, bez których nie wyruszał się z domu, ja zaś wykpiwałam w duchu wystrojony, zbrojny w różowe torebki z pieczywem, żywo dążący do upragnionego celu — śniadania — tłum gości kąpielowych. Czułam się zupełnie dobrze i swobodnie, jak czuć się zwykli młodzi ozdrowieńcy, rozkosznie przeciągający wzmocnione członki w ciepłych promieniach wiosennego słońca. Wtem padł wzrok mój na „Wesołą wiedzę”, najświeższy utwór Nietschego, leżący obok filiżanki Gersdorffa. Odczytywał on babuni wielokrotnie całe rozdziały tego utworu, które pozostawiły mi po sobie wrażenie czegoś niemiłe obcego. Mechanicznie zaczę-

łam przewracać kartki książki, gdy nagle uderzyło oczy moje jedno zdanie:

Życie mówi: „nie idź za mną”—lecz za sobą samym! za tobą samym! Namiętność jest lepsza od stoicyzmu i obłudy; być uczciwym nawet w złem jest lepiej, aniżeli ginąć w moralności życia powszedniego...”

Kiedy prąd powietrza przez nagle szeroko otwarte okna owionie siedzącego w pokoju, wzdryga on się zrazu z zimna i przerażenia, aby w następnej dopiero chwili wchłonąć głębokimi spragnionymi haustami czyste źródło, pod którego tchnieniem odczuwa dopiero zapartą, ciężką, panującą dokoła, duchotę. Czegoś podobnego doznałam w owej chwili i ja. Czyż nie walczyłam nieustannie, aby podporządkować się życiu i obyczajom? Czyż nie starałam się wmówić w samą siebie, że każde zwycięstwo, odniesione nad najtajniejszymi moimi popędami, jest znakiem wzrastającej mojej cnoty?

I zawsze mimo to sumienie moje było nieczyste!

Wesołe głosy zadźwięczały mi w uszach:

„Do widzenia na poobiednim koncercie...”

„Czy idziesz dzisiaj na wieczorek?...”

„Idziemy do teatru...”

Nawpół przytomna wpatrywałam się we wszystkich z kolei.

„Alicya śni na jawie” — usłyszałam głos babuni; zmieszana zamknęłam książkę. Wieczorem, przed pójściem spać, z pamięci wpisałam myśl wyczytaną do mojego notatnika — pomiędzy rozmaite adresy, wiersze i recepty. Z babką nie zamieniłam na ten temat ani słowa; bałam się; wydawałam się samej sobie podobną do złodzieja, trwożnie strzegącego skradziony brylant,

czułam też instynktownie, że nie może istnieć większe przeciwieństwo od przepaści, dzielącej sens tych słów do wierzeń babki. Opadła między nas obie zasłona, która nie dzieli wprawdzie, ale zaciera jasność rysów.

W końcu maja złożyłyśmy pożegnalną wizytę naszemu lekarzowi;

„No, to dobrze!” — uśmiechnął się zadowolony — „odzyskaliśmy więc nasze rumiane policzki! A teraz, należy być rozsądną, posłuszną i trzymać serduszko na wodzy!...”

Po wyliczeniu całego szeregu przepisów zatrzymał się na chwilę. „A teraz: najgorsze dla tak młodej, ładnej panny: w ciągu następnych sześciu—ośmiu miesięcy wzbroniony jest wszelki ruch gwałtowniejszy. A więc jazda konna — taniec...”

Oczekiwał widać gwałtownego oporu z mojej strony, bowiem na moje „dobrze, panie doktorze” — spojrzął na mnie z nięukrywanem zdumieniem.

„Jesteś dzielną dziewczyną!” — pochwaliła mnie babka, kiedy schodziłyśmy ze schodów.

„Wcale nie, babuniu!” — odrzekłam. — „Pragnę tylko jednego: spokoju do nauki, czytania i pracy”.

Odwiedziny w Weimarze, które miały poprzedzić dłuższy pobyt w Pirgölowie, wydały mi się zrazu niemiłą przerwą. Im bardziej wszakże zbliżyłyśmy się do siedziby Goethego, tem większa ogarniała mnie radość. Usiłując zapoznać wnuczkę ze wszystkim, co czekało ją tam z pośród ludzi i rzeczy, utonęła babunia we wspomnieniach swojej młodości. Widziałam ich przed sobą: mężczyzn o wygolonych subtelnych twarzach, wystających z ponad wysokich kołnierzyków, kobiety z kunsztownie utrefionemi główkami i gładkiemi sukienkami

muślinowemi, bawiące się w ślepą babkę na łąkach Trefurtu, lub tańczące w sali zamkowej menueta z uroczystą minoderyą; słyszałam, jak wzdychały i marzyły z Lamartinem i Byronem, czułam, jak dusze ich rozwierały się, niby kielichy kwiatów, dla głębokich uczuć przyjaźni, jak serca ich były w takt radości i smutków miłosnych. Widziałam babunię, siedzącą u stóp Goethego, niemą, wsłuchaną z czcią korną w każdy dźwięk, w każdą myśl, wychodzącą z ust Jego. W najtrudniejszych dla Niemiec czasach — jakże była bogatą! Posiadła ojczyznę, z której korzenie jej duszy dzisiaj jeszcze czerpały siły żywotne.

Siedziałam o zmierzchu przy oknie wagonu; babunia drzemała naprzeciw mnie z zastygłym jeszcze uśmiechem wspomnień na ustach. Lasy i pola, domy i ogrody mknęły w dal przed mojami oczami. Takim jest życie moje — pomyślałam. Wszystko ucieka przede mną, zaledwie zdążę się mu przyjrzeć; nigdzie trwałych nie zapuszczam korzeni...

W Weimarze zamieszkałyśmy u brata babki, tuż obok domu pani v. Stein, w którym wielkie laurusy stały jeszcze w swoich zielonych kubłach na placyku przed domem, jak za klasycznych czasów, kiedy „kochana Lotta” podejmowała pod ich cieniem gości swoich poobiednią herbatą. Z okien naszych rozległy był widok w głąb parku.

Pierwszego zaraz rana wymknęłam się z pokoju wraz z pierwszemi brzaskami słońca, ozlaczającemi wierzchołki starych drzew. Czarownie cicho i samotnie było dokoła; tylko tajemniczy świergot ptaków i daleki poszum rzeki zdradzały ślady życia. Na zielonym kobiercu łąk przed domem wielkiego mistrza błyszcząły krople rosy na drżących nitczkach traw; pąsowe i białe,

żółte i błękitne kwiaty promieniały w blasku świeżo rozwiniętej krasy. Zdala, gdzie wykute w skale stopnie prowadzą do doliny Ilmu, dolatywał mnie rzeźwiący, korzenny zapach świeżo wżruszonej ziemi. Zamknięte okiennice pustelni wyglądały, jak oczy śpiące; stałam przed nimi przez długą chwilę w sennem marzeniu, czekając na tajemniczego mieszkańca, który miał je otworzyć. Ilm nie przestawał szemrać, jakgdyby chciał mnie wyśmiać.

Po za mostem i ciemnymi zaroślami drzew spowijały jeszcze ziemię welony przezroczych mgieł; rozigrane promienie słońca pierwsze czyniły usiłowania rozdarcia ich. Z przeciwległego pagórka ponętnie przeziarał przez splątane liście jasny domek, który tak mi się wydawał znanym, jak gdybym przebywała w nim od dzieciństwa. Czy nie wyglądał on, jak gdyby wyskoczył z ram obrazu, wiszącego w Pirgołowie w pokoju babuni? Tam widywałam go od czasu, jak tylko siebie samą pamiętam, a ilekroć słuchałam opowiadania o marcepanowym domku w lesie, nie mogłam go sobie nigdy wyobrazić inaczej, jak w postaci widzianego na obrazie. Czy mogłabym przedrzeć się do niego przez wszystkie te zasłony z mgieł? Córki króla olch tańczyły tutaj, jak niegdyś, ukazując się wieszczym oczom poety.

Po chwili byłam już tam. Białe wszakże drzwi między zielonemi żywopłotami zamykały wejście do cichego państwa. Obejrzałam się trwożnie dokoła; ani żywego ducha! Nizki płot drewniany za drugą szerszą bramą nie był niezwykłą przeszkodą — kilka zadarc na sukni, szrama na rękę, — i oto stałam w ogrodzie Goethego! Stuk skrzypiących kół na drodze przeraził mnie w pierwszej chwili: zbiegłam po zarośniętej zielskiem ścieżce

aż za tyły domu. Otoczył mnie zielony pierścień kopuły splątanych drzew; żaden listek nie poruszył się na nich; na poręczy zmurszałej ławki kamiennej stał nieporuszenie, z szeroko rozpostartemi skrzydełkami, szaro-błękitny wielki motyl. Dokoła panowała cisza tak nieprzerwana, jakgdyby ziemia cała się zapadła, — i jedynie ten szmat jej wraz z wymarłym domem unosił się w nieskończonej dali przestworza. Przycisnęłam dłonie do bijącego głośno serca, a lzy wielkie spadały niepowstrzymanie z moich oczu. Po chwili przyszło opamiętanie: zdjął mnie wstyd na myśl, jak mogłam ja, z nieuchwytną moją tęsknotą, bezcześcić to święte miejsce! Cicho, na palcach, z uniesionemi w górę fałdami sukni, aby nie raził jej szelest, uciekałam czempredzej.

Oparta o słup z granitu, zakończony kulą potężną, płakałam gorzko z ukrytą w dłoniach twarzą. Wtem rozpoczął jakiś ptaszek tuż nad głową moją swoją pieśń poranną, z sąsiedniego drzewa zawtórował mu inny, aż nagle rozebrzmiał cały ogród tysiącem trelów, zlewających się w jeden okrzyk powitalny na cześć zwyciężkiego słońca! Odetchnąwszy głęboko, wyciągnęłam ramiona, i nagle doznałam uczucia radości, że jestem młodem stworzeniem ludzkim, mającem całe długie jeszcze przed sobą życie. W pełnym upojenia zachwycie padłam na kolana przed ołtarzem losu szczęsnego, zanosząc modły do Stwórcy, którego oddech zdawałam się w tej chwili wyczuwać tuż blisko.

Tego samego dnia poszłam z babką do miejskiego domu Goethego, aby odwiedzić ostatniego przedstawiciela jego imienia, zarazem towarzysza jej młodości. Cicho, w osamotnieniu, chroniąc się bojaźliwie przed zetknięciem ze światem, żył Walter Goethe w górnych



pokojach zmarłej swojej matki. Wielki portret wieszczki tronował w saloniku; przytłaczał on niewielkich rozmia-  
rów pokój a bardziej jeszcze biednego, małego przeby-  
wającego w nim potomka wielkiego imienia. Nie mogło  
mi się wcale pomieścić w głowie, aby miał to być człowiek  
z rodu Goethów! Dopiero kiedy dwoje przyjaciół zatopiło  
się w rozmowie, poczułam odmienność świata, z którego  
oboje pochodzili. Jakże ciepłymi i szczerymi były uczucia,  
ujmowane przez nich w słowa, jak żywymi sprawy, w któ-  
rych brali oni udział — w ten sposób nie rozmawiano już  
dzisiaj, kiedy uczucia stały się przedmiotem drwin, a wy-  
zbycie się ich — wielkim w życiu atutem.

Im dłużej pozostawałyśmy w Weimarze, tem bliżej  
odczuwałam ducha wieszczki. Jakkolwiek ludzie, u któ-  
rych bywała babka, byli wszyscy starzy, jej rówieśnicy,  
dzięki wszakże temu, że pozostali wiernymi swojej mło-  
dości, nie przestali być młodymi duchem. Takim był  
wuj, u którego zamieszkałyśmy, człowiek, którego  
wytworna prostota prawdziwą cechowała kulturę; takim  
samym był też Wielki Książę ze swoim namiętnem uko-  
chaniem tradycyi Weimaru, sam skromnie się im pod-  
porządkowujący, w nieustannem poszukiwaniu wartości  
duchowych, któremi, gdy je odnajdywał, gorąco się cie-  
szył, jak zbieracz swojemi skarbami; takimi wreszcie były  
kobiety, uduchowione i umiejące tchnąć ducha w oto-  
czenie, nie zdobiące salonów swoich głośniami nazwiskami,  
tytułami czy błyszczącymi mundurami, ale szukające  
umysłów przewodnich, dojrzałych lub dojrzewających.  
Odżywałam powoli w tem otoczeniu, ucząc się — bez  
obawy zostania wyśmianą lub spotkania się z pełnem  
zdumienia milczeniem — mówić o tem, co mnie obcho-  
dziło, pytać o to, o czem wiedzieć pragnęłam. Umocniło

się we mnie postanowienie niepowrócenia już więcej do świata konwenansu i zimnego frazesu, gdzie zamknięte na mocne zamki serca i usta są warunkiem dobrego wychowania.

Babka zaczęła mówić o przyszłym stanowisku damy dworu dla mnie. Nie przypadało mi to zbyt do smaku; od wielu, pełniących urząd podobny, ciotek i kuzynek wiedziałam, jak uciążliwą służalczość pociąga on za sobą. Bądź co bądź jednak lepszem daleko wydawało mi się być zależną w Weimarze, aniżeli wędrować z jednego garnizonu do drugiego, żyjąc zawsze w tem samym środowisku oficerskiem. Tajemnie żywione moje marzenia poetyckie mogłyby może tutaj dojrzeć, na samem dnie duszy zaświtała mi też romantyczna nadzieja znalezienia tutaj rycerza z bajki, do którego należeć miało moje serce.

Ku końcowi pobytu naszego odwiedziłam z babką powtórnie Waltera Goethe. Był on niezwykle dla mnie uprzejmy i chętnie zadość uczynił mojej prośbie zwiedzenia raz jeszcze samej pokoju Goethego. Otworzyłam małe okiennice i stanęłam bez słowa ze złożonemi modlitewnie dłońmi przed fotelem, na którym umarł, a który wciąż jeszcze stał obok jego łóżka. Miałam uczucie człowieka, żegnającego się przed wyruszeniem na wojnę i niepewnego, czy powróci jeszcze kiedykolwiek. Bezwiednie złożyły się wargi moje do wyszeptania pierwszych słów wiersza Goethego: „Daj mi wielkie myśli i serce czyste”.

Musiałam być blada i zapłakana w chwili odjazdu, bowiem babunia wpatrywała się we mnie troskliwie, pytając, czy się źle czuję.

Przyszło mi wtedy na myśl, ile jej zawdzięczam: powiodła mnie ona do cudownego gorącego źródła,

które mi uleczyło ciało, i otworzyła przede mną inne źródła, które mi zasiliły duszę. Obiema rękami ujęłam dłoń jej, przyciskając do niej czule wargi: „Jestem zdrowa, zupełnie zdrowa, babunieczko!”

---



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Po drodze do Pięgołowa zatrzymywałyśmy się u całego szeregu krewnych. Doznałam wrażenia, jak gdyby mnie zrzucano z przewiewnych szczytów górskich w dużą kotlinę. Mamy — pisałam do kuzynki Matyldy — cały długi objazd kuzynek za sobą: w Szkocyi, w Marchii, w Pomeranii — wszędzie ten sam gatunek junkrów, wypolerowanych — zależnie od wielkości trzosa — prawdziwie lub sztucznie, u wszystkich ta sama wyższa pogarda dla wartości ducha. Moi kuzynowie z Ingarsthausen — wspaniały zamek, przynoszący zaszczyt swojemu fundatorowi, Augustowi Mocnemu — chorujący dawniej na niebezpieczny wodowstręt, stali się gogusiami *par excellence*, nadającymi się doskonale do gwardyi. Siostra ich, Wenus z Milo, wyszła za mąż, mając lat siedemnaście, rodzi co rok dziecko i ma już ów charakterystyczny grymas około ust, który u każdej młodej odnajduje męzatki: musi to być grymas

rozczarowania. Kilka towarzyszek moich z lat dziecińczych które spotkałam ponownie, a które przed rokiem oznajmiły mi tryumfalnie — pobiły mnie wszak o kilka długości o wyścigu o męża — o swoich zaręczynach, wyszły mi dzisiaj na spotkanie blade, skrzywione, źle znoszące wysokie miesiące ciąży. Miałabym ochotę tryumfować ja teraz z kolei, przemogło jednak współczucie, dla biednych istotek, noszonych pod sercem z takim grymasem niechęci. „Kobieta, oczekująca narodzin dziecka, powinna być jak tryumfatorka”.

Odetchnęłam, znalazłszy się nareszcie w Pirgowie, gdzie miałam nadzieję oddać się bezpodzielnie pracom moim i studjom. Niejedno uległo tam zmianie w trakcie tego czasu. Wuj mój pozwolił się wybrać do parlamentu, ulegając pod tym względem namowom swoich towarzyszy partyjnych, w nim samym bowiem zbyt silnie tkwiło, cechujące wschodnio-pruskiego junkra, poczucie władcze, aby nie miało go razić pozorne chociażby uleganie zasadzie równości, ustalonej przez powszechne prawo wyborcze. Wydawało mu się poniżeniem, że on, którego stosunek do podwładnych polegał jedynie na wydawaniu rozkazów, karaniu lub nagradzaniu, zależnym był od ich względów, a nawet musiał się o nie ubiegać. Był on przytem tak szczerze przekonany konserwatystą, tak przejęty przeświadczeniem, że wszelkie rozluźnienie ograniczeń, dotyczących niższe warstwy, wyszłyby im samym na szkodę, że uważał się za najzupełniej uprawnionego do zwalczania wszelkimi niedozwolonemi nawet środkami wpływu prądów liberalnych, a tembardziej socyaldemokratycznych.

Ilekoć matka stawiała w obronie „prawa osobiste-

go bronienia własnych interesów”, stawiał jej zawsze za przykład dawnego swojego pastucha, notorycznego pijaka, który głosował na socyalistę dlatego, że „pan baron zabronił szynkarzowi wydawania mu więcej niż dwóch kieliszków wódki.” — Łotr ten nie wiedział nic o socyalizmie, nie umiał czytać, ani pisać. Każdy, kto mu daje gorzałkę, ma jego przekonanie. Wyobraźcie sobie, że każdy pastuch będzie głosował, jak on, i dojdzie do władzy — piękną będziemy mieli gospodarkę.” — A kiedy babka powiedziała mu za całą odpowiedź, że należy dać ludowi oświatę, odpowiedział: „Tak, żeby każdy chłop mógł zostać profesorem i żeby nie było komu robić. To może najlepiej, żebyśmy zasadzili żony nasze do dojenja krów, a sami zaprzęgli się do pługa?”

„Zamiana taka odpowiadałaby może sprawiedliwości boskiej”, — zauważyła bez uśmiechu babka, „od wieków chodzili oni za pługiem, może przyszła teraz właśnie kolej na nas!” Z nabrzmiałą na skroni żyłą zerwał się wuj z krzesła i zatrzasnął za sobą drzwi. Był bardziej jeszcze rozdrażniony, niż zazwyczaj. Zbyt wyraźnie pukwały prądy nowoczesne do ciężkich wrót zamku Pirgołowskiego, a on sam zamienił most zwodzony, zamykający dostęp nieproszonym gościom, na stały, kamienny. On sam wyjednał u rządu, dzięki wpływom swoim i stosunkom — przeprowadzenie drogi żelaznej obok jego dóbr oraz wybudowanie na granicy jego posiadłości portu w zatoce Kurońskiej.

Głazy z jego kamieniołomów mogły być teraz wysyłane przez morze Bałtyckie do najodleglejszych budowli, wytwory jego gospodarstwa rolnego mogły znajdować korzystny zbytny w Berlinie — zarazem jednak

przedostały się do Pirgołowa wraz z obcymi inżynierami i robotnikami, nowe myśli. On sam dążył do przeistoczenia posiadłości swojej, która mniej lub więcej dostatecznie żywiła jego ojców, w przedsiębiorstwo kapitalistyczne, które miało — jak się spodziewał — dawać mu miliony. Wraz wszakże z maszynami, z kanałami, z melioracją łąk, z nowymi budynkami, z całą intensywną, prowadzoną na nową modłę, gospodarką, przyszły chmary nowych sił roboczych, od których dawni mieszkańcy wsi szybko przejęli poglądy i wymagania, nieporównanie wolniej zaś — umiejętność i wyćwiczenie w pracy. Niezadowolenie krzewić się zaczęło bujnie, niby chwasty, najrychlej przyjmując się w krytych słomą, nędznych lepiankach, których mieszkańcy pozostawali od wieków w służbie u Golcowów.

W jednej z najstarszych i najnędzniejszych mieszkała stara Maryśka z dziećmi i wnukami, przygarbiona, drżąca staruszka, której policzki tak były wysuszone i spalone od słońca i wichrów, że wyglądały raczej jak kora sosnowa, niż jak skóra ludzka, a oczy, białe-żółte i wpadnięte w głąb czaszki, przypominały bardziej zacieki żywiczne. Jedyne na widok babki składały się cienkie, bezkrwiste jej wargi do przelotnego uśmiechu. Przed laty widywałam ją, która od dziecka małego służyła w zamku, przesiadującą od rana do wieczora przy krosnach w jednym z najciemniejszych zakątków zamkowych, tuż nad rowem z wodą. Wszystkie dziewczyny dworskie nosiły materyały jej tkania: grube, sztywne, z niebieskich i czerwonych nici. „Młoda pani baronowa” odstawiła ją na łaskawy chleb: — pokoił, zajmowany przez staruszkę, był potrzebny na inny użytek, a służące we dworze nie nosiły już staro-



modnych spódnic. Od tej chwili znenawidziła stara Maryśka nowe porządki wraz z wszystkim, co srowadziły one z sobą do Pirgołowa. Przy dymiącem, skwierczącym ognisku, w ciasnej izbie, o szarej, lepkiej glinianej podłodze, po której pospółu wałęsały się, piszcząc, gdacząc, pochrząkując i wrzeszcząc, kury, gęsi, prosięta i dzieci, było główne środowisko, centralny klub niezadowolonych. Podjudzała ona nieśmiałych, związanych jeszcze uczuciem ślepej służalczości z państwem, zachęcała zuchwałych i, pomimo całego swojego ubóstwa, miała zawsze na pogotowiu kieliszek wódki dla tych, którzy nie chcieli siedzieć w karczmie z „nowymi”, z „miejskimi”.

Najmłodszy jej syn, Franek, był stajennym, któremu wuj mój, znając jego umiejętność obchodzenia się z końmi, najkosztowniej często powierzał konie. Pewnego wieczora zauważył, że „Dalila”, którą Franek miał właśnie oprowadzać, stała przy żłobie, ociekająca potem, bez derki, zaś opiekun jej chrapał smacznie, przesypiając porządną wypitkę. Zanim mogłam temu przeszkodzić, świsnęła szpicróżga wuja w powietrzu, przecinając śpiącemu na ukos policzek. Chwiejąc się na nogach, stanął on, spojrzął na wuja mętными oczami i padł mu z rykiem do nóg. Chciałam już odwrócić się z oburzeniem, — oburzona bardziej na marnego tchórza, aniżeli na wuja — kiedy nagle spotkałam się ze strasznym wzrokiem klęczącego, wzrokiem rozjuszonego zwierzęcia. Nazajutrz leżała jedna z klaczy rozplodowych martwa na podłodze stajni. Nikt z nas nie wątpił, że sprawcą był Franek; ja, uparte zachowująca milczenie, najmniej o tem wątpiałam. Wszyscy jednak towarzysze pracy jego wzięli go w e-

bronę, kierując podejrzenie na robotników kanalizacyjnych. Nie można było wszakże niczego dowieść. Wuj Walter wyrzucił Franka, zakazując mu raz na zawsze pokazywania się w Pirgołowie. Siedzieliśmy właśnie na tarasie przy śniadaniu, kiedy stara Maryśka ukazała się nagle niezameldowana na stopniach pałacowych, opierając brunatne pomarszczone dłonie na sękatym kiju, w samodzielnym odświętnym ubraniu, z śnieżnie siwą głową, owiązaną czarną chustą, z małymi świdrującymi oczkami, wlepionymi w zebrańnych przy stole. Istna czarownica z bajki.

„Niech jasne państwo się nie gniewajom” — zaczęła zacinającym się głosem.

„Czego chcecie, Marysiu?” — zapytała babunia, wyciągając do niej miłościwie rękę.

„O, nasza najmilsza paniusieczku”, — załkała stara, padając dawnej swej pani do nóg i tuląc pokornie do ust kraj jej szaty „a dyć to nie mój chłopak zabił szkapę, — nie on! Nie wysyłałta go ode mnie! Ociec nasz, i dziad, i pradziad — wszyscyśwa służyli jasnie państwu ciałem i duszą — nie wysyłałta nas!” Głos jej stawał się coraz bardziej kraczącym, jak skrzekot wron, rajcujących jesienią na ściernisku.

„Syn mój nie wysyła też was, Marysiu” — odpowiedziała babunia.— „Jednego tylko z waszych synów,— a jeśli i ten poprawi się na obczyźnie — — tu spojrzala błagalnie na wuja Waltera — „z pewnością wolno mu będzie powrócić do domu”.

Stara wstała z klęczek. W milczeniu rozejrzała się dokoła.

„Czy jasny pan pozwala mojemu chłopcu ostać się?” — syknęła cicho przez nawpół przymknięte usta.

„Nie!” Grzmotnięcie pięścią w stół towarzyszyło gwałtownemu okrzykowi wuja. „A teraz, idźcie, Maryśko. To moje ostatnie słowo.”

Mocno oparta o kij, wyprostowała stara zgarbiony kark z taką siłą, że aż postronki żył wystąpiły brunatno-czerwonemi pręgami na jej szyi.

„Idzie stara Maryśka, idzie panocku,—idzie—hen, daleko, gdzie oczy poniosom, ale bierze z sobą więcej, siła więcej, niż jednom szkapinę!—Na tych starych rękach wypiastowałam panicza, — ssał pierś mojom w miejsce mojego własnego chłopaka. Urobiłam bez te czterdzieści років w Pirgołowie ręce po łokcie, — i narodziłam synów i córki, wychowałam ich w posłuszeństwie Panu Bogu i jasnemu państwu, robiom oni wszyscy w Pirgołowie dla jasnego państwa”

Wuj przerwał niecierpliwie niezwykły ten u starej potok wymowy. „Byłbym napewno ostatnim, który nie pozna się i uczciwie nie wynagrodzi wiernej waszej służby. Nie mogę jednak trzymać pijaka i łotra, choćby był nawet dziesięć razy waszym synem. Cierpliwość moja wyczerpała się, strzeżcie się więc drażnić mnie dłużej. Wiem bardzo dobrze, gdzie szukać buntowników.”

„Nic pan baron nie wiem, nic” — zaprzeczyła gwałtownie.

„W karczmie, gdzie siedzom ludzie od kanałów, u nowego inspechtura, gdzie miastowe młode panowie pijom co rano i wieczór wino, w izbie czeladnej, gdzie wiejskie lokajczuki smalom cholewy do garderobianych, tam niech panocek szukajom buntowników, a nie u starej Maryśki. My znamy jeszcze stary obyczaj, kochamy nasz dwór, naszom wieś, kościół i chałupę.

Ale tamte, zagraniczne, co za talara dałyby się powieścić, a do kościoła ani poświęć. Po co ich jasny pan sprowadzajom a nasych precz wyganiajom, żeby i oni przestali w Boga wierzyć na obcej ziemi? — Chcemy ostać się doma — ” głos jej nabierał skrzeczących tonów — ostać się pospołu z nasemi dziećmi. Ale tam, gdzie niema prawdziwego miłowania, tam nima ani bojaźni Boskiej, ani posłuszeństwa. Pracę batem po pysku, — nie na to sobie dzieci starej Maryśki u jasnych państwa zasłużyły.—”

Wuj zerwał się z krzesła rozwścieczony: „Dość mam tej całej historyi, wynosić się do dyabła.”

Szeroko rozwartemi oczami spojrzała na niego staruszka, nie zwracając uwagi na babkę, która położyła uspakajająco dłoń na jej ramieniu.

„A dyć wynosę się, wynosę, ale nie do dyabła!” — krzyczała — „dyabeł teraz siedzi w Pirgołowie, — wszystkie złe duchy się tutaj zebrały, — z wieży, gdzie jaśnie państwo zamknęli rzykę na łańcuchy, straszy po nocach, a na porcie wypływajom do góry martwi rybacy. — Stara Maryśka wynosi się — idzie sukać Pa-na Boga.”

Zamilkliśmy wszyscy, zdjęci nagłym strachem. Stara zakuszykała po stopniach — nie odwracała już głowy — była teraz zupełnie malutka i zgarbiona we dwoje. Nazajutrz opustoszała jej chata, — nocą wyruszyła z dziećmi i wnukami, dźwigając za sobą cały swój nędzny dobytek na dwóch taczkach ręcznych.

Długo szeptałi ludzie z przerażeniem o tem, że podniosła ona z gestem grubo kij swój na pożegnanie z zamkiem, obok którego przechodziła właśnie i że potem, mruczając coś nieustannie, stawała przed każdą chałupą

przydrożną, budziła przerażonych mieszkańców jej ze snu, aby opowiedzieć im, jak to pan na Pirgołowie wygnał ją z domu i ziemi.

Wrażenie to pozostało i dla mnie niezatartem. Schodziłam często na wieś i do chat nadbrzeżnych, poznając tam surowych, milczących ludzi, którzy, wzamian za nieustanną pracę w pocie czoła, zaledwie znajdowali wyżywienie. Większość przyjmowała jeszcze taki porządek rzeczy, jak rzecz naturalną, ale tu i owdzie rozpalalo się już w przygasłych oczach to samo złowieszcze światelko, płonące w ów pamiętny dzień w oczach starej Maryški. Minęły już czasy, kiedy czuli się oni wobec pana niemymi niewolnikami, lub bezwonnymi dziećmi. Złe duchy snąć widocznie i tu zasiały swoje ziarna.

Wuj mój nie dorósł umysłowo — pomimo nieustannych usiłowań kształcenia się — do wymagań współczesnej gospodarki rolnej.

„Trzebaby być chemikiem, inżynierem i przyrodnikiem zarazem, aby nie być oszukiwanym przez pierwszego lepszego głupca; zamiast takiego przygotowania ma każdy z nas za sobą karierę oficerską” — powiedział on raz w rozgoryczeniu. Zdobył się nawet na bywanie u dawnego swojego przeciwnika z sąsiedztwa, liberała, który słynął w okolicy, jako najlepszy gospodarz. Towarzyszyłam tym panom w ich konnych objazdach inspekcyjnych i słyszałam często, jak stary pan przykładłaskiwał bezwzględnie wszystkiemu, co tworzył młody. „Jednego tylko ukryć nie mogę przed panem, panie baronie; nie umiałbym się oprzeć uczuciu lęku, gdybym nie miał pana za rozważnego człowieka, który wie dobrze, że musi wkładać tutaj setki tysięcy, zanim

wyskoczą spodziewane miliony”. Widziałam, że wuj Walter pobladł, złąkłam się też o niego.

Spoważniał on bardzo w ostatnich latach. Wesola jego lekkomyślność występowała na chwilę znów na jaw, ilekroć żona przymilała się do niego — o nową suknię, nowy klejnot, lub nowego psa, także, kiedy bujał na kolanach trzyletniego swojego synka. Mały ten następca rodu był teraz główną osią życia. Posiadał on już własną swoją świtę, a dwa miniaturowe kucyki, sprowadzone wprost ze Szkocyi, zapoznały się już niejednokrotnie z bacikiem małego junkra, powożącego maluchnym powozikiem po alejach parku.

Tyranizował on wszystkich dokoła; dla siostrzyczki mojej, nawykłej, aby całe otoczenie podporządkowywało się jej zachciankom, był najgroźniejszym dręczycielem; uciekając też od niego, szukała rozpaczliwie ratunku u mnie. Prawdziwą to było rozkoszą dla mojego żądnego miłości serca, a pamiętna własnych, przecierpianych w dzieciństwie, udręczeń, łatwo wzruszałam się niedolą małej i serdecznie ją do siebie przygarbiałam. Już z samego rana chodziłam z nią do najdalszych zakątków parku, wymyślałam najfantastyczniejsze zabawy i najbarwniejsze bajki, i nieraz upływało mi dobre pół dnia, zanim mogłam zrobić coś dla siebie. W takich razach zdarzało się, niejednokrotnie, że burzyłam się gwałtownie przeciw małej, tak mnie wyzyskującej, tyrance; wystarczało jednak błagalne spojrzenie jej błękitnych ocząt lub ciepły uścisk miękkich ramion, oplatających serdecznie moją szyję, aby mnie rozbroić z kretesem. Nie, nie mogła ona, nie wolno jej było przeżyć tego, co ja sama przeżywałam! Z czasem nauczyłam się nawet odczuwać wdzięczność dla niej:

wszyscy inni nazywali mnie „sawantką”, „przesadzoną” „zwaryowaną”, dla mojej słodkiej sześćioletniej blondyneczki natomiast nie posiadałam nigdy dostatecznie bujnej fantazyi. Domagała się ona wciąż nowych bajek, — „zupełnie nowych, jakich ani jedno nie słyszało jeszcze dziecko” — wzięłam też nasze całe otoczenie za punkt wyjścia moich opowieści, w które wplatałam podania o bogach i o bohaterach. Wierzyła we mnie jak w opokę: ilekroć wiosłowałyśmy po zatoce, rzucała do wody, potajemnie przynoszone dla syren i nimf wodnych, ciasto; wsuwała pomiędzy głązy muru parkowego garnuszczyki mleka — dla karzelków, uwijających się tam nocami.

Z chwilą, gdy mnie uwalniała od siebie, znikałam w bibliotece.

Pod pretekstem porządkowania książek zapewniłam sobie bezpieczne schronienia w tym przybytku, którego progi rzadko były przez mieszkańców domu nawiedzane. Był on ciemny i przesiąknięty zapachem butwiejącego papieru; cóż mnie to jednak obchodziło, gdy mogłam wygodnie usadowić się w wielkim skórzanym fotelu z książką, przy której czytaniu zapominałam o bożym świecie! Szafy biblioteczne ciekawe zawierały zbiory: stare rolnicze pisma i broszury, protokoły z ostatnich posiedzeń parlamentu, żurnale mód, nagromadzone od dziesiątków lat, najdrastyczniejsze romanse francuskie, nie wyłączając zresztą „Nany” i „Assommoir’u” Zoli — niemieckie współczesne powieści „dla rodzin” i wreszcie w tanich, źle oprawnych wydaniach utwory klasyków niemieckich. Zaczęłam pochłaniać wszystko z chciwością zgłodniałego wilka: zacząwszy od pamiętników Cory Pearl aż do Wielanda i Herdera. Nie musia-

łam być jednak w owym czasie wrażliwą na realizm ani na wyuzdanie, mało mnie bowiem interesowały książki tego kalibru, wywołując we mnie co najwyżej uczucie obrzydzenia. Jeszcze mniej przykuwały moją uwagę powieści niemieckie „Nasza beletrystyka jest płaska, pozbawiona siły i treści” — pisałam do kuzynki mojej — „jałowa i sentymentalna z tej prostej przyczyny, że pisarze stosują się do poziomu czytelników, którymi są przeważnie kobiety. Mężczyźni nie czytują powieści, bowiem pisane są one dla nich zbyt po babsku, a kobiety coraz bardziej babieją, psując sobie duchowy żołądek bezbarwną tą strawą. A już najgorzej jest kiedy kobiety biorą się same do pisania powieści: plotkarskie historye, ubarwione kradzioną aureolą poezyi. Nowy to powód mojej antypatii dla kobiet. Pytam się tylko: czyż istotnie jesteśmy tak małe, puste, tak niekobiece, czy też zrobiono nas takimi?

Z tem goręcej płonącymi policzkami i tem gwałtowniej bijącym sercem zatopiłam się w Goethem. To nawet, co znałam już oddawna, pełne było nowego dla mnie objawienia. Do małego kajecika, który stale nosiłam przy sobie, starannie owinięty w zieloną jedwabną chusteczkę, wpisywałam wszystko, co mi się najbardziej podobało, aby mózż odczytywać w chwilach samotności dopóty, dopóki nie nauczyłam się głównych ustępów na pamięć. Dwa figurowały na miejscu naczelnem, podkreślone podwójnie: „Należał on do zastępu tych, którym życie żadnych nie daje wyników i którzy w każdym poszczególnym wypadku na nowo od początku trudzić się muszą” — i: „Pragnienia nasze są przecuciami drzemających w nas zdolności, zapowiedzią tego, co jesteśmy w stanie stworzyć!” Pierwsze z tych zdań miało być



groźnem memento, nieustannem ostrzeżeniem, aby nie marnować i nie rozpraszać życia na wsze strony, lecz nadawać mu stały, wiodący do wielkich celów, kierunek; — drugie służyć miało za pokrzepienie w chwilach upadku energii, utraty zaufania do samej siebie lub też usiłowań odarcia mnie z tego zaufania przez innych.

Buntując się świadomie przeciw ascetycznym zasadom wychowawczym mojej matki, przepisywałam przedewszystkiem, ustępy, podkreślające prawo do osobowości oraz wartość uczuć radosnych: „Dziecko, młodzieniec, błędzący po własnych drogach, są mi milsi od niejednych, obierających właściwą, ale cudzą drogę”. „Wesołość jest matką wszystkich crót” — „człowiek szczęśliwy, istota, ciesząca się swoim bytowaniem, najwyższy stanowi cel stworzenia”.

Przejęta tem, co główną stało się treścią mojej świadomości, nie mogłam od czasu do czasu nie zdradzić się z nią w rozmowie. Zachwyt mój nie mógł pozostawać wiecznie niemym, tęskniłam do ludzi, z którymi mogłabym się nim podzielić, zwłaszcza do ludzi młodych, z których strony nie mogłabym się spotkać z odpychającymi drwinami lub zimnym rozumem starości. „Szukam ludzi jak Diogenes” — pisałam do kuzynki Matyldy, z którą, parta tą samą wewnętrzną potrzebą, w żywej pozostawałam korespondencji — „i widzę przy tem coraz wyraźniej, że marne nasze wychowanie pozbawiło nas najlepszej w życiu części. Minimalna doza sztuki i nauki podawana nam była jedynie w celu umożliwienia nam paplania o niej. Nie stało się ona częścią nas samych, i pozostała w muzeach i książkach, jak religia w kościele. Gdybyśmy odczuli całą jej powagę i zrozumieli jej znaczenie — byłyby dusze nasze i serca tak nią

przepelnione, że nie smakowałyby one wcale w pospolitości i rzeczach powierzchownych.

Ilekoć przyjeżdżali do Pirgłowa młodzi ludzie, którzy — jak kpił wuj Walter — „nie przepadli jeszcze na egzaminie Alicyi” — wyciągałam ku nim ostrożnie duchowe moje macki. Najczęściej spotykałam się z żaźnowanym uśmiechem, zdziwionem spojrzeniem, a matka, przysłuchująca się kiedyś jednej z nieudanych takich prób, słusznie mi powiedziała: „Że też nie sprykrzy ci się to rozłupywanie orzechów. Widzisz przecież sama, że puste są we środku”.

„Nie wierzę temu jednak — nie chcę temu uwierzyć”, — odpowiedziałam — własna moja istota najlepszym jest dla mnie dowodem, że muszą istnieć inni do mnie podobni!” W odpowiedzi wydeła matka pogardliwie usta. „Większość jest pospolita — najlepsi jeszcze są głupcy”. Im częściej wszakże dawała wyraz głębokiej swojej pogardzie dla ludzi, z tem większem odpieszała słowa jej oburzeniem, tem przesadniejszem był mój tryumf, jeśli zdarzało się, że jakaś poruszona przezemnie struna cudzej duszy zlekka chociażby dźwięczyć zaczynała.

Dotyczyło to przedewszystkiem pewnego młodego sąsiada, który często przyjeżdżał do nas konno. Nie posiadał on głębszego wykształcenia, samotne jednakże, nieprzerywane żadną rozmaitością, życie nad szaremi wodami zatoki zaprawiło go do myślenia, dzięki czemu nie brakło nam nigdy tematu do rozmów. Obcowanie nasze wzajemne nie było długotrwałe. Wuj Walter wziął mnie pewnego dnia na stronę, oznajmiając mi, „że pan Brandenstein nie jest odpowiednią dla mnie partyą”.

„Ależ ja ani myślę wychodzić za niego za mąż” — zawołałam.

„To pocóż zachowujesz się tak głupio! Cała okolica mówi już o tem, a i on sam musi też żywić nadzieję, widząc, że pozostajesz z nim godzinami sam na sam“, — odpowiedział. Ostrzeżenie wuja oburzyło mnie do najwyższego stopnia: a zatem zachowanie się młodej dziewczyny jest nieodpowiedniem, jeśli rozmawia ona dłużej niż pięć minut z jednym i tym samym mężczyzną. „Kochani bliźni skłonni są do pobłażania w takim tylko razie, jeśli mogą zwietrzyć zaręczyny” — pisałam o tem do Matyldy. „Czy czujesz, jakie to wstrętne? Jaka tkwi w tem ciężka obelga dla całej naszej płci? Klacz ocenia się zupełnie tak samo. Co za ohyda!

Po owej próbie zamykałam się coraz bardziej w sobie, dławiąc coraz energiczniej mój głód ludzi. Doszło do tego, że wuj Walter wyraził pewnego dnia swoje oburzenie na moje „sobkostwo”.

Weszłam właśnie do pokoju w tej właśnie chwili, i kiedy mówił o mnie z moją matką.

„Zniechęci najlepszych epuzerów i zostanie przesadzoną starą panną” — a widząc mnie wchodzącą dodał: „A może nie chcesz wcale wyjść za mąż?”

„Chcę — bardzo chcę nawet, o ile napotkam odpowiedniego człowieka” — roześmiałam się w odpowiedzi.

Mama oderwała oczy od robótki, i, patrząc na mnie poważnie, rzekła: „Wiesz, że nie będę cię zmuszała. Młoda dziewczyna, mająca, jak ty, zapewnioną przyszłość, będzie daleko szczęśliwsza, jeśli nie wyjdzie za mąż.

„Do licha z tą waszą pewnością o przyszłość Alicyi”. — krzyknął wuj gniewnie. — Sławna ciotka Klotylda może jeszcze dziesięć razy wyjść za mąż, albo doczekać stu lat, albo wreszcie zapisać swój majątek Hottentotom. Musimy wydać Alicyę za mąż, dopóki

jest ładna — to jedyny sposób zapewnienia jej przyszłości. Nie wolno jej, rozumie się, zawracać sobie głowy bredniami i odgrywać roli zaczarowanej księżniczki, — od takiej ucieknie odrazu każdy rozsądny człowiek”.

Odrzuciłam dumnie głowę i rzekłam ironicznie: „Uspokój się, kochany wuju, dostanę jeszcze dziesięciu za jednego. Nie wyrządzą ci przykrości posiadania siostrzenicy — starej panny”.

Zaczęłam tedy znów brać udział w życiu towarzyskim, — nie tylko w celu wykazania wujowi, że miałam słuszność, ale także i na złość ciotce, która — wy czułam to dobrze — z pobudek czysto egoistycznych popierała potrzebę samotności, objawianą przez rywalkę. „Daj jej pokój, jeśli sprawia to jej przyjemność — poradzimy sobie i bez niej!” — oburknęła raz męża, który, siedząc już w powozie, usiłował nakłonić mnie do wzięcia udziału w jakiejś wycieczce.

A zresztą — kto wie? czy nie mógł błędny rycerz, o którym jeszcze wciąż śniłam tajemnie, wylądować tutaj, na piaszczystym wybrzeżu Bałtyku?

Zaczęły mnie znów bawić pikniki i uroczystości wiejskie, polowania i obiady pułkowe, na których strasznie wiele jedzono, jeszcze więcej pito i bardzo mało mówiono. Widząc, jak młodzi oficerowie poświęcali dla mnie noce, aby wymknąć się do nas z manewrów; jak wieczorem na wybrzeżu w pobliżym miejscu kąpielowem, Cranz, do którego często jeździliśmy, spalano na moją cześć świetne fajerwerki; chwytając spojrzenia, więcej mówiące, niż najpochlebniejsze słowa, — upajałam się z rozkoszą niebezpieczną ambrozyą uwielbienia, a chochliki próżności tryumfowały chwilowo nad dobrymi duchami, drzemiącymi w pirgołowskich

szafach bibliotecznych. „On” wszakże nie zjawiał się w dalszym ciągu i dlatego też była moja pasja towarzyska przelotną tylko namiętnością. „Nie samo życie towarzyskie bawi mnie, ale rola, jaką w niem odgrywam, — pisałam do Matyldy — „samo przez się jest ono śmiertelnie nudne, czcze i puste — puste jak wyjedzone jajko. Chcąc nadać mu jakąś wartość, muszę własnymi pomalować je barwami.

Na parę tygodni przed naszym wyjazdem z Pirgołowa przybył przyjaciel wuja, pan von Ollech, rotmistrz pułku dragonów. Poznałam go na wyścigach w Królewcu, siedząc tuż obok niego wieczorem przy kolacyi w licznym towarzystwie, widziałam w nim jedyną deskę zbawienia, której trzymałam się oburącz, aby nie utonąć w nieuniknionem morzu śmiesznie dziecinnych zabaw. Wracał właśnie z Bayreuthu, gdzie słyszał Parsiwala.

To jedno wystarczało, aby nadać mu urok w moich oczach; jego głębokie odczucie muzyczne było dla mnie dalszą siłą przyciągającą. Cieszyłam się, że razem z nami wracał do domu.

Co wieczór siadywał w półcieniu wielkiej pustej sali, wydobywając ze starego fortepianu tryumfalne, łagodne lub tęskne tony. Małe nad drzwiami amorki, na których obnażone ciała rzucały światła nielicznych świec różowy odcień, zdawały się oddychać, a liście lip, stojących pod oknami, drgały w takt muzyki. Siedziałam pod otwartymi drzwiami, zwrócona ku osrebrzonemu światłem księżycy ogrodowi, podając się, osnuwającej coraz szczelniej serce moje i zmysły, czarownej sieci kołyszących rytmów. Przejęta wdzięcznością, przyjęłam ciepłym uściskiem dłoni wyciągniętą ku mnie

rękę muzyka, który po ukończeniu gry doszedł, aby życzyć mi spokojnej nocy. Kiedy nazajutrz z rana spotykałam ponownie tego długiego, wymokłego człowieka z wodnistymi oczami, czerwonym nosem i siwiejącymi włosami, kiedy słyszałam szorstki głos i bezdźwięczny jego uśmiech, stawał mi się znów obcym, — duszą pełną harmonii, zabłąkaną na drodze do wcielenia się w ludzką postać w powłokę kiepskiego dekadenta.

Czułam ze strachem, że jestem przez niego kochana, widząc zarazem z wypływającego, jak gdyby z istoty rzeczy pozostawiania mnie z nim sam na sam, na co czeka moje otoczenie. Obawiałam się decydującej rozmowy, ale niemniej też straszyla mnie możliwość rozłąki. Coraz bardziej skracałam chwilę żegnania się na dobranoc, wiedziałam, że jestem w jego mocy z chwilą, gdy opęta mnie czar jego muzyki.

Urlop jego kończył się; nie rozłączałam się prawie z siostrzyczką moją, aby uniknąć pozostania z nim sam na sam. Pewnego pięknego poranku wszakże uciekła mi ona właśnie w chwili wsiadania naszego do łódki. W milczeniu wiczył mnie po wązkim kanale, wijącym się po parku wśród gąszczu drzew i krzewów. Żółte liście wirowały już na ciemno-zielonej powierzchni wody, dziwny tworząc kontrast z żarem późnego dnia letniego, jak gdyby zamkniętym pod zieloną kopułą liści drzew. Patrzyłam w wodę, przebierając zanurzonemi w niej palcami. Nagle zbudził mnie z sennego odrętwienia głos jego, bardziej jeszcze szorstki, niż zazwyczaj. „Panno Alicyo, czy chce pani zostać moją żoną?” — — Nie odpowiadałam. „Nie jestem młody, ani piękny” — mówił dalej po chwili przerwy — „nie mogę pani ofiarować nic, prócz — ” zawałał się, a przelotny szkarłat

rumieńca oblał jego czoło — „mojego nazwiska, mojego majątku i — mojej miłości.” — I znów długa pauza. Nie byłam w stanie wydać dźwięku. Moje *vis a vis* westchnęło głęboko. „Nie żądam szybkiej odpowiedzi, jeśli serce nie zezwala Pani do niej. Na jedno tylko daj mi, pani, proszę, odpowiedź: czy kochasz innego?”

„Nie!” — zawołałam, patrząc mu prosto w oczy. Rysy jego rozjaśniły się tak bardzo, że aż mnie to przeraziło. Ujął moją rękę. „W takim razie będę czekał i miał nadzieję. Wiem, że zuchwalstwem jest, aby człowiek w moim wieku śmiał pragnąć dla siebie tyle młodości i piękna. Muszę jutro odjechać — za cztery tygodnie będzie pani przejeżdżała przez Berlin. Szanowna matka pani zawiadomi mnie o dniu przyjazdu pań, jeżeli, — jeżeli postanowienie pani wypadnie na moją korzyść; — czy zgoda?”

„Tak”, — zaledwie wyjąkać byłam zdolna. Dobieliśmy do brzegu. Kiedy przy wysiadaniu podał mi rękę, spotkałam się ze spojrzeniem tak pełnem miłości, a zarazem tak bolesnem, że byłabym mu przez samą tylko współczucie padła w objęcia.

Wieczorem zasiadł po raz ostatni do fortepianu, puszczając wodze fantazyi; nie mogłam powstrzymać cisnących mi się do oczu łez, uciekłam też i zamknęłam się w moim pokoju, z którego wyszłam dopiero nazajutrz, kiedy usłyszałam tentent odjeżdżającego przez dziedziniec pałacowy powozu.

Obrażało mnie, że każdy zdawał się wiedzieć o wzajemnym naszym stosunku. Obchodzono się ze mną ze szczególnymi względami, jak z chorą, istotnie też, miotana sprzecznymi uczuciami, cały utraciłam spo-

kój. Czyż miałam naprawdę jako osiemnastoletnia dziewczyna, rozmyślać nad podobnej wagi zagadnieniem życiowym jak nad zadaniem matematycznym? Gdy rozum mój dziesięciokrotnie wołał: „tak”, zwyciężało odrazu: „nie” moich zmysłów, — tryumfując nad wszelkiem rozumowaniem. W owem „nie” brały jednak udział tylko zmysły, nie — serce, w którym zbyt często górowało uczucie litości... tak podobne, do miłości; gdy jednak wystawiałam sobie po chwili, że człowiek ten mógłby mnie pocałować, mógłby pojąć mnie — fizycznie! — wówczas nienawidziłam go prawie.

Byłyśmy jeszcze w Pirgółowie, kiedy nadeszła odpowiedź od mojego ojca. „Brygada w Szwerynie” — było całą jej treścią.

Wszyscy uradowani byli niezmiernie, a ja najwięcej; mój wstręt do powrotu do Brandenburga nie pozostawał też bez wpływu na moją decyzję w sprawie rotmistrza.

Nowa załoga, mały dwór, nowe otoczenie, wzbudzające w jednakiej mierze ciekawość i nadzieję rysowały mi jasne obrazy przyszłości. Kiedy siedziałyśmy już w wagonie w drodze do Berlina i matka moja zadała mi wreszcie fatalne pytanie: „czy mam zawiadomić v. Ollecha?” — nie miałam się już nad czem namyślać. Śmiesznem wprost wydawało mi się, że mogłam kiedykolwiek wahać się między „tak” i „nie!” —

Przez czas przewożenia mebli pozostałyśmy w Berlinie. Dla matki mojej nie istniała większa przyjemność nad przebywanie w stolicy bez obowiązków gospodarskich i towarzyskich. Podczas nieustannego bez znużenia chodzenia jej po muzeach, teatrach i wystawach,



oglądania sklepów na zewnątrz i wewnątrz nikły ostre linie, zarysowane dokoła jej ust, ustępując miejsca wyrazowi iście dziewczęcego rozradowania. Zapominała przy tem nawet o swoich zasadach wychowawczych i zabierała mnie na farsy i operetki, co w gruncie rzeczy bynajmniej nie „wypadało”.

W październiku przybyliśmy do Szwerynu. Pierwsze wrażenie było przygnębiające: dworzec kolejowy, jak w zapadłym kącie, tuż obok olbrzymia buda drewniana — teatr miejscowy, — wąskie, wyboiste ulice, małe domki z niskimi oknami i ludzie, których sam już wygląd cofał o całe lata wstecz.

Za to nowa nasza siedziba nastrojała zupełnie inaczej: mała willa, tuż przy parku, zachęcająco przecierała białymi swemi ścianami z pomiędzy gęstwiny drzew i krzewów. Urządzono w niej dwa pokoje dla mnie: sypialkę białą i niebieską, jak niegdyś, i mały salonik blade-zielony — niespodzianka, przygotowana przez ojca. Byłam uszczęśliwiona: do pracy i do marzeń zamknięty dla mnie kącik! Niezwłocznie zabrałam się do ułożenia książek na zgrabnych etażerkach i rozstawienia reprodukcji, fotografii i drobiazgów na biurku. Przy tej okazji wypłynęło na dzienne światło wiele ukrytych skarbów, pochowanych w kufrach bądź z braku miejsca, bądź z obawy przed matką. Znalazło się więc Makartowskich pięć zmysłów w dużych odbitkach i Böcklinowska wyspa umarłych. Upajałam się świetną pięknnością kobiecych postaci Makarta i zapominałam o rzeczywistości na widok ciemno-błękitnej toni szmaragdowo-czarnych cyprysów na osławionym obrazie Böcklina. Teraz stały oba obrazy w samym środku mojego biurka. Pstra gromada

autorów, z których każdy bardziej różnił się od sąsiada, niż Böcklin od Makarta, zgromadziła się na mojej szafce do książek: Goethe i Juliusz Wolff, którego sentymentalna zmysłowość zajmowała mnie chwilowo, Gottfried Keller i Feliks Dahn, którego opowieści o bogach i bohaterach odpowiadały starym moim sympatyom, świeżo wówczas wydana i gorliwie przeze mnie studywana Historia literatury niemieckiej Scheiera, Historia powszechna Webera i Historia Sztuki Lübkego, a obok w pstrym nieładzie greccy klasycy, rosyjscy noweliści, staro-niemieccy autorzy pieśni bohater-skich w brązowych tomikach reklamowskich oraz współ-cześni lirycy w bogato złożonych oprawach.

Do późnego wieczora porządkowałam w moim pokoju, przekonana, że nikt mi w tem nie przeszkodzi, ponieważ sypialnie rodziców położone były o piętro wyżej. Wtem weszła niespodzianie moja matka. „Jeszcze nie w łóżku?!” — — zawołała, rozglądając się dokoła. Nagle padł wzrok jej na moje książki i obrazy. „Nie wyobrażasz sobie chyba, że zniosę coś podobnego; te bezwstydnie nagie kobiety i ten obraz namalowany przez waryata?”

Krew uderzyła mi do głowy: „O ile mi wiadomo, jest to mój pokój” — zawołałam oburzona — „i jestem już dość dorosła, aby móżdżk urządzać go według własnego gustu.

Może mam wystawić na pokaz obrazki Thumanna, którego Germanowie wyglądają jak salonowe lewki, którego kobiety przypominają same dobrze wychowane i bogato ustrojone damy bazarowe? Nie cierpię takiej obłudy, — jest ona gorsza od nagiej piękności. Wszystko mi też jedno, czy ludzie uważają Böcklina

za waryata. Można by było doprawdy uciec ze świata, gdyby kilku waryatów nie umożliwiałoby pobytu na nim.”

„Wolno ci myśleć o tem, co ci się podoba”, — odpowiedziała matka, i tylko rozgorączkowane policzki jej zdradzały hamowany gniew. „Dopóki jesteś w domu rodzicielskim, musisz się do mnie stosować, i to we własnym twoim interesie. Co powiedziano by o tobie, gdyby zobaczono podobne rzeczy na twojem biurku?!” Powiedziawszy to, wyszła, a ja dotknięta głęboko, zabrałam obrazy do mojej sypialni, — tam nikt mi ich nie zożydzi.

Nazajutrz z samego rana obudził mnie ojciec:

„Cóż Alisiu, miałabyś ochotę przejechać się konno? Twoja kasztanowata klacz czeka na ciebie.” Jednym susem wyskoczyłam z łóżka i po upływie kilku minut byłam gotowa. Zapomniałam o irytacyi i jeszcze bardziej o przepisie doktora. Był przepiękny dzień jesienny, owiany tajemniczą mgłą błękitną, rozjaśnioną wirowaniem w powietrzu deszczu złotych liści. Przez długą, prostą aleję jechaliśmy wzdłuż przyściętych szpalerów i zmurszałych posążków, minęliśmy niewielki domek ogrodowy, uśpiony w gęstwinie więdnących róż i w końcu wjechaliśmy w las olbrzymich szaro-piennych buków, po przez których żółto-zieloną kopułę splełanych liści zaledwie tu i owdzie przedzierał się promień słońca. Jechaliśmy stępą, nie zamieniając z sobą ani słowa, nawet tentent kopyt końskich rozlegał się tutaj przygłuszonym dźwiękiem, jak gdyby konie po puszystych stąpały kobiercach. Nagle, na ostrym skręcie drogi, oślepił nas jaskrawy blask wielkiej smugi świetlnej: niezapominajkowo-niebieska tafla je-

zióra ciągnęła się aż do szaro-mglistego widnokągu, na którym zarysowywały się, strzelające w niebo mnogością wieżyczek, ostrokańczastych dachów, wykuszów i balkonów, kontury czarodziejskiego iście zamku!

Zawróciwszy w kierunku domu, jechaliśmy ulicą nadbrzeżną aż do miasta, od którego pałac panującego księcia oddzielony był sznurem wody z tryumfalnie przerzuconym przez nią szerokim mostem oraz pustym piaszczystym placem. Pokorne, skulone, w nędznej szacie powszedniej, spozierając z nieśmiałym podziwem przez małe okienka domów, rozciągnęło się ono u stóp jego.

„To Mecklemburg” — objaśnił mnie ojciec.

Pierwsze tygodnie pobytu naszego w Szwerynie wypełniły nam oficjalne wizyty i przyjęcia, będące dla mnie całym szeregiem rozczarowań! Ludzie odpowiadali miastu, zarówno marszałkowie dworu, jak ministrowie, kamerherzy i oficerowie. Wynik „dobrego” wychowania rzucał się tu odrazu w oczy: najzupełniejsza jednolitość obyczajów, poglądów, wykształcenia; niezachwiana równowaga, wypływająca z natury wielkiej religijności — słowem dystynkcya, ścierająca z ludzi, w swoim wstręcie przed cieniem ekstrawagancyi, zarówno wszelką wewnętrzną, jak zewnętrzną barwę. A kobiety! Mężatki gładko uczesane, surowe i zimne; całe mnóstwo starzejących się panien — nieomylna cecha każdej małej stolicy — z gorzkim grymasem rozczarowania dokoła bezkrwistych warg — i wreszcie mała garstka młodych dziewcząt, zmuszających się do przepisanej przeciętnej jednolitości. Z powodu żałoby po zmarłym na wiosnę, powszechnie lubianym księciu panującym, którego chorowity syn prze-

bywał jeszcze na południu — nie było wielkich zebrań, natomiast liczne, przerażająco nudne herbatki poobiednie i sztywne, nie ustępujące im pod tym względem, wieczory. Pożądany wyjątek stanowiły obiady w małym kółku u starej wielkiej księżny matki, siostry cesarza Wilhelma I-go. Niezwykła ta staruszka lubiła młodość, i pomimo surowego ulegania etykiecie, która nie wydawała jej się nigdy dość ścisłą, była w obcowaniu z młodzieżą pobłażliwa i życzliwa, zarazem jednak pełna zjadliwego dowcipu. W jej małym pałacu, mocno zrujnowanym domu, od którego opuszczenia nieustannie się wymawiała, rozlegało się w ciągu jednego popołudnia więcej wesołego śmiechu, aniżeli na dziesięciu proszonych wieczorach pozostałych dygnitarzy miasta. Nadto były stosunki towarzyskie szczególnie utrudnione z powodu niechęci rdzennych rodzin Meklemburskich do Prusaków i ścisłego stąd rozdziału towarzystwa podług pochodzenia. Tylko arystokracja miała dostęp do dworu; z trudnością wielką przeprowadziły Prusy, żeby przynajmniej oficer, chociażby nie był szlachcicem, mógł być przyjmowanym przez wielkiego księcia.

Żona jego jednakże nie mogła dostąpić tego zaszczytu, nawet gdy, urodzona jako nie szlachcianka, była żoną szlachcica.

Nie mogłam na dłuższą metę znosić roli, poddającej się w milczeniu, uczestniczki tej pustki towarzyskiej. Zupełne wycofanie się ze stosunków, co byłabym najchętniej uczyniła, było dla mnie wobec stanowiska mojego ojca, związanego nieodłącznie z obowiązkiem utrzymywania otwartego domu, o tyle tylko możebne, o ile wymagałyby tego względy mojego zdrowia. Po-

nieważ jednak nie tańczono, ubywał mi i ten jedyny pretekst; od czasu do czasu tylko, kiedy mnie książka jakaś szczególnie przykuwała, lub też nieodpartą uczuwałam potrzebę przelania fantazyi moich na papier, wymawiałam się niezdrowieniem, kładłam się do łóżka, aby, w chwilę po wyjeździe rodziców z domu, wstać w rokosznem poczuciu niczem nieskrępowanej swobody.

Ota zały mnie wóczas świetlane postacie snów moich, dzięki którym napelniały się niezliczone niebieskie kajeciki poezjami i myślami ulotnemi, baśniami i opowieściami.

O ile zaś wychodziłam, poruszałam wszystkie sprężyny, mogące mi dopomóc do opanowania nudy. Wyzwalałam do walki z nią wszystkie nieliczne zresztą moje rówieśnice, organizując wśród nich formalne zaprzysiężenie: odporne przeciwko starym i nudziarzom oraz przeciwko rozdziałowi płci z chwilą wstania od stołu i czynne—w postaci urządzania teatrów amatorskich i żywych obrazów, do których ja sama wierszowany dorabiałam tekst. Młodość nasza zwyciężała stopniowo: moje talenty towarzyskie znajdowały uznanie: zmuszano mnie też do ciągłego popisywania się niemi. Tryumty te nie zadawałniały mnie wszakże. Szukałam „ludzi” tęskniej i niecierpliwiej, — i często po powrocie z zabawy, na której pozornie najświetniej się bawiłam, były poduszki moje niemymi świadkami rozpaczliwego mojego łkania.

„Korzystasz z najlepszych w świecie warunków życia. Dla czego nie zadawalniasz się niemi?” — pisała do mnie kuzynka, która świeżo bawiła u nas przez czas pewien i nie pojmowała mojej rozterki.

Odpowiedziałam jej:

„Piszesz, i to w tonie moralnego wyrzutu, że mój pogląd na tutejsze towarzystwo jest tak krytyczny dla tego jedynie, iż nie znalazłam jeszcze nikogo, kto interesowałby mnie osobiście.

Zupełnie to zrozumiałe! A czy ty bywasz w towarzystwie dla przyjemności oglądania wielu obojętnych ci osób, dopytujących się o twoje zdrowie, jakkolwiek nic ich nie obchodzi, jak się masz — ludzi, którzy zabijają drogi czas paplaniną, nie dającą żadnej absolutnie podniety twojemu umysłowi, którzy żegnają cię uprzejmem „do widzenia”, aby jutro przyjąc z zupełną obojętnością wiadomość o nieszczęśliwym wypadku, jaki mógłby cię ewentualnie spotkać?! Posuwasz nadto zarzut twój jeszcze dalej i powiadasz z obuczaniem, że znów jestem gotowa zaprzepaścić moje serce. Przyznaję w zupełności. Tutaj, w świętym Meklemburgu, niema człowieka, którego nie wycisnęłabym już jak cytryny i który nie pozostałby w dalszym ciągu tak kwaśnym jak ona. Trzeba więc osłodzić go cukrową wodą zakochania, aby uczynić możliwym do przełknięcia. Kończysz twoje kazanie moralne ostrzeżeniem, aby nie igrać bezkarnie z ogniem.

Uspokój się: jestem w trakcie intensywnego roznieciania tego ognia. A jak on płonie!!! „On” jest przystojny, elegancki, lekkomyślny, powierzchowny — słowem najzupełniej to, czego mi potrzeba! Jest lwem salonowym, pożeraczem serc — a więc materiał, z którego z przyjemnością urabiam sobie mojego rycerza! Litujesz się znów nad nim, jak litowałaś się nad kuzynem Frycem, Fredem, rotmistrzem i t. d.

*Dla czego nikt nie lituje się nade mną? A może po dług was wszystkich nie zasługuje na litość fakt, że roz-*

cieńczać muszę gorącą serdeczną krew moją powszednią, wszystkim dostępną, wodą flirtu? Łaknę światła, promiennego światła ducha, nawet za cenę oślepienia nim moich oczu, łaknę namiętności, która pochłonęłaby mnie całą.”

Przychodziły godziny, w których tętniąca w żyłach moich krew oplątywała mnie siecią dziko wybuchających uczuć. Snopy iskier zapalały mi się wtedy przed oczami, dreszcz płomienny wstrząsał całą moją istotą i wzrok mój namiętnie tonął w oczach tego, kto w tej chwili sunął obok mnie po zwierciadlanej tafli lodu lub też przy obiedzie trącał się ze mną kieliszkiem szampa. Uważana byłam za zalotną; młode dziewczęta odsuwały się ode mnie; natomiast otaczał mnie zawsze rój młodzieży męskiej.

W przystępie okrutnego samobiczowania pisałam w jednym z niebieskich kajecików:

„Jakieś niebezpieczne, dzikie zwierzę roztacza we mnie swoje panowanie. Rozrywa najmocniejsze kajdany żelazne. Wpędza mnie od lat dziecinnych z jednej namiętności w drugą.

Jakaż to nędza chcieć się wznieść po nad dziewczęta uliczne! Gdybyśmy nie były tak dobrze wychowane i tak starannie strzeżone, ileż z nas tą samą poszłoby drogą!” A w innym miejscu taki znajduję ustęp: „O, jakaż marna pociecha odsyłanie mnie do obowiązków domowych! Jak gdybym nie wypełniała ich wszystkich, najmniejszego nie znajdując w nich zadowolenia! Wycierać kurze, przystrajać kapelusze, haftować serwetki, cerować pończochy — czyż to ma koić serce i sycić ducha!? W gruncie rzeczy jest to tylko cnotliwy płaszczyk zabijania czasu, Moje siły żywotne, czynniejszego domagają się ujścia. Chciałabym przeżyć coś ta-



kiego, co nie pozostawia nic tkniętem, ani jednego włókienka nerwów, ani jednej żyłki, nie napełnionej lawą gorącą, chciałabym zdziałać coś wielkiego za cenę bodaj ran krwawych...”

Pewnego razu — siedziałam właśnie przy łóżeczku chorej mojej siostrzyczki, budując jej ze złotego papieru całą Walhallę, której boscy mieszkańcy zrobieni byli z pereł i kolorowych guziczków — wezwał mnie ojciec do siebie. Przyszedszy do gabinetu, zastałam tam pana v. Landsberga, intendenta teatru dworskiego.

„Mam do szanownej pani prośbę” — przystąpił odrazu do rzeczy, zwracając się do mnie. „Chcemy po ukończeniu żałoby uczcić dzień urodzin panującego księcia przez wystawienie specjalnie na ten dzień przygotowanej sztuki. Brak nam tylko odpowiedniego prologu. Czy możemy liczyć na łaskawy współudział pani w tym względzie?”

Serce zabiło mi żywiej z radości: Mam napisać coś dla sceny! Rzecz napisana przeze mnie ma być odegrana w obec tłumnego audytoryum! Zawahałam się jednak:

„Nie znam wielkiego księcia, a wznosić go pod niebiosą tylko dla tego, że jest panującym, — nie potrafiłabym.”

„Nikt też nie żąda tego od pani. Sądzę, że wystarczającym dla twórczości pani motywem pobudzającym będzie fakt, iż przebywać on musi zdala od swojego kraju, na południu, że nieobecność jego ciąży fatalnie na sprawach państwa i handlu, na życiu towarzyskiem i obyczajach dworu, że więc z całego serca pragniemy dla niego wyzdrowienia!” Podobały mi się słowa jego; okazała się okazja wystąpienia po raz pierwszy

przed szerszą publicznością była też zbyt pociągająca, aby mój opór nie miał zniknąć odrazu.

Napisałam górnolotnym stylem coś, w czym więcej było opisu lasów i jezior Meklemburga, sławienia przyjaznych bóstw rodzimych w zestawieniu ze zwo-dniczemi czarami południa, aniżeli podnoszenia osobistych zalet księcia, na którego cześć utwór był skomponowany. Że jednak niezbyt go ceniono z powodu niepotrzebnego jak sądzono—przedłużania się jego nieobecności, odpowiadał mój prolog zamiarom większości. Przeczytałam go naprzód w małym kółku prywatnem, zebra-nem u intendenta, gdzie spotkałam się ze strony obecnych tam aktorów z owacyjnem przyjęciem, które tem więk-sze wywarło na mnie wrażenie, że nie wiedziałam wówczas o ich zwyczaju przesadnie głośnego wyraża-nia swoich uczuć, w przeciwieństwie do naszych oby-czajów, nakazujących redukowanie podobnego uze-wnętrznienia do minimum.

Znalazłam tutaj wreszcie — jak zdawał mi się świadczyć o tem moment ten — ludzi, którzy mnie rozumieli, dla których sztuka była treścią życia. Za-częłam uczestniczyć w próbach, stając się coraz częst-szym gościem w domu intendenta. Jego inteligentna, ujmująca żona nosiła mnie formalnie na rękach; on sam brał mnie zupełnie na seryo — co mi się tak rzadko, niestety, zdarzało! — i dawał mi różnego rodzaju po-żyteczne rady celem poparcia i rozwinięcia mojego ta-lentu. Główną wszakże siłą przyciągającą była Eliza Karstens, młodziutka, czarująca aktorka, która miała wypowiedzieć mój prolog.

Z miłości dla sztuki opuściła ona ciepłe gniazdko rodzicielskie, i poszła w świat, sama, pozbawiona środ-

ków. Na upragnionej drodze do sławy spotkała się zrazu z nędzą, podłością i zapoznaniem, — zapał dopomógł jej jednakże do przewyciężenia wszystkich przeszkód. Landsberg, który, jak bardzo niewielu, umiał odkrywać talenty i dzięki temu przeistoczył ohydłą budę drewnianą przy dworcu na przybytek sztuki, górujący nad wieloma kosztownymi teatrami niemieckimi, zaangażował ją od niedawna. Była cudowną „Małgosią”, wzruszającą „Ofelią”, porywającą „Kasią z Heilbronn”, a nawet anemiczną „Teklę” natchnąć umiała pełnią życia. Prolog mój, wypowiedziany przez nią, wydał mi się istotnie dziełem sztuki. Ale, niestety, ileż łez wylałam z jego powodu!

Ojciec mój osądził go ze szczerem uznaniem; schlebiali próżności jego, że córka taki święciła tryumf, dumne jego wszakże lekceważenie publiczności zbyt było wielkie, ażeby mógł jej pozwolić na wydawanie sądu o mnie. Nie wolno też było ogłosić mojego imienia. Daremnie starałam się nakłonić go, aby odstąpił od tego postanowienia.

„Żeby pierwszy lepszy dureń mógł wycierać sobie zęby naszym nazwiskiem?! — zawołał zaperzony, a każdy pismak ściąć cię dowoli?!” W dniu uroczystości szeptano sobie w największej tajemnicy z ust do ust, moje imię. Oklaski, od których zatrzęsł się teatr, radosną zabrzmiały fanfarą na samem dnie mojej duszy, odżyły dawne marzenia dziecięce, a rozbudzona ambicja rozpostarła swoje skrzydła, w daleką unosząc mnie przyszłość — do przybytku sławy nieśmiertelnej zdobytej w laury, jaśniejące w blasku niezachodzącego nigdy słońca.

Od tej chwili nie zaznałam spokoju. Potrzeba pi-

sania spać mi nie dawała, zmuszając mnie nieraz w nocy do zrywania się z łóżka i zaprzęgania się do pracy. Coraz serdeczniejsza przyjaźń łączyła mnie z Elizą Karstens. Była ona moją powiernicą, cierpliwą, zapalającą się, prawie zawsze bezkrytyczną słuchaczką moich poezji. W teatrze, gdzie bywałam niemal codziennie mając zapewnione dla siebie; o ile nie szłam z rodzicami — miejsce w łoży intendenta, czerpałam nową zawsze do twórczości podniechęć. Kółko artystów, wchodzących w skład miejscowej trupy i żyjących wyłącznie teatrem, rozpałiło żar mej duszy do punktu wrzenia. Zrazu roily mi się mgliste, nieuchwytnie mary i widziadła. Przybierały one kształty realniejsze z chwilą, kiedy śpiewak wagnerowski, Hill, stawał przy fortepianie, wypełniając pokój całą potęgą swojego głosu, albo też kiedy Aloizy Schmitt — jeden z najartystyczniej usposobionych ludzi, jakich znałam kiedykolwiek — zasiadał przy pulpicie dyrektorskim, aby kierować wykonaniem „Fidelii” przez wyszkoloną swoją orkiestrę; ucieleśniały się też one dla mnie podczas samotnych moich przejażdżek konnych po lesie, zdala od miasta, tam gdzie przed wiekami płonęły kadzidła ofiarne, z których dymy wznosiły się pod stropy starych tajemniczo szepczących z sobą buków.

Najczęściej pisałam nocami. Za dnia bałam się, natrętów, ściągających mnie odrazu z wyżyn niebiańskich na padół ziemski. Nie wolno mi było zaniedbać nic i nikogo: ani fryzjerki, ani krawcowej, ani naprawiania bielizny, ani wizyt wreszcie. „Gdybym była mężczyzną, nie wpadłoby ci na myśl odrywać mnie od pracy!” rzekłam kiedyś z rozpaczą przy okazji podobnej do matki.

„Rozumie się, że nie” — odpowiedziała z cierpkim

uśmiechem, „że jednak jesteś kobietą, musisz uczyć się zawczasu, że my, kobiety, nie należymy nigdy do siebie.”

Przypomniała mi się ciotka Klotylda, która powiedziała mi coś podobnego przed laty, i uczucie gorczy oraz żalu do losu przepełniło moje serce.

Nastrój mój posępniał w miarę postępu pracy. Czułam, że nie jestem zdolna tchnąć w dzieło moje cały żar życia, zbyt mgliście przezemnie odczuwany. Zachwyt dobrej Elizy utracił dla mnie całe znaczenie od chwili, kiedy się dowiedziałam, jak bezkrytycznie zapala się ona do wszystkiego; głośny sposób wyjawiania uznania przez świeatek teatralny, zbierający się u intendenta, w czem widziałam dawniej upragniony przejaw naturalnego odczucia, sprawiał mi przykrość, im więcej wykrywałam w nim brzmień fałszywych. Najgłębszą treść duszy własnej ukrywali zresztą wszyscy: my—pod płaszczem milczącej rezerwy, oni—pod przykrywką głośnej wesołości. Przeczytałam Landsbergowi kilka scen z mojego utworu, które wydawały mi się najbardziej udanemi. „Przyniesie mi to pani w całości po ukończeniu, może da się wystawić” powiedział po przeczytaniu. Więcej ani słowa. Gdyby to, co napisałam, było istotnie tem, co stworzyć zamierzałam, byłby napewno inaczej to przyjął!”

Trzymałam się ściśle wzorów klasycznych, przetwarzając pierwotną prozę lub wolne rytmy na pięciostopowe jamby. Zatracała się przy tej przeróbce cała siła, całe ciepło. Im więcej opracowywałam i wykończyłam, nieustannie tocząc walki z formą i techniką, tem bardziej obcą i czczą wydawała mi się własna moja praca.

Wreszcie nastął dzień, w którym siedziałam zrozpaczona przed zapisanemi arkuszami, uświadomiłam sobie bowiem z całą jasnością, że do zadania mego niedorośłam. I znów miałam uczucie okrętu, szybującego bez steru po rozhukanem morzu; nadzieje moje były złudnym mirażem; stało przede mną życie w postaci, ziejącej pustką, ciemnej, zimnej pieczary, tak niedawno rozświetlonej czarownicami pochodniami moich marzeń.

„Wszystko lub nic” — stało się dewizą moją. — Wierna jej, skazałam za jednym zamachem wszystko, cokolwiek od lat najmłodszych napisałam, na całopalenie, opakowałam i opieczętowałam wszystkie moje utwory — między niemi i poroniony najświeższy mój płód, — a klucz od szkatułki, w której je zamknęłam, wyrzuciłam przez okno.

Po dokonaniu czynu tego opanowała mnie tak gwałtowna, tak niepohamowana tęsknota za górami, jak gdyby tam była moja ojczyzna, a wszędzie poza tem obce dla mnie strony. Na prośbę moją, zaniesioną listownie do ciotki Klotyldy o pozwolenie przybycia do Różanki, odpowiedziała mi ciotka odwrotną pocztą, że ona sama wprawdzie jechać tam jeszcze nie może, ale że stara Katarzyna jest na miejscu, zaopatrzy mnie we wszystko aż do przyjazdu jej samej na wieś. Przed wyjazdem przybrałam jeszcze dla siostrzyczki mojej dwie lalki: Helgę i Zygrunę. Połochała je serdecznie, i po wielu jeszcze latach śmiały się do mnie ich sztywne porcelanowe maski, jak gdyby szydząc z tej, która żywych stwarzać chciała ludzi.

---

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Sama w Grainau. — Śnieg leżał jeszcze na zboczach gór tuż nad dolinami, a słońce nie stało jeszcze dość wysoko na niebie, aby móc więcej, niż w ciągu kilku godzin dziennie, świecić znów nad wioską, przed którą w zimie miesiącami kryło się poza stromymi ścianami Waksensteinu.

Jedynie w wodach jeziora przeglądały się od dawna już promienne jego blaski, jak gdyby przekonać się chciały, czy godne są zbliżającej się wiosny, tu i owdzie przezierającej jasnym okiem przez oponę chmur ołowianych na biedną, odartą z kwiecia i zieleni, ziemię. Dziwnie błogo zrobiło mi się od razu na duszy na widok rzeki szumiącej i spienionej pełnią żółtych wód wiosennych. Ani deszcz, ani burza, siekące chłodną swą falą czoło moje i policzki, nie mogły mnie powstrzymać od radosnego powitania drogich mi kątów; otulona w płaszcz nieprzemakalny przebiegałam wszyst-

kie znane mi drogi, szczęśliwa, że nikt na mnie nie zrędził, kiedy ubłocona, z włosami w nieładzie, wracałam do domu, lub nawet spóźniałam się na obiad czy wieczerzę. Dobra Katarzyna kiwała tylko z pobłażliwym uśmiechem głową, głaskała moje rozgrzane policzki, powtarzając: „ach, ci młodzi, ci młodzi!” i nie zapominając wkładania mi na nogi ogrzanych pończoch i wysuszonych bucików.

Cóż to była za rokosz znaleźć się w Grainau samą! Samodzielnie rozstrzygać o całym rozkładzie dnia! Motyl, wykluwający się z pancerza swojej poczwarki, nie mógł chyba czuć się szczęśliwszym i swobodniejszym ode mnie! Nagle — siedziałam właśnie pod kapiącym drzewem na mokrej ławce, którą mi niegdyś wyciosał Sepp — przypominałam sobie, że mam osiemnaście lat; — Boże, jakaż ja młoda!

Cała przejęta tą świadomością, zbiegłam w kilku susach z góry, śmiejąc się do rozpuku, gdy nagle, u kresu tej karkołomnej podróży rozciągnęłam się w całej długości na miękkim mchu.

Ciotka Klotylda odkładała przyjazd swój z tygodnia na tydzień. Katar i zła pogoda nabawiały ją strachu o głos, w obec którego ustępować musiało wszystko na drugi plan. Przysyłała mi ostrzegające listy, w których ściśle zakreślała, jak daleko wolno mi zapuszczać się na samotnych spacerach, mianowicie co najwyżej na kwadrans w promieniu — zalecając zarazem Katarzynie, aby pilnie dawała na mnie baczenie.

Przyszła tymczasem wiosna. Drzewa wdziały na jej powitanie pierwsze bladezielone listeczki. Siady-



wałam już godzinami, kąpiąc się w słońcu, na werandzie w bujaku ciotki — bez roboty ręcznej i bez książki. Oprócz mnie i Katarzyny był w całym domu tylko stary ogrodnik oraz jego zgrzybiały pudel, który w stoicyzmie swojej starości oduczył się nawet szczekania. Cichutko też było u nas jak makiem siał. Tem więcej też się zdziwiłam, kiedy nagle pewnego ranka zabrzmiał mi w uszach silny głos mężki:

„Proszę mi nic nie wmawiać!” — wołał on — mam przecież oczy otwarte — i stawiam dziesięć na jednego, że Różanka jest zamieszkała.

„Ale doprawdy, niech mi Wasza Wysokość wierzy, pani baronowej niema tu jeszcze!” — zapewniała Katarzyna. Głośny śmiech całą był odpowiedzią.

„Temu nie przeczę, ale na całym bożym świecie jedna tylko Alicya ma taką czarną kędzierzawą główkę, jak ta, którą dojrzałem dzisiaj nad jeziorem. Duchy nie bywają takie ładne”.

Hellmut! To on! Wybiegłam, wyciągając do niego na powitanie obie dłonie. Lata, które upłynęły od naszego ostatniego widzenia, wymazane zostały w jednej chwili z mojej pamięci, i dopiero, spostrzegłszy, że stoi przede mną wysoki mężczyzna o ogorzalej twarzy, przyozdobionej podkręconym do góry wąsem, zaczerwieniłam się mimo woli.

— Czy — nie pozwoli pan dalej? — zapytałam zażenowana.

— Ależ, Alicyo, — „pan”! Jesteśmy przecież starymi przyjaciółmi, mówiąc to, uściśnął mocno moją rękę, siadając wraz ze mną do opuszczonego przed chwilą stołu, czemu Katarzyna przyglądała się pobladła i zmieszana.

Niezwykłość sytuacji oszołomiła nas w pierwszej chwili. W milczeniu wyjęłam jeszcze jedną filiżankę z szafy i nalałam mu herbaty, czując przy tem przez cały czas wzrok jego uparcie we mnie wlepiony.

„Jakże wypiękniałaś!” — szepnął jak gdyby do samego siebie. W tej samej chwili weszła Katarzyna i zaczęła gospodarować zawzięcie po całym pokoju. Zmusiło nas to do prowadzenia rozmowy zrazu sztywnej i wymuszonej, stopniowo wszakże coraz bardziej się ożywiającej. Gdy zaczęliśmy wypytywać się wzajemnie o powód naszego tutaj pobytu, dowiedziałam się, że w Monachium, na drodze do Włoch, zdjęła go nagła tęsknota za górami Garmiszu. „Przyjazd mój mocno był nie na rękę naszemu administratorowi w Partenkirchen” — dodał ze śmiechem — „w chwili, kiedy wszedłem, przyjmował on właśnie gości w salonie mojej matki. Wybaczyłem mu łaskawie pod warunkiem, że nie puści przed nikim pary z ust o moim tutaj pobycie.”

„Jesteśmy więc tutaj oboje incognito” — zawołałam wesoło, „ciotka uważa w gruncie rzeczy pobyt mój samotny w Różance za tak kompromitujący, że musiałam przyobieczać, iż nie pokaże się wcale w Garmiszu”.

Hellmut pozostał u nas prawie do południa. Ostrzegające spojrzenia, rzucane mi co chwilę przez Katarzynę, odebrały mi odwagę zaproszenia go na obiad. Zapowiedział mi jednak złożenie nazajutrz zrana „uroczystej wizyty pożegnalnej”.

„Gdyby o tem wiedziała pani baronowa!” — westchnęła pocziwa Katarzyna po jego odejściu.

Nazajutrz zrana lał deszcz strumieniami. „Nie

przyjdzie napewno” — było pierwszą moją myślą po przebudzeniu, że złością też naciągnęłam znów kołdrę na ramiona. W chwilę później powrócił jednak promyk nadziei, zniewalając mnie do wyjęcia z szafy ładnej, jasnej sukni domowej zamiast codziennej szarej spódnicy.

Zaledwie zasiadłam przy syczącym wesoło samowarze, kiedy rozległo się za drzwiami wesołe jego powitanie. „Dzień dobry, panno Katarzyno”... „Jestem zmoczony jak kot, a głodny jak pies. Widzi panna, że w człowieku doskonale się te bestye godzą.” Nawet wytresowana przez ciotkę Klotyldę, nieskazitelnie poważna zazwyczaj, Katarzyna nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Pozostawiła nas samych — po raz ostatni przecież — powiedzieć sobie zapewne musiała na własne uspokojenie.

Jak przytulnie było w ciepłym pokoju, gdy długie głuche strumienie deszczu nieustannie spływały po szybach. Śniadaliśmy, gawędząc wesoło zupełnie jak starzy przyjaciele — i zasiedliśmy potem przy jasno płonącym ogniu kominkowym.

„Może papierosika? — zapytał, podając mi napełnioną papierośnicę.

„W tym oto świętym przybytku?” — zapytałam przerażona.

„Zanim przyjdzie jego władczyni, uleci dym bez śladu. — Muszę ci coś opowiedzieć, Alicyo, a bez papierosa jakoś nie idzie, dodaje mi on odwagi, wiesz! Paliliśmy przez chwilę w milczeniu.

„Nie przypatruj mi się tak” — zaczął wreszcie. — „bo inaczej wyda mi się za bardzo śmiesznem, że robię ci wyznanie, jak koledze.” Odsunęłam ze śmiechem mo-

je krzesło i skierowałam wzrok wprost na kominek.  
„Czy teraz dobrze?”

„Doskonale. Ale po co u dyabła masz tak śliczny profil!”

Milczał znów przez chwilę, poczem zaczął na nowo. „Słuchaj — narobiłem głupstw w Berlinie. Kosztowało to biedną mamę, która i tak nie stąpa po różach, huk pieniędzy, ażeby zatuszować całą sprawę”. — Spojrzałam na niego nieco przestraszona. — „Nie bój się, Alicyo, nie było to nic niegodnego; daję ci na to słowo. Nie możesz wcale zrozumieć naszego położenia. Nie jesteśmy przecież z kamienia — młode panny „z towarzystwa” są dyabło sztywne i nudne, jak lalki, — a jeśli nie są takimi, to na własną swoją biedę.” Zadrżałam.

„Możesz coś o tem sama powiedzieć, co?!” — Słowem, co tu dużo gadać, zakochałem się pewnego pięknego poranku w baletniczce — słodkiem małym stworzonku, — (o jak głupio, że łzy gniewu stanęły mi w oczach przy tem wyznaniu jego) — „ale okropnem gapiątku zarazem. Tak prawdę powiedziawszy, trwała miłość moja wszystkiego dwa dni, potem przeszła w przyzwyczajenie, a może i w litość — czy ja wiem zresztą?” — zerwał się i zaczął przebiegać niespokojnie wzdłuż i wszerz pokój, rozgniatając w palcach nieszczęsny papieros. „wreszcie nie mogłem wytrzymać — musiałem się uwolnić za wszelką cenę! Ojciec małej poleciał pędem do mojej matki i zaczął jej prawić o złamanem życiu, wydartej czci i t. p. Względem mnie zachowywał się do owej chwili jak najpoddaniejszy, wdzięczny sługa. — Koniec całej tej awantury możesz sobie łatwo wyobrazić.

Drżałam ze wzruszenia. Olśniła mnie myśl, której nie mogłam się pozbyć. „Czy ma ona — dziecko?” — wyjąkałam wreszcie z trudem. Stanął przede mną oniemiały z wrażenia.

„Wiesz, paradna jesteś, Alicyo, ależ ty się naprawdę wyrodziłaś od reszty” — zawołał wreszcie, i wyciągając do mnie rękę, dodał uroczyście: „Daję ci na to słowo uczciwości, że nie! Gdyby stało się takie nieszczęście, byłbym inaczej o tem mówił!

„Ale czekaj, nie skończyłem jeszcze. Dano mi urlop i wysłano mnie do Włoch, jak widzisz — „a po skończeniu tej podróży mam się — ożenić!” Załamał w komicznem przerażeniu ręce.

„Z kim?” — zapytałam, starając się pokryć udanym spokojem gwałtowne bicie serca.

„Z kim?! Z pierwszą lepszą księżniczką o lnianych włosach — wiesz jak to ubóstwiam! — anemiczną, płaską jak dobrze wyheblowana deska!” Czulałam z tajoną radością bystre rzucone na mnie spojrzenie. „Równe mi urodzeniem i uposażone w bogaty trzos nie biegają zresztą tuzinami po świecie. A musi być, księżniczka krwi, mama nie przystaje bowiem inaczej, w przewidywaniu że korona kuzyna Jerzego ozdobi kiedyś głowę jej urwipołcia jedynaka! Ale musi mieć też i pieniądze, dobrze ci przecież wiadomo, w jakim rażąco-bolesnem pozostaje kieszeń nasza przeciwieństwie do świetności naszego rodu!”

„A ty?”

„Ja życzę kuzynowi najdłuższego żywota, zacnej małżonki i tuzina chłopaków!

„Nie mam najmniejszego talentu do rządzenia, a do żeniaczki jeszcze mniej. Dowiedziałem się o tem

właśnie dopiero od wczoraj. W zatęchłym powietrzu herlińskim, wobec całej zebranej rady familijnej, byłem zupełnie bez woli. Ale od wczoraj po odejściu od ciebie laziłem do późnej nocy po górach i nalykałem się dobrego wiatru ze szczytów. Dzisiaj wiem już na pewno że nic z tego nie będzie, choćby sobie karki poskręcali, nie mogę się żenić z żadną księżniczką.”

Odwrócił się ode mnie i patrzył na spływające po szybach krople deszczu.

„Nie mogę” — powtórzył cichym głosem, muszę dostać tę, którą kocham.

Cisza zaległa pokój. Słysząc było tylko miarowe głośnie sykanie zegarka.

„Chciałbym zostać tutaj, Alicyo! — dodał po chwili z uroczystą powagą.

„Potrzeba mi samotności i — ciebie. Musisz mi pomódz zastanowić się, co ze mnie będzie.

„Zostań się, Hellmucie”, — odpowiedziałam bez namysłu, w tej samej jednak chwili przypomniałam sobie Katarzynę, ciotkę i ludzkie gadanie. Równocześnie weszła wierna moja strażniczka i, kramarząc się niezwykle długo przy uprzątanii ze stołu, zapytała:

„Czy Krzysztof ma zamówić powóz dla Waszej Wysokości?”

Krew uderzyła Hellmutowi do głowy. Zrozumiał. „Nie”, — odparł, pójdę piechotą. Nie chcę, aby jeszcze więcej osób wiedziało o moim pobycie tutaj.” Katarzyna spojrzała na niego z niedowierzaniem. „Proszę się nie obawiać o naszą panienkę, jestem jej najlepszym przyjacielem i nie pozwolę, aby włoszek spadł z jej głowy.” Uspokojona poczciwina wyszła bez słowa odpowiedzi, poczem Hellmut zwrócił się do mnie:

„O, te przekłete względy, jakie zachować musimy wobec ludzkiej nikczemności! Czyż to nie najnaturalniejsze na świecie, że siedzimy tutaj razem. A tymczasem! Nie wolno mi wrócić do ciebie — przez wzgląd na ciebie!”

Gorycz załala mi usta. Zarazem wydało mi się marnem tchórzostwem pozwolić mu odejść w ten sposób.

„Dużo spaceruję” — szepnęłam, ociągając się, jeśli istotnie potrzebna ci jestem, jak powiadasz — mogliśmy — spotkać się gdzieśkolwiek.

„Dzięki, dzięki stokrotne, Alicyo. Ale to nie poprawi sytuacji. Wyznaczać sobie schadzki tajemne jak... nie, nie mogę ci wyrządzić takiej krzywdy. Skończmy z tem lepiej od razu: bądź zdrowa, żegnaj!” Przycisnął rękę moją do ust, i, nie czekając ode mnie odpowiedzi, zawrócił szybko ku wyjściu.

Kipiało we mnie. O, gdybym mogła zmiażdżyć tego bożka konwenansu, na którego ołtarzu składamy na całopalenie najświętsze nasze uczucia i najpiękniejsze chwile naszego życia, na którego cześć zakuwamy wolne nasze członki w okowy.

Wychodząc ku wieczorowi do ogrodu, spotkałam biegnącego mi naprzeciw małego chłopca z wyciągniętą ku mnie wiązanką konwalii w rękę. Wyjęłam już portmonetkę, aby mu zapłacić, ale mały poseł wcisnął mi kwiaty w rękę z filuternym uśmiechem, po czym uciekł spiesznie. W tej samej chwili spostrzegłam przyczepiony do łódzek list.

„W chwili odjazdu” — pisał Hellmut — posyłam przyjaciółce mojej kwiaty, jedyne, jakie udało mi się znaleźć. Jadę wprost do Berlina.

Jakkolwiek bardzo żał mi mamy, postanowiłem nieodwołalnie, że muszę zostać wolnym. Gdybym miał nawet zyskać wolność tę za cenę orła na szyszaku. Każę się przenieść do waszego pułku dragonów, żegnając cię też z nadzieją rychłego szczęśliwego spotkania w Szwerynie i przyjacielskiego dalszego prowadzenia naszej przerwanej rozmowy.

Twój stary przyjaciel

*Hellmut.*

Radość moja była tak wielka, że musiałam się z nią z kimś podzielić. Zmusiłam starą Katarzynę, pomimo całego jej oporu, do zajęcia obok mnie miejsca przy wieczerzy i wypicia ze mną wina, które przyniosłam sama z piwnicy. W końcu zawołałam pudła i dopóty biegałam z nim w kółko po pokoju, aż odżyły w nim wspomnienia młodości i, wesoło machając ogonem, zaczął szczekać ochryplym ze starości głosem.

W połowie czerwca powróciłam do Szwerynu. Za cztery tygodnie odbyć się miał wjazd wielkiego księcia, po którym zapowiedziany był cały szereg najróżniejszych uroczystości. Nie chciałam obarczać matki całym ciężarem spraw toaletowych; ciotka Klotylda, która przybyła do Grainau, wkrótce po wyjeździe Hellmuta, obdarzyła mnie, wzruszona mojem poczuciem obowiązku, różową jedwabną suknią, pokrytą białym, zahaftowanym złotem, tiulem. Ku największemu zdumieniu matki zainstalowałam się na dobre w szwalni. „Odkrywam w tobie nowe zupełnie talenty” — zauważyła, widząc mnie nieustannie przymierzającą, przypinającą i fastrygującą, powierzającą szwaczce jedynie mechaniczne wykończenie toalet.



Nikt nie powinien był się domyśleć, że suknie nasze nie pochodzą z pierwszorzędnego magazynu. Gniewało mnie niemal, że kilku moich niezrażonych adoratorów z ubiegłej zimy urządziło na urodziny moje piknik, któremu musiałam poświęcić cały dzień roboczy. Nie przeszkodziło mi to jednak, świetnie się bawić przy tej okazji i doznawać większej jeszcze, niż zazwyczaj przyjemności z adresowanych do mnie wymownych spojrzeń i czułych słówek. Usadowiliśmy się wygodnie pod bukami z butelkami szampana, kiedy nagle zjawił się mój ojciec, który nie mógł towarzyszyć nam wcześniej, a obok niego wyblęsnął na tle zieleni jasnoniebieski mundur dragoński.

„Sprowadzam z sobą Jego Wysokość, księcia Hellmuta, który raczył nas właśnie dzisiaj odwiedzić,” powiedziała ojciec na przywitanie. Całe towarzystwo zerwało się w milczeniu na równe nogi. Wejście każdego księcia krwi, nawet najdalszego od korony staje się powodem chwilowego milczącego zażenowania w każdym najarystokratyczniejszym nawet kole. Hellmut skłonił się towarzystwu, poczem szybko zbliżył się do mnie, jedynej, która w tej chwili spokojnie w dalszym ciągu siedziałam na trawie. „Obrałem dzień ten na pierwszą, moją wizytę, aby w charakterze dawnego przyjaciela złożyć u stóp pani najserdeczniejsze moje uczucia.

Ceremonialny ton tej apostrofy kazał mi spojrzeć na niego ze zdumieniem.

„Dziękuję Waszej Wysokości za łaskawą o mnie pamięć” — odparłam z lekko ukrywaną ironią.

Kiedy w chwilę później siedzieliśmy obok siebie nieco odosobnieni — reszta towarzystwa trzymała się—

pomimo wielkiej ciekawości — w pełnym respektu oddaleniu — wytlómaczył mi powód swojego zachowania się. Ojciec mój prosił go o zaniechanie dawnego naszego „tykania się”. „Znasz pan zbyt dobrze plotkarskie skłonności małych stolic, abys miał źle o mnie zrozumieć” — dodał podobno. Kiepskim był mój ojczuś psychologiem. Powinien był wiedzieć, że zakaz ten pozbawił stosunek nasz niewinnego swojego charakteru, nadając mu natomiast niebezpieczne piętno rzeczy ukrywanej. Powróciliśmy, bez umawiania się, o to, do dawnego „ty”, jak tylko zostawaliśmy sami, zaś wobec innych, rozbawieni odgrywaną przed głupimi, komedią, tytułowaliśmy się: „Wasza Wysokość” i „łaskawa pani”.

Nadeszły promienne dni letnie. Pora roku, w której narodziliśmy się, ma tajemnicze jakieś znaczenie w naszym życiu. Nigdy nie odczuwam tak silnie i głęboko wszystkich rozkoszy i bólów, radości i cierpień życia, jak wówczas, kiedy ziemia i niebo zieją potoki żarów ognistych. Jak pączek różany otwiera się i aż do głębi złotego swego kielicha chłonie blaski promieni słonecznych, tak rozwiera się w chwilach takich moje serce.

Jednego z poranków lipcowych odbył się przy głośnym dźwięku trąb i powiewie sztandarów wjazd uroczysty Fryderyka Franciszka II i małżonki jego, Anastazyi, przez ulice Szwerynu do zamku. Wieczorem tegoż dnia, gdy księżyc płynął wysoko po niebie, spowijając bajeczny zamek w mgły srebrzystych welonów, ożywione było całe jezioro mnóstwem małych i wielkich, przystrojonych mnóstwem kolorowych lampek, łodzi i statków. Girlandy świateł piętrzyły się aż na

szczyty masztów, a zwoje kwiatów zwieszały się ze wszystkich stron, odbite czarownie w kryształowej tafli wód.

Nieliczni tylko dostojnicy otrzymali tego wieczora zaproszenie do zamku, aby przyglądać się z tarasów ogrodowych przepięknej uroczystości. Rodzice nasi wraz ze mną znaleźli się w ich rzędzie, zarówno jak Hellmut, przydany dnia tego do świty najdostojniejszego z gości, króla greckiego.

Stałam z boku, pod krzewami głogu, kiedy głos jakiś szepnął po za mną:

„Chodźmy”. Ujęłam podane mi ramię, czując ze drżeniem uścisk, jakim przytuliło mnie ono do siebie.

Schowana w gąszczu traw, kołysała się na wodzie łódka. Nie było na niej światła, ale wzamian tonęło siedzenie całe w poduszkach i pledach, a na dnie stały wysokie białe kosze, przepelnione mnóstwem najpiękniejszych róż. Popłynęliśmy wzdłuż zacienionego brzegu, daleko, gdzie jezioro było ciemniejsze i bardziej samotne. Światła łódek i statków wydawały się zdala niby armie robaczków świętojańskich, na które majestatycznie spoglądała z wyżyn swoich wielka tarcza księżycy.

„Zimno ci, Alicyo?” — Wciągnął wiosła, i kłęcząc przedemną, otulił mnie szczerze pledami. Dłoń jego, dotykając obnażonego mojego ramienia, płonęła i drżała, a serce moje przeszył sztyletem ból dojmujący, a zarazem rokoszny... Spojrzeliśmy na siebie, — głęboko, poważnie.

Wtem zarysowała się na ciemnej toni jeziora łódka jakaś, tuż obok naszej.

„Jego Wysokość wybaczy — goście rozjeżdżają

się już — czy wolno mi służyć państwu?” Był to hrabia Waldburg, towarzysz pułkowy księcia, który wskoczył nagłym ruchem do naszej łodzi, kierując nią zreżcznie w sam środek iluminowanych statków, gdzie — we troje — widziani przez wszystkich, żywy wzięliśmy udział w walce kwiatowej, bombardując na lewo i na prawo różami z naszego kosza. Po chwili ukazaliśmy się już wszyscy troje w ogrodzie zamkowym, gdzie przyłączyliśmy się do towarzystwa, opowiadając z całym spokojem o naszej wspólnej wycieczce.

„Dziękuję panu, hrabio”, szepnął Hellmut. Jeszcze jeden brzęk uderzonych razem o siebie ostróg, grzecznie zimne skinienie głową za całą z mojej strony odpowiedź, i już szłam za rodzicami ku powozowi, który miał odwieźć nas do domu.

Reszta dni letnich upłynęła niby szereg snów czarownych. Gwałtowne, krótkie burze zdawały się za każdym razem oczyszczać ciężkie zazwyczaj powietrze Meklemburga; młodzież odważała się znów być młodą, a starzy pobłażliwie się na to uśmiechali.

Cichy zazwyczaj park wrzał życiem: tańczyliśmy na miękkich trawnikach pomiędzy ustrojonemi w pstre girlandy chorągiewek masztami; bawiliśmy się w gry dziecięce pod cieniem drzew, i, znużeni zabawą, błakaliśmy się po strzyżonych alejach bukowych, obok rozpryskujących świetne kropelki fontan i kruszących się ze starości posązków bogów i bogiń. Ślepi i głusi na cały dokoła nas świat krążyliśmy wesoło wśród ludu.

Często wyjeżdżaliśmy w umajonych zielenią powozach dalej za miasto, do lasu lub do odleglejszych jezior, z których jedno zdawało nam się piękniejszym od dru-

giego: jedno, ponieważ ciągnęło się wązkim i długim pasem wzdłuż widnokregu, okolone wesołemi widokami, — inne, dla tego, że samotne i ciemne leżało u stóp porośniętych zielenią pagórków. Czasem znów jeździliśmy wczesnym rankiem po polach, gdzie często milami nie spotykaliśmy ani domu, ani człowieka, i w końcu dopiero wyłaniał się z poza gęstwiny drzew wspinały dwór, górujący nad ubogimi chatkami wyrobników, — zmniejszone odbicie Szwerynu. Zdaleka dostrzegając ten obraz, zwracałam, aby go dłużej nie oglądać.

„Boi się pani zapewne wiejskich psów?” — zapytała pewnego razu złośliwa pewna młoda osoba. „O to nikt mnie chyba nie posądzi” odpowiedziałam „wstydzę się wprost biednych ludzi.” Wszyscy śmieli się, tylko Hellmut zwrócił się ku mnie, mówiąc: „Biedni ludzi najmniej zrozumieliby panią. Zdaje mi się, że mają dla nas jedynie uczucie ciekawości i podziwu”.

„Tem gorzej! Ja bowiem rozumiem ich tylko wtedy, kiedy ciskają w nas kamieniami” — odpowiedziałam głośno, uderzając ostrą szpicróżgą moją klacz, która posłusznie pogalopowała we wskazanym przeze mnie kierunku. Hellmut ruszył z miejsca za mną, chwycił prawą ręką za moje cugle i z młodzieńczym w jasnych oczach uśmiechem szepnął: „Nie ujdiesz mi, ty moja, dzika, słodka dziewczyno!” — Gniew mój prysł odrazu — poddać się jemu, silnemu, cóż za promienna dla mnie była to rokosz!

Pewnego razu popłynęliśmy łódkami do Ratensteinfeldu, cichej wdowiej siedziby starej wielkiej księżny. Wyprzedziło nas statkiem liczne towarzystwo, złożone ze starszych i poważniejszych osób, które uważały sobie od czasu do czasu za obowiązek opiekować

się nami, młodzieżą. Nie znosiłam tego nigdy na dłuższą metę i byłam zawsze pierwszą, umiejącą wynaleźć sposoby i drogi wysunięcia się z ich pola widzenia. Hellmut zachowywał się poprawniej, nie chcąc obrażać form. I tym razem wstałam od stołu herbatnego, wołając z uśmiechem: „Kto nie jest filistrem, pójdzie za mną”, — i z temi słowy pobiegłam ku wybrzeżu. Kilku młodych ludzi poszło w moje ślady, a ja, oburzona za opór Hellmuta, kokietowałam ich z wymuszoną wesołością.

Na powrotnej pieszej drodze o zmierzchu do domu przyłączył się wreszcie do mnie. Głęboka zmarszczka zarysowała się między jego brwiami, nadając jego dobrej zazwyczaj twarzy zły wyraz. „Nie wolno ci robić mi po raz drugi czegoś podobnego—słyszysz?”, syknął, a palce jego ujęły w kleszczowym uścisku moją dłoń.

„Daruj”—szepnęłam—„ale dla czegoż pozostawiłeś mnie samą?” „Czy nie wiesz, że wszystko to robię tylko dla ciebie?” — Głos jego zmiękł, gdy mówił zdławionym szeptem te słowa. Szliśmy chwilę w milczeniu, mowa zbyt była ubogą, aby mogła oddać pełnię naszych uczuć.

Innego upalnego dnia lipcowego wydał pułk grenadyerów bankiet w pałacyku myśliwskim Friedrichstalu. Zgrzani i zmęczeni tańcem i zabawą zeszliliśmy wszyscy na wybrzeże jeziora, gdzie splątane gałęzie buków i wierzb gęste tworzyły nad pasem nadbrzeżnym altany. Powoli rozproszyło się całe towarzystwo na wsze strony, a my zostaliśmy tylko w pięcioro: dwie młode panny i trzech panów. Rozlokowaliśmy się nad małą, gęsto obrosniętą zatoką, gdy nagle zdjęła mnie ochota ochłodzenia nóg w wodzie. Towarzyszka

moja spąsowiła na moją propozycję pójścia w jej ślady. „To nieprzyzwoicie” — szepnęła ostrzegawczo. „Nieprzyzwoicie” — powtórzyłam głośno, — obnażasz przecież ręce, szyję, ramiona — dla czegoż więc boisz się obnażyć stopy?”. „Brawo, brawo” — przyklasnął jeden z panów. Pobudziło mnie to, patrząc więc śmiało na obecnych, dodałam: „Czy mam wam powiedzieć to, o czym wiecie wszyscy, a czego nie macie jedynie odwagi sobie powiedzieć?”

— Wstydzimy się tylko naszej brzydoty — mówiąc to, zrzuciłam szybko buciki i pończochy.

Przykra cisza zaległa dokoła; nie miałam odwagi spojrzeć poza siebie, wpiłam się wzrokiem w obnażone moje nogi, jak gdybym oglądała je po raz pierwszy, — były takie białe, takie okropnie białe! — krew uderzyła mi purpurą do głowy. Dotknęłam bojaźliwie wody końcami palców. „Jest — jest za zimna,” — wyjąkałam, chowając szybko nogi pod suknię. Szmer nagły dokoła wskazał mi, że panowie oddalili się; a mała obok mnie, czerwieńsza jeszcze i bardziej zawstydzona ode mnie, pomogła mi ubrać się, poczem szybko uciekła.

Podniosłam się z wolna — członki moje zaciężyły mi nagle — gdy wtem stanął przede mną Hellmut. Krople potu wystąpiły mu na czoło. Twarz jego dziwnie była blada.

„Od tygodni całych buduję dokoła ciebie mur wysoki, aby nikt nie śmiał za blisko do ciebie przystąpić, a ty — ty wystawiasz się na łup tej zgrai”, — zaledwie zdołał wyjąkać. Łzy puściły mi się z oczu, — w tej samej chwili opasało mnie jego ramię, usta jego przywarły do moich, i gorące, długo hamowane przemocą, fale namiętności zalały nas swoim żarem.

Jak się rozstaliśmy, jak wróciłam do domu, — nie pamiętam.

Wiem tylko, że siedziałam przy otwartem na oścież oknie, wciągając głęboko łagodne powietrze nocy, jak gdybym nigdy przed tem nie zaznała roskoszy oddychania. Wtem zamarł mi dech w gardle, — silny krok, łoskot wlokącej się po ziemi szabli rozdarły ciszą, jasny błękit zabłysnął po przez ciemne zarośla ogrodu. „Alicyo” — zadźwięczało tęsknie. — Wyjęłam różę, więdnącą mi u paska i rzuciłam ją w dwie nadstawione dłonie. Wszystkie myśli uciekły mi z mózgu, czułam tylko z podwójną intensywnością. Zrana przy kawie przytuliłam się serdecznie do ojca, — przyszło mi nagle na myśl, że chłodem odpowiadam na wielką, wzruszającą jego miłość dla mnie. — „Promieniejesz już od samego rana”, — zażartował, głaszcząc mnie na poły radośnie, nawpół ze zdumieniem po policzkach. Nieśmiało, w poczuciu winy, ucałowałam ręce matki, Jak źle wynagradzałam dotychczas jej ofiarne oddanie się!—a jak poważna i zmizerowana była jej twarz! Wbiegającą w tej chwili siostrzyczkę chwyciłam w ramiona, posadziłam ją sobie na kolana, szepcząc do jej różanego, okolonego złotemi lokami uszka: „Słuchaj — zdradzę ci wielką tajemnicę: dzisiaj w nocy tańczyły rusałki z szarym karzełkiem zamkowym, aż padł on bez tchu na murawę. Może leży tam jeszcze i chrapie, a rusałki zapomniały ze śmiechu drogi do wody. Chodź prędko — może są tam jeszcze!” Klasnęła w ręce z radości i w dziesięć minut później byłyśmy na dole przy jeziorze.

Elżunia szukała — ja natomiast cicha byłam i poważna i wciąż patrzyłam na daleki brzeg przeciw-



legły: czy i to szczęście, które mnie tam spotkało, było też tylko zjawą nocną? — Nie znalazłyśmy rusalek — Elżunia rozgniewała się. Wracając wolnym krokiem do domu, spotkałyśmy jadącego ku nam konno młodzieńca, — nie śmiałam spojrzeć na niego. W jednej chwili był on przy mnie, trzymając konia za cugle. „Czy chcesz jeździć, malutka?” — zapytał, podnosząc na siodło siostrzyczkę, której namiętnością były konie. Szliśmy dalej w milczeniu, tylko oczy nasze utonęły w sobie wzajem głęboko, coraz głębiej, — dopóki nie zdobyły pewności i w najodleglejszym nawet zakątku dusz nie znalazły nic po za własnem odbiciem.

„Rusalek już nie było”, — powiedziała siostrzyczka w domu do mamy, — „ale ksiązę Hellmut pozwolił mi jeździć konno!”

„Ksiązę Hellmut?! Szybkie, podejrzliwe spojrzenie matki padło na mnie w przelocie. Odwróciłam się do okna, gorliwie porządkując na niem lampki do wieczornej iluminacji.

Dzień urodzin wielkiej księżny matki miał być święcony ostatnim, a zarazem najwspanialszym festy-nem letnim. Krewni i przyjaciele dworu, deputacye pułków gwardyi, cała arystokracja meklemburska zgromadzona była w Szwerynie. Godzinami zajeżdżały powozy i przed nasz dom, goście przychodzili i odchodzili; przeważnie były to wizyty oficjalne, nie brakło wszakże i odwiedzin przyjaciół. W białej sukni koronkowej, z paroma różami żółtymi zatkniętymi u paska, stałam w salonie, pochylając się zgodnie z etykietą nad rękami pań i kiwając uprzejmie głową panom. To, co zazwyczaj nużyło mnie, napawało mnie dzisiaj radością, zaostrzony bowiem wzrok mój pozwalał mi

dostrzegać mnóstwo podziwiających mnie oczu. Oglądając się późnem popołudniem, przed samym wyjazdem do zamku, w zwierciadle, ujrzałam w niem wysoką postać, opłyniętą zwojami różowego jedwabiu, którego mocny, ciepły ton przezierał. przytłumiony nieco przez haftowany złotem tiul; na długim trenie rozsiane były róże, róże jaśniały też we włosach. Byłam zadowolona.

Zwartą ciżbą stali ludzie na moście zamkowym, na którym powozy mogły się posuwać tylko noga za nocą. „Alicya v. Klewe” — „Alicya v. Klewe” — szło szeptem z ust do ust. Dziękując, kłaniałam się na lewo i na prawo z otwartego okna powozu. Na czarnych marmurowych stopniach wielkich schodów, w których ciemni odbijało się złoto sztachet i słupów, stali lokaje w czerwonej liberyi i laufry z dziwnymi, potężnymi bukietami kwiatów na czolach. Na górze w przedpokojach połyskiwały haftowane złotem mundury, jaśniały treny sukien. Drogie kamienie rozsiewały tysiące blasków. Wskazano nam miejsca. W galeryi przodków stała zebrana młodzież. Patrzyłam przez okna łukowe na jezioro i nie ruszałam się z miejsca. Cóż mnie obchodzili wszyscy ci ludzie? W jakim celu byłam tutaj, jeśli nie dla niego jednego? Na kogo czekałam, jeśli nie na niego? Orkiestra ustawiona w sali tronowej zaintonowała „Pochód na Wartburg”, trzy ciężkie uderzenia laską marszałkowską oznajmiły wejście najdostojniejszych gości. Zbudziłam się z mojego snu na jawie. Falisty szelest trenów, pogrążyłyśmy się w toni naszych sukien i znów wypłynęłyśmy do góry — jak jedna, długa jasnolśniąca fala. Wzrok mój zatrzymał się przez chwilę na obojgu panujących, sunących zwolna wzdłuż naszych szeregów: wysmukły mężczyzna z ce-

chę swojego rodu: nagą, gładką czaszką, wystającą nad twarzą o blado-szarej barwie, nieomylnym znaku codziennego uciekania się do morfiny, o parze błyszczących gorączkowo oczu i wargach, złożonych do boleśnie uprzejmego uśmiechu, którym napiętnowani na śmierć rychłą witać zwykli młodość. Tuż przy nim kobieta: bujne, wysmukłe jej kształty oblegała szata, błyszcząca jak skóra wężowa, na wysoko wzniesionej ciemnej głowie nosiła dumnie koronę z brylantów, ciemno-pąsowe wargi wily się nad małemi ostremi zębami, a płonące przecudne oczy tchnęły gorącą żądzą życia. Wzrok jej minął nas obojętnie, nieciekawa nas była, — sama była więcej niż młodością.

Serce moje zadrgało litością nad obojgiem: nad mężczyzną i nad kobietą.

Za nimi szedł król grecki, nie zdradzający w niczem majestatu. Obok niego — królowa, miękka, jasna i wdzięczna, jak dobre wróżki z bajek. Za nimi liczna świta. — Dla mnie wszakże nie było tam nikogo już więcej, z barwnego bowiem szeregu wysunął się Hellmut i stanął przy mnie.

W okrągłej sali wieżowej, zdobnej w okna kolorowe, siedzieliśmy we czworo przy zarzuconym różami stole: Hellmut i ja, hrabia Waldburg i narzeczona jego, hrabianka Landheim. Jedliśmy niewiele, ale kieli chy nasze wciąż się wznosiły w górę, trącane wazjem o siebie falą gorącą rozlewał się pienisty, mroźny szampan po naszych żyłach. Cicho i słodko brzmiały dalekie dźwięki muzyki.

W złoconej sali, przez której otwarte okna wlewała się purpura wieczornego nieba, gdy setki płonących świec odbijały się złotem światłem na ścianach i ko-

lumnach, tańczyły pierwsze pary. Było jeszcze pusto prawie, kiedy weszliśmy. W kołyszącym, ponętym rytmie rozbrzmiewała z estrady słodka melodia walca „Nad modrym Dunajem”.

Leżałam w jego objęciach, a upajające tony unosić się nas zdawały po sali. „Kocham cię, Alicyo”, — szepnął mi w miękki takt rytmu głos jego do ucha — „kocham cię bez pamięci — i nie wydrze mi cię nikt — nikt — nigdy!” Jego oddech gorący muskał mię jak czuły, pieszczący pocałunek, włosy moje powiewały na jego skroniach.

„Wasza Wysokość” — galopadę, jeśli wolno prosić!” — usłyszeliśmy nagle.

Stanęliśmy; istotnie zapomnieliśmy o surowym dworskim zakazie tańczenia walca! W tej samej chwili zbliżył się do nas marszałek dworu wielkiej księżny: „Jej królewska Wysokość prosi”. —

„Mnie także?” — zapytał Hellmut. Marszałek skinął twierdząco głową, przy czem lekki ironiczny uśmiech okolił jego wargi. Czyżby piękna władczyni miała być taką zwolenniczką konwencyonalizmu, że uważa za właściwe osobiście skarcić nas za nasze wykroczenie?

„Tańczy pani czarująco, wyrażam pani cały mój podziw, panno v. Klewe!” — rzekła głośno, gdy, skłoniwszy się głęboko, przyciskałam do ust jej rękę. „Damy meklemburskie mogą brać z pani przykład!”

Stojący dokoła nadstawili ciekawie uszu.

„Kochany książę, przetańcz pan raz jeszcze tego walca, którego zakazują tutaj dla tego widocznie, że nie umięją go tańczyć.”

Jak na komendę otoczyli nas wszyscy obecni sze-

rokiem bardzo kołem. Zaczęliśmy tańczyć. Czułam wszakże mnóstwo zazdrosnych, wrogich, mustrujących mnie spojrzeń, które obmacywały mnie wilgotno-zimnymi palcami i świdrowały nawskroś ukłóciami szpilek.

Poczułam zawrót głowy, silniej, coraz silniej opierałam się na ramieniu Hellmuta — unosił mnie raczej w walcu, aniżeli tańczyłam sama.

„Wyprowadź pan tancerkę swoją na taras, — dobrze jej to zrobi” — nakazała wielka księżna, kiedy blada i drżąca po raz wtóry głęboko składałam przed nią ukłon. Było coś w jej głosie, co mnie zdjęło lękiem — czyżby odgadła naszą tajemnicę?

Wyszliśmy. Mnóstwo kolorowych lampionów rozjaśniało taras i ogród zamkowy, rozmawiające grupy rozsiane były tu i owdzie. Głęboko w dole tulił się obsypany białym kwieciami krzew do ciemnego marmuru promieniując naokół, słodki, upajający zapach Jaśmin—mój kwiat.

Czy pamiętasz jeszcze, Hellmucie, jak w swawolnym porywie chwyciłeś za gałęzie, a deszcz śnieżnych płatków obsypał mi ramiona i włosy? i jak opadały one na ziemię omdlałe i zwiędłe pod gorącym tchnieniem twoich ust? Przycisnąłeś mnie tak dziko do twojego serca, że aż tchu mi w piersiach zbrakło — mógłbyś być zabić mnie owej nocy — odpowiedziałoby ci tylko moje spojrzenie miłosne. „Dla czego nie mówisz mi, że mnie kochasz? — dla czego jesteś taka milcząca?” — zapytałeś, a ja westchnęłam, zarzucając ci ramiona na szyję: „Nie mogę ci tego powiedzieć, — nie mogę — kocham cię za — za bardzo!”

Na górze zaczęto znów tańczyć — widzieliśmy przesuwające się za oknami pary, — od czasu do czasu

zabłąkał się aż do nas urywek melodyi tanecznej. Dziwnie pieściwym głosem odpowiadał mu plusk fal, uderzających o wybrzeże, a tu i owdzie, zdala, z wierzchołków drzew parkowych rozbrzmiewał rozmarzony trel ptaszęcy. Coraz płomienie gorzały nasze oczy, wciąż namiętniejsze były nasze pocałunki.

Wtem zamilkła daleka muzyka, nagły lęk przeszedł dreszczem po twojem ciele. „Musimy wrócić na górę” — syknąłeś ochrypłym głosem, kiedy wstępowaliśmy szybko na stopnie tarasu: „Musimy się rozstać — służba moja kończy się jutro”.

„A my wyjeżdżamy w przyszłym tygodniu”, — szepnęłam, — słowa dławiły mnie w gardle.

„Zobaczymy się dopiero na jesieni”.

„Nie wytrzymam tej rozłąki”. —

„Umrę z tęsknoty”. — I raz jeszcze przycisnąłeś mnie do siebie i przytuliłeś łkającą do twojej piersi.

„Nie płacz, jedyna, nie płacz — wzamian za całe życie pełne miłości, jakie mamy przed sobą, nie jest zbyt wielką ofiarą tych kilku tygodni”, próbowałeś pocieszać nas oboje, a gorące krople łez twoich padły mi przy tem na czoło.

---

Pojechałyśmy do Karlsbadu, — mama, Elżunia i ja. Spotkałyśmy tam liczne grono dawnych i nowych znajomych. Mówię: „my”, — jakkolwiek w rzeczywistości nie było mnie wcale, był tylko chodzący cień mojej osoby. Robiłam wszystko, jak automat: automatyczną była też moja mowa i bardziej jeszcze mój śmiech.

Ja sama siedziałam milcząca w ciemnym kącie chóru wysokiej świątyni, z rękami złożonemi na kolana, wpatrzona w gorejące w mistycznych barwach szyby okienne, wsłuchana w śpiew słodkich głosów anielskich, z czołem owianem falą dymów kadzielniczych...

Idąc obok fotelu na kółkach, na którym wożono Stauffenberga, mówiłam z nim o wszystkim, co niegdyś żywo mnie interesowało; była to jednak zupełnie inna, obca Alicya. Ja sama śmiałam się z niej, z zabawnego jej zapału. Cóż mnie obchodzić mogła wyższa polityka, co mnie obchodził Darwin, Wagner czy Nietzsche? Wobec skarbów żywego życia, które napotykałam na swej drodze, bladło wszystko na podobieństwo schematów bezkrwistych.

---

Wieczorem w dniu naszego powrotu, jesienią siedziałam w głębi łoża teatralnej intendenta. Wystawiano po raz pierwszy w całości „Opowieści Hoffmana” — genialny utwór Offenbacha, napisany chyba przez niego w opętaniu przez czarodzieja, który był jego bohaterem. Wzrok mój przebiegał jeszcze łoże i rzędy krzeseł — przyszedłam jedynie dla tego, że pewną byłam znalezienia go, — kiedy pierwsze akordy uwertury pochłonęły mnie całkowicie. A potem sama opera! W należytem zrozumieniu jej istoty uniknięto szczęśliwie odcienia komizmu; Spalanzani i Coppelius, tajemniczy sprzedawca okularów z pierwszego aktu sprawiali raczej wrażenie widm, a lalka, Olympia, nie była automatem połamanym i rzuconym w końcu na scenę gwoli ubawienia głupiej publiczności, — wczarowany w nią zdawał

się być szmat życia, zamierający dźwiękiem bolesnym. Nawet aktorzy, tańczący menueta, poruszali się jak niezupełnie ziemskie istoty.

Ciemniała już sala widzów w końcu przerwy, kiedy rozsunęła się firanka w naszej łoży i przez otwór jej wpadł szeroki pas światła. Pierwszy stłumiony głos barkaroli rozbrzmiał z orkiestry — odsunięto jedno z krzesel — „Alicyo!” — usłyszałam głos Hellmuta za sobą i gorące usta jego przywarły do moich pleców. „Piękna nocy — o nocy miłosna—ukój me pożądania!” szły tony ze sceny tuż przed nami; rozciągnięta na kocach i futrach leżała piękna Guiletta w otoczeniu swoich wielbicieli; obnażone jej ramiona i plecy jaśniały w blasku czerwonych ampli. Krew zbiegła mi do serca, ręka moja szukała dłoni ukochanego. Dla nas obojga, uniesionych w falach melodyi drażniącej, upajającej zmysły jak żadna inna, stawała się atmosfera łoży ciężka nie do zniesienia. Z największym wysiłkiem jedynie zdolni byliśmy o tyle opanować się w pełnym świetle międzyaktu, aby mózdz zamienić kilka konwencyonalnych frazesów z intendentem. Mundur Hellmuta zdradzał jego obecność nawet w półcieniu łoży, skierowały się też na nas wszystkie szkła i lornetki, szmery i szepty skłoniły wzajem ku sobie głowy obecnych.

Rozpoczęła się przygrywka do ostatniego aktu. „Uleciała — kochająca gołąbka”, — śpiewał miękki głos bladej Antonii. Dziwne to — niewątpliwie była ona do mnie podobna: żółtawy odcień cery, ciemne loki. A kiedy w chwili później ukazała się wychudła postać widmowego lekarza, z gładką trupa czaśką i brzękiem trzymany w ręku flaszek — — szepnęłam, że nie czuję się dobrze i podniosłam się cicho z krze-



śla, Hellmut towarzyszył mi, pewny, że wyjście moje przed końcem sztuki zręcznym jest tylko pretekstem. Zarzucając mi płaszcz na ramiona, szepnął: „Byłem u mamy — wylała trochę łez — ale w końcu pogodziła się z nieodwołalnym faktem. Wolno nam mieć nadzieję, najdroższa! — Bliższe wyjaśnienie tutaj”, — z temi słowy wcisnął mi papier do ręki i odprowadził mnie do powozu; konie ruszały już, kiedy drzwiczki otworzyły się raz jeszcze z drugiej strony — nagłym skokiem był już przy mnie, a ja w jego objęciach—na jedno mgnienie tylko, na jedno, krótkie, błogosławione mgnienie. Przy najbliższym zakręcie ulicy znikł tak samo, jak się zjawił. Dopiero w domu, w zamkniętej sypialni rozpieczętowałam jego list.

„Ukochana moja” — pisał — „tygodnie bez ciebie były straszne. Nie przeżyłbym po raz drugi czegoś podobnego. Powiedziałem to matce mojej; a że drży ona tak samo o mnie (czy rozumiesz podobne przywiązanie, jedyna?) — wzięła moją groźbę zupełnie na serio. Odwiedzi w tych dniach ciotkę Brygidę Sonderburg, zwarzowaną swoją starszą siostrę i spróbuje wy dostać od niej potrzebną sumę; na kuzyna Jerzego, tego skąpca, niema co liczyć, a własna kasa matki choruje stale na suchoty. Wstydzę się, że muszę pisać ci o podobnych rzeczach, ty moja czarowna wdzięczna, boginko, musisz jednak wiedzieć, dla czego nie proszę jeszcze oficjalnie o twoją rękę. Moja pensya zaledwie wystarcza mnie samemu, mającemu nieszczęście być księciem i zmuszonemu do opłacenia tej godności gotówką. Mimo wszystko jednak musi się to stać, co noc też marzę o ciepłym gniazdku, które zdobędę dla mojej księżniczki, daleko, o daleko bardziej

księżniczki, niż wszystkie księżniczki krwi razem wzięte!

Narzeczeni posyłają sobie zazwyczaj listowne pocałunki. Uważam to za nazbyt mdłe. Za to odbiorę je sobie przy najbliższej okazji za całe sześć tygodni, za które jesteś mi je dłużna. Strzeż się zawczasu, abym cię przy tem nie udusił...”

Nie mogłam spać. Skronie moje opasane były jak gdyby obręczą żelazną. „Droga do małżeństwa prowadzi przez kościół” — mawiała zazwyczaj mama — czy nie stał jednak przy ołtarzu cielec złoty zamiast kapłana?

Widywaliśmy się często, nigdy jednak bez świadków. Dręcząca tęsknota pożerała mnie jak choroba. Każdy uścisk dłoni zdawał mi się przepalać skórę. Nie mogliśmy doczekać się karnawału, następującego tysiące okazji do tajemnych spotkań. Wreszcie otworzył go bal u wielkiej księżny — matki. Pomimo wielokrotnych ostrzeżeń przeprowadziła ona na złość wszystkim, że odbył on się w jej pałacu, którego sala balowa musiała być zbadana przed każdą uroczystością przez policję bezpieczeństwa. Tym razem, jak opowiadano, kiwali budowniczowie bardzo poważnie głowami.

Pierwsze moje przy wejściu spojrzenie padło na Hellmuta, który blady i ponury — stał sam w niszy okiennej. Wiecznością zdał mi się czas, zużyty na wszystkie ukłony, powitania i stereotypowe frazesy, zanim dłoń moja spocząć mogła w jego dłoni.

„Mam wiadomości od matki” — wycedził z trudem — „ciotka Brygida odprawiła ją stanowczą

odmową. Powiedziała, że na głupstwa nie ma pieniędzy.”

Kolana ugięły się pode mną. Już jednak ożywił rysy jego dawny wesoły błysk, podniesiony nowym, nieznanym mi dotąd u niego wyrazem mocnej woli: „Nie obawiaj się, kochanie, wiesz przecież, że gdybym się miał nawet dyabłu zaprzedać za to w niewolę — będziesz moją”.

Młoda miłość pełna jest ufności, wierzy jeszcze w cuda, wystarcza też sama sobie, zapominając o całym bożym świecie. Karnawał owego roku bardzo był ożywiony, — nie przeszedł dzień bez obiadu proszonego, balu lub szlichtady. Hellmuta nie brakło nigdzie. Jeśli nie dało się inaczej, galopował on w nocy jeszcze do Ludwigslustu, gdzie stał jego pułk. Utracił też rychło rumianą cerę, gdy jednak wypytywałam go z obawą o jego zdrowie, śmiał się ze mnie. Stawaliśmy się coraz śmielsi i coraz pomysłowisi w wynajdywaniu sposobów widywania się sam na sam, przy czem pomagali nam najbardziej obcy ludzie: wychodzili z pokoju, do którego my wchodziliśmy, zawiązywali żywą rozmowę, gdy siedzieliśmy przy tym samym stole, lub miarkowali tempo biegu, przybliżając się do nas na szerokiej tafli lodowej Szweryńskiego jeziora. Fakt, że dziewczęta unikały mnie, był dla mnie dobrodziejstwem. Tu i owdzie podchwytываłam wprawdzie uśmiech ironiczny, znaczące mrugnięcie oczu, lub szepty i półsłówka dokoła mnie. Nie suszyłam sobie tem jednak głowy. Życie moje całe było raczej wegetacją poza chwilami, w których on był przy mnie.

Pierwszy raz tej zimy poznałam właściwą istotę tańca: zrozumiałam, że nie jest on jedynie ruchem,

w którym w przepisany sposób stawiamy nogi, nietylko niewinną dziecięcą przyjemnością, czerpaną z aktu rytmicznego poruszania członkami — ale miłością w tysiącnych jej przejawach, miłością, zlewającą dwoje ludzi w jedną istotę, rozdzielającą ich, aby wzmódz tęsknotę i tem płomienniejsz znow ich zjednoczyć, miłością, która nęci i kokietuje — zgina w pokorze kolana i znow prostuje się w poczuciu odniesionego zwycięstwa, miłością, która uśmiecha się w przejściu do innych, oddaje się im w przelocie w tym celu jedynie, aby rozplomienić żar uczuć wybranego, ukochanego do wybuchającego jasnym snopem iskier ognia.

„Barkarola górowała nad tańcami w owym karnawale. Słyszałam ją jeszcze we śnie.

Na jeden z balów dworskich wyuczono się menueta, — tańca, w którym odzwierciadla się cała pełnia wdzięku: grzeszność i artystycznie zamaskowany erotyzm epoki. Strój nasz obmyślany na tę uroczystość nie miał być zwykłym, taniem ubraniem kostiumowem, lecz uszyty był z ciężkiego adamaszku, z charakterystycznym *paniers* na biodrach, mocno wcięty w pasie i zakończony długim dworskim trenem. Róże i laury wyhaftowane były na moim, stare, cenne koronki matki mojej przybierały spódnicę, sznury pereł osnuwały szyję moją i kark. W wysokiej upudrowanej fryzurze, z plasterkami piękności w kącikach ust i na piersi., — weszłam do przedpokoju, w dniu uroczystości, spotykając tam zaraz na wstępie Hellmuta, z którym tańczyć miałam w jedną parę. Oboje spojrzeliśmy wzajem na siebie zdumieni, — nigdy jeszcze do tego stopnia nie odczułam skończonej piękności jego postaci, jak teraz, kiedy stał przed mną w monarszym stroju

oficyalnym Ludwika XV. Twarz jego pozostała jednak poważną.

„Nie lubię tego komedyanckiego przebrania” — zauważył niecierpliwie, podczas naszego kłaniania się i kołowania w takt nieśmiertelnego Mozartowskiego menueta z Don Juana. „Czy ten przepych olśniewający nie jest szyderstwem wobec naszego ubóstwa?”

„Czuję tylko, że jesteśmy bogaci, najbogatsi w świecie!” — odpowiedziałam, przechylając w tył głowę, aby uśmiechnąć się do niego błogo przez ramię, jak tego wymagała w tej chwili figura tańca.

„Ależ ja ginę z udręki, dopóki nie jesteś moja!” — odparł, zginając kolana w ruchu błagalnym, wtórującym długiemu namiętmemu tonowi wiolonczeli.

Po menuecie nastąpił walc. Hellmut stał oparty o jedną z kolumn z rękami splecionymi na piersiach, i za każdym razem, gdy przesuwałam się w tańcu obok niego, czułam jego spojrzenie.

„Nie będziesz dzisiaj tańczyła z nikim innym” — rzekł porywczo, kiedy opuścił mnie mój ostatni tancerz, — zaledwie był w stanie opanować wzburzenie. Daremnie usiłowałam wyperswadować mu niemożliwość jego żądania; „opuszczę zamek, jeśli nie uczynisz tego, o co cię proszę, — nie wytrzymam wprost, aby każdy śmieciuch trzymał cię w objęciach i aby zuchwałe jego spojrzenia poity się twoją pięknoscia.” Czułam się szczęśliwą siłą jego namiętności i nie chcąc rozbudzać niepotrzebnych podejrzeń, poprosiłam matkę moją o nałożenie mi w garderobie bandaża z chustek na „wykręconą” nogę, która nie pozwoli mi wziąć udziału w tańcu.

Hellmut i ja nie rozłączaliśmy się już tego wieczora. W sali balowej tłoczyła się młodzież, w bocznych pokojach siedzieli starsi przy stołach wistowych. Przeszliśmy długimi, fantastycznie udekrowanymi galeriami, w których lampy płonęły coraz skąpiej. Staaliśmy przytuleni do siebie przed wizerunkiem historii miłosnej Tristana i Izoldy, który tutaj w zamku surowo-obyczajnych Obotrytów zdobi ściany szeregiem obrazów barwnych. Jak żywe wypłynęły przed nami z mroków, oblane różowym blaskiem przyćmionych świateł, postacie Hero i Leandra; pierś jej, do której tulił on w miłosnej pieśzczocie głowę, zdawała się oddychać.

Zdaleka płynęły za nami melodye taneczne... „Piękna nocy — o nocy miłosna — ukój me pożądanie” — zadźwięczało cicho, namiętnie.

I Hellmut opasał mnie ramieniem i blisko, coraz bliżej do siebie przytuleni, zawirowaliśmy w nawpółciemnej przestrzeni. Wydało mi się, że słyszę przytłumiony śmiech, — ale w następnej już chwili zapomniałam o nim zupełnie.

Tańczyliśmy, — czyż nie byliśmy sami na łące, oblanej światłem księżyca, upstrzonej białem kwieciami, z którego złotych kielichów lały się upajające wonie? Tańczyliśmy — czy nie było to kolebaniem się na kryształowej toni, — czy nie patrzyliśmy aż na jej dno samo, gdzie wypływały z pomiędzy lilii wodnych olśniewające, nagie ciała nimf; z ich ust koralowych płynęły pieśni, których nie słyszało żadne ucho ludzkie: — Serce bić mi przez chwilę przestało — upadłam na najbliższe krzesło, do nóg mi przy-

padł ukochany, tuląc jasną głowę na moich kolanach...

„Oh, la marquise Pompadour,  
Elle connait l'amour  
Et toutes ses tendresses,  
La plus belle des maitresses.” —

zanucił nagle kraczący sopran za nami. Hellmut zerwał się i chwycił instynktownie za zgrabną szpadę, wiążącą mu u boku.

„Przekleństwo” — zgrzytnął, — trzymał w ręku pustą pochwę.

Usłyszeliśmy jeszcze szelest jakiś i szept, a potem zdaleka zatrzaśnięcie drzwi — i znów zaległa cisza.

„Jutro jeszcze pojedę sam do ciotki Brygidy, a jeśli mi się to nie powiedzie, do Jerzego. Muszę raz wreszcie zrobić koniec — tak albo tak!” — szepnął mi do ucha, zanim weszliśmy do sali balowej. Poszukałam rodziców; pożegnaliśmy się. Przy wyjściu, gdzie tłoczyło się najwięcej osób, doszedł Hellmut do mojego ojca: „Czy wolno mi tutaj zaraz pożegnać pana, generale, na kilka tygodni” — powiedział bardzo głośno i oficjalnie — „mój kuzyn, książe Jerzy, żąda, abym był obecny na balach dworskich”. „Szczęśliwej podróży” — odpowiedział mu ojciec. Miałam wrażenie, że odetchnął z ulgą. „Baw się pan dobrze” — wyjąkałam z trudem, kładąc zimne moje palce w jego dłoń.

Jedynie podniecenie gorączkowe dało mi siłę trzymania się na wodzy w ciągu następnych tygodni. Nie brakło mnie na żadnym zebraniu, na żadnym balu; nikt

nie tańczył tak niezmordowanie jak ja, przy żadnym stole nie pito tyle szampana ile przy moim.

Pewnego dnia spotkałam w teatrze hrabiego Wooldburga. W międzyaktach agitował on gorliwie za urządzeniem szlichtady, która miała się zakończyć obiadem w hotelu. „Jego Wysokość, ksiązę Hellmut, prosi panią o zaszczyt pojechania z nią” — zwrócił się do mnie. Spojrzałam na niego pytająco, wzruszył jednak tylko ramionami i dodał cicho, abym ja tylko jedna słowa jego usłyszeć mogła: „Ksiązę nie zakomunikował mi nic więcej prócz życzenia, abym postarał się jaknajrychlej o okazyę do dłuższej z panią rozmowy”.

Jeszcze dwa razy po dwadzieścia cztery godziny! Wzburzenie moje dosięgło szczytu, stając się niemożliwym do zniesienia. Śnieg zaczął tymczasem tajać. Brudna, szara opona pokryła ulice miasta i mgły zawisły nad jeziorami.

Mimo to, w dniu oznaczonym zajechały z głośnym brzękiem przed nasz dom sanki Hellmuta, — zabawnie mała, suto wysłana futrami muszla, do której zaprzężony rysak rosyjski niespokojnie bił kopytami o ziemię. Ojciec mój wyprowadził mnie przed sień. Pierwsze spojrzenie Hellmuta powiedziało mi wszystko — zachwiałam się, gdy ojciec pomagał mi wsiąść.

„A więc punktualnie o piątej w hotelu!” — zawołał wesolo, gdy koń nasz w pełnym był już biegu.

„Jerzy wyśmiał mnie — ciotka Brygida pozwoliła sobie zapewnić mnie ze zwykłym swoim cynizmem, że na rozsądny stosunek miałyby pieniądze — a!e na głupie małżeństwo — nigdy!”

Powiedział to ochryplym głosem. „Słuchaj, może, zamiast na miejsce umówionego spotkania, pojechać



wprost na jezioro — lód nie wytrzyma długo naszego ciężaru.

„Chwyciłam go przerażona za ramię. „Nie Hellmu- cie, nie” — błagałam — „nie żyliśmy jeszcze przecież!” Rozpłomienił mnie fanatyzm istnienia — tak umrzeć — nie — niepodobna! Nagle przyszła mi myśl zbawcza: ciotka Klotylda, — ta może i musi dopomódz....

Grzmiącą fanfarą witała muzyka przybyłych, kie- dy oboje, nową ożywieni nadzieją, wjeżdżaliśmy na plac zamkowy, stając radośnie na czele długiego szeregu. Cóż to była za jazda przez las, w którym tający śnieg wy- gładził drogę jak stół. Podobnie jak nie czuliśmy mgły, osadzającej się milionami drobniejszych kropelek wodnych na naszych futrach, tak samo zupełnie nie wątpiliśmy o rozbudzonem ponownie słońcu naszego szczęścia.

Wszyscy przyjechali do hotelu przemarznięci kil- kogodzinną jazdą, nam zaś, którzy wyprzedziliśmy ich znacznie przy wyjeździe, a mimo to przybyliśmy ostatni, było gorąco jak w lipcu. Długo jeszcze siedzieliśmy ra- zem; mnogość potraw; w miarę spożywania których większość obecnych coraz stawała się małowówniejszą, powolna usługa, która coraz bardziej niecierpliwiała każdego nie-meklemburczyka, — wszystko to mijalo dla nas niepostrzeżenie. Gdy nadeszła pora pożegnania wydała nam się ona nieprawdopodobnie wczesną.

Przed nawpół ciemną bramą wjazdową, pod stru- mieniami siekącego deszczu, ujęła dłoń moją raz jeszcze silna męzka ręka i ostro zakończone paznogie wpiły mi się w ciało.

Tej samej jeszcze nocy napisałam do ciotki Klotyl- dy. Odsłoniłam przed nią całą głębię mojego serca;

chwyciłam się jej jak ostatniej deski zbawienia; starałam się też poruszyć każdą strunę jej duszy.

W kilka dni potem wezwana zostałam o niezwyklej porze do gabinetu ojca. Pąsowy z oburzenia, mnąc mój list w rękę, wyszedł mi na spotkanie. Mama siedziała na fotelu trupio blada ze strachu. Rozegrała się straszliwa, nie do opisania scena. Dla tego samego człowieka, któremu nie starczyło nigdy słów na opisanie mi swojej serdeczności, nie był dzisiaj żaden najpotworniejszy wyraz zbyt obelżywym, aby mnie nim obrzucić. Stałam przed nimi jak skamieniała. Oprzytomniałam dopiero, kiedy ojciec nazwał Hellmuta nędznikiem, najszaleńsze motając przeciw niemu groźby. „Nie zniosę, abyś obrażał jego honor” — zawołałam, stając mu tuż przed oczami, „rzucić się na mnie z pięściami, jeśli chcesz, ale jego — nie waż się tykać”. Ojciec spojrzał na mnie wielkimi oczyma i odwrócił się, jęcząc boleśnie. Nie mogłam znieść tego widoku. Z głośnym płaczem rzuciłam się mu do kolan. „Ojczulku — ulituj się nade mną — jestem tak strasznie nieszczęśliwa” — zaszlochałam. Ta sama ręka, która gotowa była przed chwilą uderzyć mnie, podniosła mnie teraz z ziemi. „Moje biedne, biedne dziecko”, wyjąkał, patrząc na mnie z wyrazem ciężko ranego człowieka.

Mama milczała do tej chwili. Teraz usłyszałam jakby z bardzo daleka jej spokojny, zimny głos. Przeczytała głośno list ciotki, z którego niewiele rozumiałam, jedynie wyrazy „obowiązek”, „ofiara”, „poczucie honoru” obły się kilkakrotnie o moje uszy. Doświadczenie to” — tak mniej więcej kończył się list — „nauczy Alicję rozumu i umiejętności okiełznywania szalonego swego temperamentu. Całe nasze życie jest

nieprzerwanem pasmem poświęceń w imię obowiązku”..

Dziko zaśmiałam się na tę piękną tyradę, aby wnet potem spazmatycznym wybuchnąć łkaniem. Ojciec zaniósł mnie sam do łóżka. Matka nie opuszczała mnie odtąd ani na chwilę. Ku wieczorowi pozwoliła mi wstać. Zaledwie zdolna byłam utrzymać się na nogach, omal nie krzyczałam z bólu, moja siła woli przeciężyła jednak wszystko. Wymogłam nawet na sobie uśmiech dziękczynny wzamian za zapewnienie ojca, że „bierze na siebie trudne zadanie zawiadomienia księcia o smutnym wyniku interwencji”.

Wieczorem, nalewając w sąsiednim pokoju, jak zwykle, herbatę, usłyszałam gorączkowo wyostrzonymi mojemui zmysłami zwrócone do ojca słowa matki: „Zbyt dobrze znam Alicję, abym miała na seryo o nią się obawiać. Gdziekolwiek byliśmy dotychczas, — zachodziła wszędzie mniej lub więcej fatalna historia miłosna. W tym wypadku, co prawda, gdzie draśnięta jest jej miłość własna wygląda cała sprawa nieco poważniej”. „Ale widziałaś ją wszak”! Rozpacz podobna może popchnąć do najfatalniejszego kroku!” — zaoponował ojciec. „Zaufaj mi, kochany Janie” — widzisz ją zawsze jak w złotem zwierciadle”. Ja, dzięki Bogu, zachowałam mój bardzo trzeźwy i jasny wzrok”, — odpowiedziała matka — „nie pozostaje nam teraz nic innego, jak ustrzedz jej, aby nie kompromitowała nas i siebie tragicznymi minami—resztę pozostaw spokojnie czasowi... i” — dodała nawpół żartobliwie — „najbliższemu następcy księcia”.

Sposób jej rozumowania był mi wielce na rękę, zachowywałam się też zgodnie z jej słowami, przygotowując się równocześnie z najzupełniejszym spokojem

do wykonania planu, obmyślanego przeze mnie z całą stanowczością od chwili, w której dowiedziałam się o odmowie ciotki. Pozwoliłam się pocałować w czoło na dobranoc i położyłam się spokojnie spać; wiedziałam dobrze, że mama przyjdzie jeszcze raz, aby zobaczyć, co robię, dlatego też przeczekałam, dopóki nie powróciła po raz drugi do swojej sypialni i dopóki nie zamarły ostatnie w całym domu odgłosy. Wówczas dopiero wstałam, ubrałam się starannie, zapakowałam najniezbędniejsze rzeczy do przygotowanej już uprzednio torby ręcznej i, powstrzymując oddech, wysunęłam się z domu.

Drzwi wejściowe nie skrzyknęły nawet, kiedy je otwierałam. Deszcz lał, jak z cebra, nie było widać ani słyszeć śladu istoty ludzkiej. Czekałam otulona płaszczem, dopóki nie zadźwięczał męski krok oraz miarowy brzęk ciągnionej po trotuarze szabli. Przychodził teraz w ten sposób co wieczór na umówiony, wystawiony w oknie, znak do przylegającego do domu naszego parku. Na mój widok cofnął się przerażony. Wystarczyło kilka słów wyjaśnienia. Ale to, co mówiłam nieswoim jakimś, objętym zupełnie głosem, wywarło na nim tak wstrząsające wrażenie, że aż oparł się ciężko na mojem ramieniu. „Nie mogę się wyrzec ciebie, Alicyo” — powtarzał z jękiem. „Ależ nie masz potrzeby wyrzekać się, Hellmucie” — odpowiedziałam. „Ponieważ brak nam błogosławieństwa złota na zawarcie małżeństwa, zawrzemy je pod błogosławieństwem miłości”. Spojrzał na mnie szeroko rozwartemi oczyma. „Chciałabyś?” — wyjąkał wreszcie nieśmiało, pytająco. — „Zostać twoją kochanką? — tak!” Oczywiście będę musiała niezwłocznie opuścić Szweryn.” — — —”

„Alicyo, jesteś nieprzytomna, nie wiesz wcale, co

mówisz — to szaleństwo!” — zawołał. Uczułam nagle, jak wilgotne zimno nocy zwolna owiewa mnie od stóp do głowy. „Nie oszalałam, najdroższy mój” — rzekłam miękko, tuląc pieszczotliwie rękę jego do moich policzków, „wprost przeciwnie: chcę przypadającą na mnie część zwarjowanego układu świata uczynić rozsądną! — A teraz uchoďmy stąd czempredzej, droga jest każda minuta. Będziemy mogli dojechać powozem twoim do jakiejś małej stacyjki, gdzie zaczekamy na pierwszy ranny pociąg — —”. Odstąpił krok w tył, — „nie czynź ze mnie łotra, Alicyo” — chwycił mnie za ramię, wtrąsając niem mocno, jakgdyby w chęci zbudzenia mnie ze snu. Istotnie czy to pod wpływem deszczu, siekącego mi policzki, czy też zagaśnięcia światła ostatnich latarni olśniła mnie nagle okrutna jasność. „Hellmucie” —zawołałam raz jeszcze, wyciągając ku niemu ramiona.

Rzucił się na mnie nieprzytomny, okrywają piekielnemi pocałunkami usta moje, oczy, policzki i rękę — i znikł, jak gnany przez furye w ciemnej alei.

Przez długą chwilę stałam, wrosnięta w ziemię, potem dopiero dotknęłam mechanicznie mokrego mojego płaszczu, aby się upewnić, kto jest właściwie tą osobą, moknącą na deszczu. Dotknęłam też i miejsca, pod którym przed chwilą jeszcze dziko tłukło mi serce. Nie było go chyba tam już — może umarło — a może nawet w błoto upadło. Spojrzałam ze strachem na kałużę u nóg moich. Teraz powinnabym właściwie pójść spać — przemknęło mi przez głowę. — Boże, jak ciężka była torebka, jakie pudy ważył mokry płaszcz. — Może lepiej usiąść na tamtej ławce?! — Po zrobieniu kilku kroków potknęłam się; nie, niepodobna, mnóstwo ludzi stało dokoła i gapiło się na mnie. A potem rozwarli wszy-

scy szeroko usta i ze wszystkich kątów i stron zagrzmiało i zahuczało:

Oh, la marquise, Pompadour —  
Elle connaît l'amour —  
Et toutes ses tendresses —  
La plus belle des maitresses — —

Wbiegłam po stopniach,— — szarpnęłam drzwi i usiadłam wyczerpana na schodach. Wślizgnęli się jednak za mną — na rękach i nogach jak robaki. Dobywając resztki sił, dowlokłam się do mojego pokoju. Nagle olśniła mnie świadomość, że ja — Alicya Kleve — siedzę tutaj, na łóżku, w przemokłym, ociekającym wodą ubraniu. Zdjął mnie dreszcz grozy, jakgdybym własnem swym była widmem i unosiła się w czarnem bezgranicznem przestworzu. Straciłam przytomność.

Przez osiem dni leżałam w zupełnym bezwładzie. Potem wstałam, wyszłam i wkrótce później poszłam do teatru. Dawano „Opowieści Hoffmana” — nawet przy barkaroli nie zabiło mi serce. Nie było go już snadź w piersi. Po dalszych ośmiu dniach tańczyłam.

Mama tryumfowała.



